

Sczytanie: Hanna Jakubowska, Jan Sienkiewicz
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1916 (druga połowa grudnia)
i rok 1917 (styczeń i luty)
Michał Römer
[Mateusz Rzymski]
I Brygada Legionów Polskich
I pułk piechoty I baon
I kompania II pluton
Tom XIX

16 grudnia, rok 1916, sobota

Rano o świcie wstałem i opuściłem mieszkanie Ludwika Abramowicza i Heli Ochenkowskiej, u których w Warszawie z gościny korzystałem. Przed godz. 8 siedziałem już w wagonie pośpiesznego pociągu, który miał mnie zawieść do Wilna. Wreszcie do Wilna! Po tych daremnych próbach dotarcia, po tak długiej rozłące z rodziną i z ukochanym krajem, po tak wielkich przemianach, jakie zaszły tam w Ojczyźnie od czasu, gdym w maju roku zeszłego opuszczał Wilno, dążąc dalekimi drogami do Legionów Polskich! Ogarniało mię oczywiście wzruszenie głębokie i pewien niepokój. Co tam zastanę? Jak się odbiły dokonane przemiany w umysłach i usposobieniach ludzkich, jakimi pragnieniami, jaką myślą i wolą żyją tam ludzie wśród straszliwych klęsk, ale i nie mniej doniosłych perspektyw i faktów historycznego momentu, jakim jest Wilno i jaką Litwa dzisiejsza w najgłębszych elementach swego ducha, czy wreszcie ja sam zbyt nie odbiegłem od niej, czy będę miał z nią to uczucie, jakim miał z krajem moim zawsze? Wzruszony, z biciem serca, z głęboką, pełną jakiegoś dziwnego niepokoju troską siedziałem w tym wagonie pociągu, pędzącego na północ, do umęczonych ziem litewskich. Oby Bóg Litwie błogosławił i oby opieką otoczył jej los w tej wielkiej godzinie przeznaczeń! Oby spełnił jej przeznaczenie w duchu jej wolności i jej służby dla ludzkości na wschodzie! Oby nie dał jej upaść ani zmarnieć na niewolnicę lub na martwy przedmiot bez czynu i bez losu własnego! Wśród żołnierzy niemieckich, pracowitych pionków wykonawczych katastrofy dziejowej, pełniących jak mrówki swą robotę narzędzia historii w tym dniu epokowym, aktorów dramatu, których dzieło, niezależnie od ich własnej świadomości, może szczęście i wielkość, a może klęskę gotuje mojej Ojczyźnie, jechałem samotny, odrębny od nich myślą i sercem, zatopiony troską w głębokiej osobowości Litwy mojej. Próbowałem brać do rąk gazetę i czytać, ale nie bardzo byłem w stanie rozumieć treść czytanego. Próbowałem patrzeć przez okno na krajobraz, ale przez długi czas nie byłem w stanie nic dostrzegać. Stopniowo chaos moich nastrojów zaczął się układać w pewną harmonię spokoju i ciszy wewnętrznej. Pociąg biegł coraz dalej. Oto minęliśmy Białystok, mknijemy przez Litwę. Gdzieś tam widzę na drogach wiejskich furmanki włościańskie, wracające widocznie z jakichś robót do domów. Widok ten, daleki od ciężaru wojennych obrazów i myśli, dał mi chwilę jakiejś iluzji dawnych, dziwnie już jakoś w wyobraźni nierealnych, przedwojennych powszednich, pokojowych okoliczności bytowania. Oto Grodno, na Niemnie leżą w całej grozie wojennego realizmu zwaliska wysadzonego przez Moskali mostu. Potem już wieczór nastaje, ciemno. Coraz bliżej Wilna. Oto już Landwarowo. Oto jesteśmy w Wilnie. Z dworca, który nie jest zniszczony ani zmieniony, nie wyłączając dobrze mi znanych chodników podziemnych, wychodzę do miasta. Biorę dorożkę. Typowy charakterystyczny nasz

chłop wileński dorożkarz. Rozmawiam z nim i syć się, raduję i serdecznie wzruszam tym bezpośrednim przez dorożkarza swojskiego z Litwą naturalną obcowaniem. Gotów bym tego dorożkarza ucałować, kocham go. Powietrze wileńskie całuję, kontury domów, ulicę znajomą witam sercem rozmodlonym. Przyjeżdżam na ulicę Ofiarną do domu Wołodkowiczów, gdzie Maryńka mieszka. Idę z plecakiem na górę. Dzwonię. Maryńki w domu nie ma. Pierwszą witam Ewę, która mię poznaje. Wybiega Stefuś, wybiega kochana nasza, jak siostra, wierna służąca Anuśka Dyrżisówna. Całuję się z nimi i ze wzruszenia płaczę wśród uścisków przywitania. Później przychodzi Maryńka. To samo powitanie. Jestem w Wilnie w rodzinie. Aninki grób odwiedzę, wrócę do męki uśmierconego przez jej zgon naszego życia. W jej imię i w jej duchu stąd wyjeżdżałem, w jej duchu, w jej imię wracam. Zameldowałem się w komendanturze niemieckiej, której biura meldunkowe mieszczą się w gmachu b. Sądu Okręgowego. W dobrze mi znanej sali sądu cywilnego meldowałem się, w jeszcze lepiej znanym pokoju adwokackim otrzymałem „Quartier-Schein”, w lokalu b. kancelarii starszego rejenta otrzymałem kartkę chlebową.

17 grudnia, rok 1916, niedziela

Rozpocząłem dziś dzień w Wilnie od zwrócenia się do Witolda Abramowicza. Już po drodze do niego spotkałem pierwszego znajomego w osobie p. Kazimierza Świąteckiego (wczoraj po przyjeździe odwiedziłem jeszcze wraz z Maryńką króciutko Żmujdzinowiczów i spotkałem się na ulicy ze starym Leonardem Rymkiewiczem, który b. postarzał, posunął się fizycznie i umysłowo, ledwie włóczy nogami, tknięty pierwszym zwiastunem paraliżu). Abramowicza w domu nie zastałem, tylko z żoną jego porozmawiałem i udałem się następnie do Aleksandra Zasztowta. Wiedział już o moim przyjeździe i czekał mię wraz z Kazimierzem Ostachiewiczem i Iliniczem. Po bardzo oczywiście serdecznym przywitaniu musiałem zaspakajać ich ciekawość i bardzo szeroko wyluszczyć sytuację polityczną w Warszawie. Dotknąłem też sprawy Litwy i naszkicowałem im moją koncepcję o ewentualnościach podziałowych Litwy w związku państwowym z Polską, tak, jak ją latem w moich dla CKN-u i innych warszawskich organizacji projektach rezolucji ujmowałem, traktując ją za kompromis, który być może, choć niedoskonale, zdoła sprawę Litwy na jakieś bądź co bądź realniejsze tory programowe wyprowadzić. Nie jestem właściwie pewny tej koncepcji, bo w duchu wolałbym zastąpienie jej przez koncepcję państwową niepodzielnej Litwy. Ale nie wiem, czy ta forma niepodzielności państwowej ma siłę w tendencjach już dojrzałych, puszczam więc moją koncepcję kompromisową jako balon próbny, oczekując bądź reakcji na nią ku formie lepszej, bądź, gdyby dla tej lepszej nie było podstawy, choćby przyjęcia takiej, byle wreszcie na czymś się sprawa Litwy konkretyzowała. Od Zasztowta i Ostachiewicza dowiedziałem się nieco o wileńskich na lewicy stosunkach. Tzw. Związek Demokratyczny, który był się tworzył, rozpadł się, a dziś na jego miejsce z elementów świadomszych i czynniejszych lewicy utworzyła się grupa polska socjalistów i sympatyków socjalizmu, która prócz społecznych aspiracji ma polityczne krajowe stanowisko. Dłużej i szczegółowiej nie mogłem jeszcze całokształtu stosunków tutejszych nawet na lewicy w rozmowie tej ogarnąć. Po obiedzie byli u mnie p. Wacławowa Studnicka i Witold Abramowicz. Wieść o moim przyjeździe już się rozgłasza. Mój przyjazd budzi ogólne zainteresowanie, niemal sensację. Legionistów już tu widziano i witano, ale ja jestem nie tylko legionistą, ale i Wilnianinem z krwi i kości, mającym czucie stosunków miejscowych i działaczem o wybitnie określonym stanowisku w stosunkach krajowych. Doświadczam od wszystkich tutaj dużo serdeczności, z moim przybyciem łączą się tu duże nadzieje na zorientowanie tu ludzi i w szczególności ewentualnie na układ stosunków polsko-litewskich. Z Witoldem

Abramowiczem ułożyłem się, że na wieczór u niego spotkam się z jego grupą. Grupa Abramowicza – to mniej więcej dawny zespół grupy „przeglądowej”, uzupełniony kilku ludźmi pokrewnego typu ideowego, grupa inteligencka o pewnych niezbyt radykalnych demokratycznych tendencjach z niewątpliwym zabarwieniem nacjonalistycznym. O g. 7 przyszedłem do Abramowicza. Zebrania wieczorne wszystkie teraz rozpoczynają się koło godz. 7, bo przed g. 10 wszystko się musi kończyć, o 10-tej wszyscy muszą już być w domu, bo po 10-tej nie wolno w Wilnie chodzić po ulicy, Niemcy pilnują tego bezwzględnie i sztrafują każdego, kogo patrol na mieście przydybie. U Witolda zastałem całą grupę w komplecie. Obecni byli: W. Abramowicz, Bronisław Krzyżanowski, Janek Piłsudski, p. Ignacy Turski, Władysław Zawadzki, Zygmunt Jundziłł, Ludwik Chomiński, Luboiński, adwokat Dmochowski, Bagiński, Waław Studnicki, Nagrodzki. Z innych członków tej grupy nieobecny Janek Klott, który uciekł z Moskalami do Rosji i dr Boguszewski, bawiący w Warszawie, gdzie, jak to już pisałem, wstąpił jako lekarz, do Legionów (zresztą więcej dla roli politycznej i dla odpowiedniej kariery, niż dla służby wojskowej). Pomimo, że przekonaniowo niezupełnie jestem z grupą Abramowicza jednomyślny, jednak mam w niej wielu przyjaciół osobistych, z którymi łączy mnie sympatia i pamięć dawnej współpracy w różnych okazjach. Powitanie było b. serdeczne. Uściskałem się ze wszystkimi. Niewątpliwie w ich oczach, jak w oczach ogółu Wilnian, zyskałem dziś duży urok, nie tylko urok samego munduru legionowego, ale też mojego postanowienia i wykonania w roku zeszłym, gdy jeszcze za czasów rosyjskich w Wilnie, przez Rumunię, przełamując wszelkie przeszkody i to jeszcze w czasie, gdy sprawa Legionów nie była ani tak popularna, ani tak politycznie wyraźna, przedarł się za kordon i do szeregów wstąpił. A nie miałem też urokiem mój charakter bezpośredniego żołnierza liniowego. W moim czynie legionowym jest nie garnięcie się do tego, co już jest popularne i dokonane, ale współpraca ciężka w samej ofercie, w samym wytwarzaniu dzieła w warunkach ryzyka tak osobistego, jak samej sprawy. Na zebraniu zreferowałem grupie Abramowicza szczegółowo sytuację polityczną w Warszawie, układ obozów politycznych i obecny stan sprawy Rady Stanu. Była to więc pogadanka, przeważnie relacyjna, bez dyskusji, uzupełniana pytaniami i wyjaśnieniami. Oprócz tego, złożyłem dziś wizytę i zapoznałem się z Dobaczewskim (pseudonim: Stary), który jest w Wilnie komendantem lokalnego okręgu P.O.W.; jest on z pochodzenia, zdaje się, Wilnianinem, wychowankiem starych pp. Fiorentinich, jest też, zdaje się, oficerem I Brygady. W Wilnie bawi jeszcze od czasów rosyjskich, ożenił się tu z panną Niedziałkowską. Zrobił na mnie wrażenie człowieka mało inteligentnego, b. mało wyrobionego i zarozumiałego, taka jest też opinia o nim. Nie jest to człowiek odpowiedni na tym stanowisku, nie ma powagi ani wpływu, nie ma głowy ani taktu, nie posiada znajomości i poczucia stosunków krajowych.

18 grudnia, rok 1916, poniedziałek

Miałem dziś rano rozmowę z Waławem Studnickim, który raniutko przybiegł do mnie. Przybiegł po nowiny, a zarazem na zwiady oraz żeby mnie o wileńskich sprawach i własnych swoich zabiegach poinformować. Studnicki jest zawsze taki sam, wiecznie w ruchu, wiecznie pełny pomysłów, których jednak nigdy zrealizować systematycznie nie potrafi; jak on sam, tak wszystko w jego pomysłach i w działaniu jest rozwichrzone, nieskoordynowane, chaotyczne, pełny jest inicjatywy, za wszystko się chwyta, wszystko zaczyna, ale niczego porządnie nie skończy, przypomina też brata swego Władysława, bo tak samo jest niezdyscyplinowany, nie organizacyjny, nieobliczalny, nie liczy się z żadną dyscypliną społeczną, wyłamuje się ze wszelkich karbów i co tylko mu strzeli do głowy i w tej chwili wyda się dobrym na rzecz jego zamiarów i celów

ogólnych, to natychmiast śpieszy realizować, nie licząc się z żadnymi względami i okolicznościami, jest niegłupi, a nawet mądry czasem w samych dążeniach i pomysłach, ale dziecinnie naiwny i nierealny w metodach działania. Toteż nieraz szkodzi tylko swym działaniem sprawie i psuje to, czemu chciałby służyć. Ale Wacław, posiadając wszystkie typowe wady swego brata, ma mniej od niego rozumu, choć więcej nieco wyrobienia w liczeniu się z ludźmi i stosunkami. Więcej, ale jednak za mało. W przeszłym roku, w pierwszym okresie wojny, Wacław Stadnicki względnie się dość liczył z grupą ówczesnych aktywistów i ulegał pewnej dyscyplinie, uwzględniał też pewne odrębności krajowe, pewną metodę państwowego traktowania sprawy Litwy i liczenia się z różnonarodowym układem kraju. Teraz wyłamał się ze wszystkiego, idzie samopas, nie licząc się z żadnymi grupami, z żadnymi względami na kogokolwiek lub cokolwiek bądź. Jest dziecinnie naiwny z usposobienia i tandeciarz w polityce, ale za to jest zupełnie szczery. Tą szczerością, pomimo swej tandety politycznej, jest więcej wart od wielu innych. Obecnie Studnicki nie liczy się już z Litwinami ani trochę, odkąd się przekonał, że Litwini inaczej stawiają sprawę, niż się ona stawia w popularnych nastrojach Polaków litewskich i że dla swojej koncepcji Litwinów pozyskać nie zdoła. O jakimś liczeniu się jego z Białorusinami oczywiście i mowy nie ma, bo Białorusini w jego pojęciu są zupełną „*quantité négligeable*”, są materiałem dla polonizacji i nic więcej. Ale Studnicki przynajmniej nie próbuje udawać jakiegoś liczenia się z Litwinami i w działaniu swoim jest prosty i szczery, podczas gdy większość innych, dążąc w gruncie do tego samego, maskuje obłudnie [nie]chęć liczenia się z Litwinami i nie śmie jawnie oblicza swego odsłonić, zwalając jednocześnie na Litwinów winę za nieporozumienia. Ale i ze wszystkimi polskimi grupami Studnicki jest w rozdzwieku. Nie mówiąc już o kołach prawicowych – moskalofilskich, neutralnych lub chwiejnych, nie mówiąc też o lewicy, usiłującej zachować kompromis ze stanowiskiem państwowo-krajowym, jest on w kontrach także z aktywistami czy to z grupy Witolda Abramowicza, czy też z P.O.W. z Dobaczewskim na czele. Wszędzie bowiem zdyskredytował się swym warcholstwem. Studnicki reprezentuje najbardziej wszechpolskie tendencje, zbliżając się przez to tak do niepodległościowej lewicy endeckiej, jak do kierunku aktywistycznego, reprezentowanego na Litwie przez P.O.W. Metodami jednak różni się i od jednych, i od drugich, bo pcha aktywizm po linii najmniejszego oporu, po linii najtańszych efektów. Jedyłą jego wierną współpracowniczką polityczną jest jego żona, która ten sam zupełnie typ działaczki politycznej, co on, reprezentuje. Są oni ze sobą w małżeńskich złych stosunkach i nawet do rozstania się są już zdecydowani, tylko ich wspólna polityka dotąd razem trzyma. Uważałem ich zawsze za małżeństwo dobrane, ale się, jak okazuje, myliłem. Dość powiedzieć, że dotąd pani Studnicka pozostała panną, a ogniska domowego, atmosfery rodzinnej – Studnicki wytworzyć w domu nie zdołał. Zresztą on a ognisko domowe – to dwie rzeczy biegunowo przeciwne. Oboje Studniccy są teraz zapaleni na gruncie reklamowania legionistów i forsowania sprawy armii polskiej. Łapią tu przejezdnych legionistów, kręcą się koło nich, robią ruch, dają się też naturalnie naciągać różnym łazikom legionowym, których tu coraz gęściej w Wilnie. Jak zawsze – pierwsi do dalekich punktów, gdzie mundur legionowy jest nowiną, docierają różni hinterlendowcy i łaziki. W Wilnie są oni przez swój mundur przedmiotem pocziwego rozczulenia, które naturalnie wyzyskują. A Wilnianie i Wilnianki, a zwłaszcza Studniccy, z dziecinną łatwowiernością dają się naciągać. Teraz zaś w ostatnich czasach Studniccy rzucili się na rzecz b. niebezpieczną. Mianowicie Niemcy, którzy tu w dziki i bezwzględny sposób się rządzą, przeprowadzają pobór do robót przymusowych. Te roboty przymusowe – to istna katorga. Ludzie, pobrani do tych robót, są traktowani jak zwierzęta. Są głodzeni, trzymani w chłodzie, naganiani i bici przez dozorujących ich

żołnierzy. Te roboty przymusowe są uważane za jakąś głodową powolną śmierć męczeńską. Otóż Niemcy związali z tym przymusem robotniczym werbunek do wojska polskiego. Każdemu branemu do robót proponowane jest wpisanie się do wojska. Dosyć wielu biedaków się zgłosiło, wybierając „mniejsze zło”. Zapisywanie się do wojska polskiego odbywa się nawet nie przez wojskowe władze niemieckie, ale przez policję miejscową pod kierunkiem znienawidzonego burmistrza niemieckiego Pohla. Taki sposób werbunku dyskredytuje tylko samą sprawę wojska polskiego, które jest przez to postawione w warunki poniżające, poza tym, grozi to dostarczeniem temu wojsku szumowin, które pójda tam nie z ideowych, lecz z pobudek niższego rzędu, szukając po prostu doraźnego ratunku od katorgi przymusowych robót. Otóż Studnicki, nie licząc się z tym wszystkim i nie mówiąc już o tym, że w ogóle sprawa werbunku w samym Królestwie jest uzależniona od powstania władz państwowych polskich, przez co wszelkie wyłamywanie się z ogólnej zasady powinno być ujemnie traktowane, z całej siły forsuje zapisywanie się do wojska polskiego i stara się o nadanie uroczystego charakteru wysłania z Wilna tych zapisanych biedaków do wojska polskiego. Robi to na własną rękę, nieodpowiedzialnie, chaotycznie i gorąco. I gniewa się, gdy ktoś zgłasza jakieś zastrzeżenia względem tego rodzaju akcji.

Wieczorem referowałem prywatnie kilku moim bliższym osobistym znajomym Białorusinom o sytuacji politycznej w Królestwie. Byli bracia Łuckiewiczowie i Wacław Łastowski, oprócz nich także był dr Sumorok. Poza tym, pragnąlbym mieć z Białorusinami specjalną pogadankę polityczną.

19 grudnia, rok 1916, wtorek

Dzisiaj miałem dzień bardzo obficie zapelniony. Na południe byłem zaproszony na posiedzenie prezydium Komitetu Polskiego. Ten Komitet Polski odgrywa tu rolę przedstawicielstwa politycznego polskiego na Litwie. Są w nim reprezentowane wszystkie grupy i kierunki od prawicy do lewicy. Formalnie jest to Komitet Wileński Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, ongi oddział petersburskiego Towarzystwa tej nazwy, założony, jak samo Towarzystwo, jeszcze za czasów rosyjskich w pierwszym roku wojny. Funkcje jego określały się początkowo samą jego nazwą – niesienia pomocy (tak materialnej, jak moralnej) ofiarom wojny, a że był on polskim, więc w pierwszym rzędzie miał za zadanie pomagać ludności polskiej. Z natury rzeczy, w jego akcji, w zasadzie filantropijnej czy też raczej społecznej, był moment polityczny, jak politycznym było wszystko, co w tej wojnie narodowe polskie funkcje pełniło służąc za reklamę i za akt narodowo-społecznego wysiłku w sprawie polskiej. W pierwszym roku wojny punkt ciężkości w pracy Towarzystwa był skierowany do samej Polski właściwej. Komitet Wileński w tym samym kierunku pracował, było to zresztą naturalne, bo Polska (Królestwo i Galicja w tym czasie było o wiele ciężiej dotknięte wojną, niż Litwa, mimo że Litwini i Białorusini zarzucali wtedy Oddziałowi Wileńskiemu, iż więcej myśli o Polsce, niż o Litwie i że przez to działa nieobywatelsko. W akcji tej na rzecz Polski było ze strony Oddziału Wileńskiego istotnie nie samo tylko humanitarne i narodowe uczucie dla Polski, ale też niewątpliwie była tendencja polityczna do zaznaczania bliskiego kontaktu Litwy z Polską, ich braterstwa, względnie nawet ciężenia do Polski. Był w tym pewien polityczny specyficzny wszechpolski moment. Po zajęciu Wilna i znacznej części Listwy przez Niemców, gdy sama Litwa bardzo ciężko i bodajże ciężej od Polski, dotknięta została klęskami wojny, akcja pomocy społecznej została w Wilnie na razie na inny grunt postawiona. Mianowicie zwyciężyła zasada czysto społeczna i krajowa nad narodowościową. Spróbowano we wspólnej akcji pomocy skupić wszystkie narodowości krajowe. W Wilnie powstał na tej zasadzie Komitet Obywatelski, do

którego weszli Polacy, Litwini, Białorusini i Żydzi. Komitet Polski Pomocy Ofiarom Wojny, tak jak inne podobne komitety narodowe (Litewski, Białoruski, Żydowski), zeszedł na plan drugi. Wkrótce jednak w Komitecie Obywatelskim ujawniły się znowu nasze nieszczęsne w kraju tarcia i rozterki narodowościowe, które rychło wspólną pracę rozbiły i Komitet upadł. Wówczas znowu wypłynęły na arenę komitety narodowe, a w ich liczbie polski. Komitet Polski, jako instytucja pomocy ofiarom wojny, instytucja społeczno-humanitarna, jest jawny, posiada swój lokal (przy ul. Zawalnej w domu Śliźnia) i działa publicznie w swoim zakresie. Ale poza tym, siłą rzeczy, jako bezpartyjna czyli raczej wszechpartyjna instytucja narodowa o charakterze społecznym, zaczął on stopniowo zagarniać w swoje ręce funkcje polityczne i kulturalno-narodowe, stając się ogniskiem polskich narodowych spraw na Litwie. Skupiła się w nim reprezentacja interesów narodowych polskich, których on stał się rzecznikiem w każdym wypadku, zarówno w sprawie szkolnictwa, jak teatru, jak spisów ludności (przy spisach tych, które wywołują ostre spory narodowe, każda narodowość stawia swoich delegatów dla pilnowania interesów danej narodowości, z ramienia Polaków delegatów tych czyli mężów zaufania wyznacza Komitet Polski). Komitet Polski ustanawia też ogólne dyrektywy dla polityki polskiej w kraju. Polityczny charakter Komitetu nie jest urzędowy, ale jest na pół jawny Niemcy wiedzą o nim dobrze i w razie potrzeby zwracają się pół urzędowo do Komitetu, uznając przez to ten jego charakter. Wewnątrz Komitet nie jest ściśle reprezentacyjnie zbudowany, to znaczy że nie jest utworzony ściśle z wyborów grup i stronnictw; powstał on z ludzi, którzy sami weszli do niego w charakterze członków towarzystwa i dalej się uzupełnia przez kooptację. Dla reprezentacyjnej więc roli politycznej nie jest on zupełnie logicznie zbudowany i jeszcze mniej odpowiada demokratycznym zasadom. Ale faktycznie wszystkie grupy mają w nim swoich ludzi, chociaż, o ile chodzi zwłaszcza o lewicę, o grupę, która obecnie w Wilnie zorganizowała się w postaci „socjalistów polskich i sympatyków socjalizmu”, to ona jest w Komitecie reprezentowana przez swych najbardziej kompromisowych ludzi (zwłaszcza Bagiński, należy tam również Ladowski), takich mianowicie, którzy będąc najpotulniejsi, najwygodniejsi są dla Komitetu i dają mu zarazem pozór uwzględniania całości społeczeństwa włącznie z lewicą. Ponieważ różnice między prawicą a lewicą są duże, zwłaszcza na gruncie metod politycznych w związku z zagadnieniami tej wojny i w kwestii stosunku do tzw. aktywizmu, więc Komitet, na skutek ciągłych tarć wewnętrznych jest stale paraliżowany i niedołężny. Komitet składa się z tzw. prawicy, centrum i lewicy. Do prawicy należą elementy skrajnie ziemiańskie, tzw. „ugodowcy” i wszelkiego rodzaju konserwatyści wyrażni. Centrum stanowią endecy, którzy w Wilnie różnią się znacznie od warszawskich, bo z wyjątkiem jednego tylko, zdaje się, Zwierzyńskiego, najwierniejszego dmowszczyka, są dalecy od moskalofilstwa i ciążą rzetelnie do niepodległościowego sztandaru, oraz różni umiarkowani liberałowie w rodzaju prezydenta Michała Węśławskiego, Konrada Niedziałkowskiego itp. Wreszcie do tzw. „lewicy” należy grupa W. Abramowicza i „socjaliści”. Komitet wyłania z siebie prezydium, w którym utrzymywana jest zasada pewnej równowagi między prawicą, centrum i lewicą. Poza doraźną akcją w różnych lokalnych sprawach, zwłaszcza w zastrzeganiu interesów narodowych polskich w międzynarodowościowych tarcjach krajowych, Komitet Polski w sferze zasadniczych dyrektyw politycznych na jeden się tylko zdobył postulat, mianowicie proklamowanie zasady „łączności państwowej Litwy z Polską”, nie przesądzając form tej łączności. Gdy w ostatnich czasach, po 5 listopada, wypływać zaczęła kwestia wyraźniejszego aktywizmu, w Komitecie Polskim nastąpiły większe fermenty: skończyło się na secesji trzech członków prezydium ze skrajnej prawicy, najbardziej wszelkiemu aktywizmowi niechętnej (Kognowicki, Kaszowski i Dembowski, czyli tzw. „kakadu” wileńskie).

Obecnie panowie ci znów wchodzą do Komitetu, a w związku z ich wejściem ma być dokonany nowy wybór prezydium czyli wydziału. Na dzisiejszym zebraniu byli obecni w prezydium Komitetu: Kognowicki, Kazimierz Świątecki, dr Węślawski, Zygmunt Jundziłł, Witold Abramowicz, Władysław Zawadzki i Zwierzyński. Ja byłem zaproszony dla udzielenia informacji o sytuacji politycznej w Warszawie i o tym, jaki jest stosunek Warszawy do sprawy Litwy. Zreferowałem im wszystko, co wiem i jak ja te rzeczy rozumiem, ograniczyłem się jednak wyłącznie do roli informacyjnej, strzegąc się udzielania wskazówek i moich osobistych wniosków.

20 grudnia, rok 1916, środa

Wracam jeszcze do dnia wczorajszego. Tyle się rozpisalem o Komitecie Polskim, że na resztę zajęć, rozmów i posiedzeń wczorajszych nie wystarczyło mi w dzienniku miejsca. Otóż zacznę od moich pierwszych spotkań z Litwinami. Wczoraj mianowicie spotkałem się z Jerzym Šaulyssem. Do niego zwróciłem się pierwszego z Litwinów, tak ze względu na moje osobiste bliskie z nim stosunki, jak ze względu na jego przekonania, znane mi dotychczas jako szczerze i rzetelnie demokratyczne. Sądziłem, że z Šaulyssem najłatwiej się z Litwinów dogadam, bo nasze stanowiska ideowe były sobie zawsze najbliższe, i przez niego spodziewałem się do szerszych kół politycznych litewskich trafić, o co mi bardzo chodzi. Poszedłem więc wczoraj rano do Šaulysa, który mieszka w mieszkaniu Bułata (Bułat przed wkroczeniem Niemców wyjechał do Rosji, a obecnie, jak mi mówiono, bawi w Ameryce, gdzie prowadzi na większą skalę akcję pomocy materialnej dla Litwy; podobno Bułat zajmuje stanowisko zbliżone do socjalnych demokratów, negując wszelkie wartości wolnościowe i polityczne, z wojny ewentualnie wyciągane, i posuwa się tak daleko, że przeciwstawia akcję społeczno-ratowniczą na rzecz ofiar wojny nawet akcji oświatowej i narodowo-kulturalnej, prowadzonej przez Litwinów w kraju pod hasłem organiczności i wzmocnienia sił narodowych i narodowego stanu posiadania). Šaulysa w domu nie zastałem. Zostawiłem do niego bilecik, zawiadamiając o moim przyjeździe i wyrażając chęć widzenia się oraz wyznaczając mu godzinę u mnie w domu. Šaulys na wyznaczoną godzinę przyszedł do mnie. Przywitanie było bardzo serdeczne, ale od pierwszych słów rozmowy wyczułem, że Šaulys z pewną nieufnością stara się mnie wy badać. To mię niemiłe uderzyło, bo przecież nasza poprzednia znajomość oraz moja cała przeszłość w kraju dawały mi chyba dostateczną legitymację i mogłyby mi ufność jego zapewnić. Przecież gdybym nawet we wnioskach moich politycznych różnił się od wniosków Šaulysa czy też ogółu Litwinów, to mógłbym żądać, aby mi jednak przynajmniej tyle wierzone, że do wniosków tych, gdyby nawet błędnie, dochodzę z tych samych moich zasadniczych założeń krajowych i nie być podejrzanym o to, że założenia zmieniłem, te założenia, którym całą wiarą i czynem mego życia służyłem, i że podsuwam dla kraju wnioski polityczne, wyciągane nie z jego dobra, lecz z interesów choćby Polski. Niestety – zdaje się, że tej wiary u Šaulysa nie znalazłem i to mię zabolalo szczerze. Postanowiłem jednak być w Šaulyssem zupełnie szczerym. Zreferowałem mu wpiertw sytuację polityczną w Polsce, a następnie zreferowałem mu moją koncepcję próby rozwiązania sprawy Litwy w związku z powstającym państwem polskim. Koncepcja ta, o której już latem w dzienniku szczegółowo pisałem, jest próbą kompromisu, niedoskonałego wprawdzie z państwowych założeń krajowych, ale ewentualnie mogącego dźwignąć sprawę Litwy z martwego punktu bezwładu na tory pewnego aktywizmu, który by choć w pewnej mierze realizował postulaty państwowe Litwy: w postaci autonomicznej dla Litwy etnograficznej i w postaci dzielnicowo-samorządnej (w zakresie społeczno-gospodarczo-administracyjnym) dla Litwy polsko-białoruskiej, względnie Białej Rusi katolickiej. Największą wadę tej koncepcji jest przyjęcie *à priori*

zasady podziałowej względem Litwy. Moja próba koncepcji, ja to sam rozumiem, jest tylko akademicką, z dala od kraju obmyśloną, toteż nie zgłaszam jej w charakterze programu, jeno chcę ją do rozwiązania przedstawić, a cieszyłbym się sam najbardziej, gdybym się przekonał, że kraj jest gotowy do wyłonienia i aktywnego poparcia programu państwowego całokształtu Litwy. Faktem jest, że w dzisiejszym stanie kraju Białorusini są jeszcze za słabi, aby samodzielnie jakiś program krajowy, polityczny wystawić i wcielić w czyn, toteż na razie właściwymi politycznymi czynnikami są Polacy litewscy i Litwini. Pierwsi dążą do jak największego związku z Polską, drudzy – jak mię informował Boguszewski – skłaniają się obecnie znowu do pojęcia Litwy etnograficznej. Stąd mogłoby się zdawać, że jeżeli na gruncie państwowości całokształtu Litwy niepodobna ustalić programu, to może by się go dało oprzeć na podziałowej kombinacji takiej, która z jednej strony dawałaby Litwinom na ich etnograficznym narodowym terytorium statut prawno-państwowy, z drugiej – dawałoby Polakom litewskim na pozostałej części kraju, gdzie faktycznie oni dziś we wszelkich warunkach, nie fałszowanych z zewnątrz, władzę by posiadli – przynależność do Polski z zastrzeżeniem jednocześnie takich form samorządnych, które by dla Białorusinów dały możność dokonania swej narodowej formacji, by móc z czasem podnieść żądania państwowe i dla tej części kraju. Gdym jednak przestawił wczoraj moją koncepcję próbną Šaulysowi, a dziś ją powtórzył Kairysowi, u obu znalazłem opozycję. Muszę wyznać, że mię to tylko ucieszyło. Litwini bynajmniej do ścisłego pojęcia etnograficznej Litwy nie wrócili. Stoją oni, jak stanęli na początku wojny, na gruncie całości Litwy, a zwłaszcza tej całości, która faktycznie jest od Rosji oderwana i tworzy istotnie pewną, logiczną całość, logiczniejszą nawet od zupełnej całości W. Xięstwa. Jest to Litwa katolicka, zachodnia, która genetycznie i kulturalnie pewną odrębność tworzy. O wewnętrznym administracyjnym podziale tej litewskiej jednostki państwowej na Litwę właściwą (cała etnograficzna z wileńską gub. włącznie) i Litwę białoruską (gub. grodzieńska po wydzieleniu od niej powiatów etnograficznie polskich do Polski) Litwini chętnie mówią, ale zastrzegają zupełną niepodzielność państwową. Co zaś do najoporniejszej między Litwinami a Polakami litewskimi kwestii Wilna i spolonizowanych podwileńskich powiatów, która jest najtrudniejszym punktem do porozumienia i układu ich z Polakami, to Litwini są na tym punkcie nieprzejednani i żadnych zastrzeżeń podziałowych w kierunku choćby administracyjnego wydzielenia tej części z całości Litwy etnograficznej – nie chcą oni słyszeć. To jest najtrudniejszy zawsze orzech. Poza tym, w ramach państwowej niepodzielności Litwy (z uwzględnieniem powyższej ewentualności administracyjnego podziału na Litwę właściwą i białoruską) Litwini nie wykluczają idei kombinacji związkowej z Polską. Litwini czują i rozumieją dobrze znaczenie historycznej tradycji państwowej, na której łatwiej się im w kombinacjach międzynarodowych oprzeć, niż na nowej idei państwowej wywodzonej genetycznie z demokratycznych i etnograficzno-narodowych procesów, dla której trzeba dopiero wywalczyć uznanie w opinii świata, co jest b. trudne i problematyczne. Wolą więc gotową tradycję państwowości W. Xięstwa, która posiada siłę faktu historycznego, tym bardziej, że ta idea, ograniczona obecnie do terenu faktycznie oderwanego od Rosji, daje Litwinom perspektywę, w razie jej realizacji, ponownej ekspansji narodowej poza etnograficzną linię.

21 grudnia, rok 1916, czwartek

I znów się jeszcze do pozawczorajszego dnia cofnę.

Już rozmowa z Šaulyselem oraz parę rozmów z Polakami litewskim, jak Władysław Zawadzki i Wacław Studnicki, przekonały mię, że moja próbną koncepcja podziałowa względem Litwy jest nie tylko mało realna, ale nawet bodajże szkodliwa. Przekonałem

się, że u Litwinów nie ma ona żadnego gruntu i że byłaby przez nich z całą stanowczością zwalczana, bo, pozbawiając ich siły historycznego autorytetu państwowości litewskiej, nie daje im żadnych gwarancji co do spełnienia jakiegokolwiek – choćby autonomii – Litwy etnograficznej, a prowadzi jeno do wyrzeczenia się przez nich i oderwania od Litwy Wilna z dużym terenem katolicko-białoruskiego, a może częściowo i etnicznie litewskiego kraju, który zostałby już dla Litwy na zawsze po przyłączeniu do Polski stracony. Dla Białorusinów kombinacja taka jest jeszcze mniej do przyjęcia, bo oddałaby ich na łaskę polonizacji, tym bardziej, że żadnych gwarancji samorządności prowincji białoruskiej w Polsce by nie było. A chociaż z Białorusinami o tym nie mówiłem, jednakże i bez tego wyczuwam dobrze ich argumenty, a zresztą z rozmowy z Śaulyssem dość się o tym zorientowałem. Siłą rzeczy jest solidarność między Litwinami a Białorusinami wobec odśrodkowych tendencji Polaków litewskich, jest więcej nawet: jest cichy układ między Litwinami a Białorusinami, na którego mocy Białorusini zgadzają się na fakt przyłączenia Wilna i gub. wileńskiej do Litwy właściwej przy ewentualnym administracyjnym rozdziale białoruskiej części od litewskiej i poza tym Litwini na zewnątrz wobec Polaków biorą na siebie czuwanie nad interesami nie tylko swoimi, ale i białoruskimi. Z rozmów zaś ze Studnickim i Zawadzkiem wyczułem, że aczkolwiek w tych elementach o tendencjach wszechpolskich, które oni reprezentują, idea podziałowa budziłaby sympatię, jednak bynajmniej nie w tej myśli, o której realizację mnie by chodziło, stawiając na stół kompromisowy projekt podziału. Mianowicie im by chodziło tylko o przyłączenie etnograficznie Nielitewskiej (białoruskiej, względnie polsko-białoruskiej, ściślej gub. grodzieńskiej i wileńskiej z Wilnem) prowincji do Polski na rzecz jej zaanektowania w najprostszej postaci; na samorządność tej prowincji godziliby się tylko na słowach, aby tylko przez to nikogo nie drażnić i pod płaszczykiem tolerancji przemycić pożarcie, a że „*l'appetit vient en mangeant*”, więc chcieliby przy tej okazji uciąć jeszcze jak najwięcej z Litwy etnograficznej na rzecz tej anektowanej prowincji polskiej, gdzieś przynajmniej po rzekę Świętą, jeżeli nie Niewiażę albo nawet Dubisę, a następnie radzi by resztę Litwy etnograficznej choćby kaniem puścić. O, nie – pardon! Narzędziem takich spekulacji, na Litwie dokonywanych, służyć w podsuwaniu programów podziałowych nie będę. Pomimo to na specjalnym zebraniu grupy Witolda Abramowicza pozawczoraj zreferowałem jeszcze moją próbną koncepcję podziałową, ale już raczej tylko dla wysondowania opinii i nastrojów w tej grupie polskiej. Obecni byli na tym zebraniu (u Zygmunta Jundziłła): Witold Abramowicz, Zasztowt, Bagiński, Jundziłł, Ludwik Chomiński, Nagrodzki, Studnicki, Dmochowski i Dobaczewski. Z dzielną opozycją niepodzielności krajowej wystąpili przeciwko argumentom mojej próbnej koncepcji Bagiński i Zasztowt z lewicy oraz Chomiński i Jundziłł z rdzenia grupy Abramowiczowskiej. Przeciwwstawili koncepcji tej argumenty społeczne i gospodarcze, poza tym argumenty odrębnej indywidualnej struktury kraju tak pod względem narodowym, jak historyczno-państwowym. Opozycja ta bardzo mię ucieszyła, bo ujrzałem przecież i wśród Polaków litewskich żywotność myśli krajowej; jest to zwłaszcza pocieszające u takich elementów, jak Jundziłł i Chomiński, którzy nie z teoretycznej dyalektyki demokratycznej, ale z żywego poczucia realizmu stosunków dochodzą do tych wniosków. Rzecznikami mojej koncepcji wystąpili... Wacław Studnicki i Nagrodzki, wychodzący właśnie ze wszechpolskich nacjonalistycznych tendencji, najdalszych od moich założeń. Na tej dyskusji przekonałem się ostatecznie o wadliwości, a nawet szkodliwości podziałowej koncepcji, którą też sam całkowicie odrzuciłem. Sam Witold Abramowicz, który zawsze szuka wyjść pośrednich, godzących krańcowe odskoki tendencji, przechylił się w przemówieniu swoim na rzecz argumentów programu niepodzielności państwowej Litwy.

Pozawczoraj wieczorem byłem zaproszony na odczyt czy też pogadankę do Klubu Rzemieślniczego. Był to mój pierwszy mniej więcej publiczny występ w Wilnie w czasie obecnego pobytu. Za tym pierwszym posypały się inne. Dzień w dzień mam zamówienia na odczyty i pogadanki. W Klubie Rzemieślniczym zebrało się liczne grono słuchaczy – członkowie klubu rzemieślnicy, dużo pań z inteligencji miejskiej i spora garstka młodzieży z P.O.W. Honory gospodarza robił mi Nagrodzki. Wygłosiłem przemówienie, w którym scharakteryzowałem zwłaszcza ideę i metodę czynu Piłsudskiego, analizując ją przeważnie na Legionach i na sporze o Legiony między obozem Piłsudskiego z jednej strony a obozem Ligi Państwowości, Departamentu Wojskowego i NKN-u z drugiej. Po referacie moim podano kolację, złożoną z cielęciny z kartoflami, zgoła niepospolitej osobliwości w obecnych głodowych czasach w Wilnie, i z herbatki. Później posypał się szereg pytań i wyjaśnień z mojej strony co do sytuacji politycznej w Królestwie, Rady Stanu, sprawy armii, stosunkach chłopów w Polsce do aktywizacji itp. Wieczór upłynął w ciekawej i ożywionej wymianie myśli. W końcu młodzież z P.O.W., oczywiście wielce zadowolona z mojego sposobu traktowania akcji Piłsudskiego i czująca we mnie strzelca I Brygady, zaśpiewała w drugiej sali szereg pieśni patriotycznych.

Wczoraj znów w klubie „Samopomocy” (klub, względnie stowarzyszenie wzajemnej pomocy b. urzędników Zarządu Miejskiego rozwiązanego przez Niemców) miałem również odczyt na temat zwłaszcza sytuacji politycznej i Rady Stanu. Oprócz członków tego klubu, którego prezesem jest Zasztowt, było też dużo gości, sala była pełna.

Wszystkie twarze niemal znajome, dobrzy znajomi Wilnianie: był i prezydent Węśławski i inżynier Adolf, i dr Jabłonowski, i Gabriel Sokołowski, i brat Brygadiera Adam Piłsudski, i wielu, b. wielu innych. Tu już było więcej elementów moskalofilskich albo przynajmniej sceptyków i pasywistów. Ale tu w Wilnie nawet ci tęskniący po cichu do powrotu Moskali nie są właściwie moskalofilami i uczuciowo wszyscy, bez wyjątku niemal, sprzyjają niepodległościowej sprawie i żywią dla jej rzeczników gorące uznanie, choćby nawet nie wierzyli w skuteczność. Doświadczam to na sobie w niezwykle serdecznym stosunku do mnie, który jest powszechny.

22 grudnia, rok 1916, piątek

Jestem tak rozrywany w Wilnie, że nie mogę nadażyć streszczaniu w dzienniku tych zebrań, konferencji i pogadań, w których udział biorę.

Wczoraj byłem zaproszony na obiad do Nagrodzkiego. Był to obiadek w ściślejszym kółku dawnych przyjaciół na cześć moją. Oprócz Nagrodzkiego z rodziną, byli na obiedzie zaproszeni Witold Abramowicz, Bronisław Krzyżanowski i Janek Piłsudski. Dzisiaj, chociaż jesteśmy sobie w tym kółku bliscy, jednak każdy z nas reprezentuje już trochę odrębną tendencję; życie, rozwój stosunków, bieg własnej idei naszej – rozproszyły nas w nieco różnych kierunkach nie tylko działalności, ale i aspiracji. Ostatecznie w każdym z nas logika założeń ideowych oraz ciężarów życiowych dokonała zmian i ewolucji. Ale był czas, żeśmy tworzyli w tym gronie najściślejsze jądro demokratycznej i krajowej akcji w Wilnie. Od roku 1905 łączyła nas współpraca ciągła w różnych kombinacjach warunków i konkretnych zadań. Byliśmy z Nagrodzkim, Krzyżanowskim, Witoldem Abramowiczem i Jankiem Piłsudskim zawiązkiem demokratycznych polskich na Litwie zapoczątkowań i pamięć tej współpracy w wspólnej idei utrzymała spoistość naszego stosunku wzajemnego, pomimo różnic, które się ujawniły później. Zresztą i dotąd dużo pozostało między nami punktów stycznych. Obiadek upłynął nam w serdecznej poufnej atmosferze. Było i po kilka kieliszczków wódeczki, i trochę wędlinki i grzybków na przekąskę, i niezłe, a zwłaszcza obfite, jak na czas wojenny, kołduny litewskie – rzeczy, których wartość człowiek dopiero teraz

ocenić umie, była wreszcie gawędka miła. Potem przy herbatce zasiedzieliśmy się do godz. 6. O godzinie zaś szóstej tegoż dnia wczorajszego wybrałem się wprost od Nagrodzkiego na zebranko grupy socjalistów i sympatyków socjalizmu, na które znów dla referowania i pogadanki zaproszony byłem. Grupa ta, złożona z 20-30 osób, powstała niedawno i jest przeważnie w składzie swoim inteligencka. Wyłoniła się ona z pragnienia skonsolidowania się elementów lewicowych o pewnym zabarwieniu socjalistycznym, przynajmniej w ideologii, dla których tzw. demokratyczne czy też postępowe ugrupowania inteligenckie, w rodzaju grupy Abramowicza, są za mało radykalne i zbyt tchnące w metodach burżuazyjnością. Elementy lewicy, mniej lub więcej zbliżone do socjalizmu, a choćby tylko szczerze demokratyczne, chodziły do niedawna w Wilnie luzem. Po rozpyleniu się i rozbić organizacyjnym partii i partyjek socjalistycznych pozostała garść rozproszonych, samopas rzuconych jednostek, które nigdzie dla siebie miejsca do działania znaleźć nie mogły. Różnice, które niegdyś dzieliły ich partie, przestały właściwie ich, jako jednostki, dzielić, bo 1° z upadkiem samych partii straciły one wagę, 2° stosunki w Wilnie i w kraju zbyt daleko odbiegły od sytuacji, w której powstawały i rozwijały się dawne partie socjalistyczne, i 3° oni sami zatracili dużo z socjalistycznych pierwiastków swej ideologii. Tymczasem wypadki zewnętrzne i ostry stan przesilenia politycznego, wytworzonego przez wojnę, zaganiały ludzi do obozów politycznych i do szykowania się do czynu. Chodzić luzem, samopas było coraz trudniej. Wobec tego spróbowano w Wilnie utworzyć Związek Demokratyczny, a gdy ten okazał się nieżywotnym, elementy lewicy zorganizowały się w grupie socjalistów i sympatyków socjalizmu. Byli członkowie S.D.K.P.iL., Lewicy PPS i innych dawnych formacji partyjnych wraz z bezpartyjnymi socjalistami, sympatykami socjalizmu i szczerzszymi demokratami połączyli się w jedno. Grupa ta nie ma charakteru partyjnego i nie opiera się o żaden ruch masowy, żadnej też akcji robotniczej nie prowadzi, ma tylko w ideologii pewne socjalistyczne, chociaż bardzo zdaje się, złagodzone, aspiracje, które istotnie raczej tylko sympatiami nazwać można. Do ruchliwszych i czynniejszych ludzi w tej grupie należą Zasztowt, Bagiński, Ladowski, Sochacki (człowiek nowy w Wilnie, przyjechał z Dyneburga). Poza tym, na zebraniu grupy widziałem i wielu innych mniej lub więcej znajomych mi ludzi, jak Kazimierz Ostachiewicz, dr-owa Bańkowska (Ostachiewiczówna z domu), stary Leonard Rymkiewicz i inni. Grupa sympatyków socjalizmu nie wydaje mi się zupełnie jednolita, ale bądź co bądź uważam ją za dodatnią formację w życiu Polaków litewskich w Wilnie, bo wnosi ona jednak pewien ton demokratyczny do stosunków. Poszczególni członkowie tej grupy biorą żywszy udział i mają wpływy bądź w Klubie Rzemieślniczym, bądź w Klubie Robotniczym – dwóch sympatycznych ludowych organizacji wileńskich; szkoda tylko, że grupa jako całość nie jest w jakikolwiek sposób organizacyjnie związana z tymi klubami, zwłaszcza z robotniczym, bo to by zarówno jej wewnątrz dało większą moc, zapewniając czucie z podłożem demokratycznym istotnie ludowym, jak na zewnątrz wzmocniłoby jej wagę w społeczeństwie. Z działalności grupy sympatyków socjalizmu pierwszym krokiem było sformułowanie programu w sprawie Litwy, sformułowanie wcale dobre, uwydatniające postulat państwowości niepodzielnej Litwy (dziś pod niepodzielnością Litwy rozumie się niepodzielność Litwy zachodniej w graniach faktycznego jej oderwania od Rosji, to znaczy w zakresie gub. grodzieńskiej, wileńskiej, kowieńskiej i suwalskiej), protestujące przeciwko wszelkiej aneksji kraju (bądź przez Rosję, bądź przez Niemcy, bądź Polskę) i określające potrzebę państwowego związku Litwy z Polską na zasadach równorzędności. Na zebraniu wczorajszym referowałem, jak na większości innych zebrań, o sytuacji politycznej w Królestwie, o politycznej budowie sił aktywizmu i

pasywizmu itd. Zapytania i moje odpowiedzi na nie zabrały cały czas do wieczora, aż koło godz. 10 trzeba już się było rozejść.

W dniu dzisiejszym miałem dwa posiedzenia: jedno u Litwinów w lokalu „Lietuvių Mokslo Draugijos” i drugie u młodzieży, w kółku samokształcenia, w mieszkaniu Zashtowta. Opiszę je jutro.

23 grudnia, rok 1916, sobota

Zebranie u Litwinów w „Mokslo Drangii” odbyło się wczoraj o godz. 11 przed południem. Mnie osobiście chodziło bardzo o to, aby się z Litwinami spotkać, zreferować im sytuację polityczną w Królestwie, co z pewnością i dla ich własnej orientacji jest pożyteczne, i przedstawić im nastroje w Polsce względem Litwy oraz te ewentualne perspektywy, które dla Litwy płyną z faktu powstawania państwa polskiego. Zebranie na moją prośbę zwołał Šaulys. Na zebraniu tym obecni byli Litwini i sędziwy dr Jan Bassanowicz, dr Antoni Vileišis, Antoni Žmujdzinowicz z żoną, Antoni Smetona, ksiądz Stankiewicz, Jerzy Šaulys, Stefan Kairys, Michał Biržiška i dr Andrzej Domaszewicz (znaczny jest brak wielu wybitnych działaczy litewskich w Wilnie i w ogóle w kraju, wielu z nich wyjechało przed wkroczeniem Niemców – do Rosji, w szczególności wielki brak Jonasa Vileišisa, którego Niemcy wywieźli i zamknęli w obozie jeńców cywilnych; taki sam los spotkał Janulaitisa). Litwini przywitali mnie uprzejmie. Niestety – zdaje się, że mundur Legionów polskich, noszony przez obywatela Litwy, nie jest przez Litwinów uważany za stosowny i w każdym razie spotyka z ich strony pewną rezerwę; uważają oni, że bez ustalenia jakichś określonych w drodze układu obu krajów formuł stosunku sprawy Polski do sprawy Litwy wstąpienie do Legionów może być przedwczesnym przesądzaniem rzeczy w kierunku pozorów tendencji aneksyjnych Litwy do Polski. Być może, że Litwini mają poniekąd rację, ale jam wstąpił do Legionów w tym jeszcze stadium, kiedy ani Litwa, ani większa część Polski nie były jeszcze od Rosji faktycznie oderwane i kiedy na porządku dziennym politycznych postulatów było jeszcze nie zagadnienie stosunku Polski do Litwy w przyszłym urzędzeniu ich losów, ale dopiero elementarne zagadnienia oderwania choćby samej tylko Polski od Rosji. Wyniki faktów na polach bitew ciągle i głęboko z dnia na dzień zmieniają postać zagadnień politycznych. Przed 1 ½ rokiem, gdy Moskale mocno jeszcze siedzieli w Wilnie i Warszawie, inaczej się zagadnienia prezentowały, niż dzisiaj. Sprawa Polska była wtedy tą jedyną czynną dźwignią, która się na terytorium państwa rosyjskiego jego państwowości przeciwstawiała. Była ona niemniej dźwignią czynną i dla Litwy samej na rzecz jej od Rosji oderwania. Dziś już konkretniejsze zachodzą zagadnienia. Zresztą Litwini nie okazali mi na zewnątrz żadnych zastrzeżeń co do mojego charakteru legionisty polskiego. W obszernym przemówieniu scharakteryzowałem im naturę i różnice metod aktywizmu państwowego polskiego, skreśliłem też obszernie dzieje tego aktywizmu przez cały ciąg wojny, wreszcie naszkicowałem zagadnienia realizacji aktu 5/XI w obecnym momencie. To była czysto informacyjna część mego referatu. Następnie przeszedłem do drugiej części, w której poruszyłem sprawę Litwy. Przedstawiłem, jak się ta sprawa w Polsce stawia i jakie stąd płyną dla Litwy perspektywy i tu pozwoliłem sobie poza stroną ściśle relacyjną postawić kilka wniosków od siebie. Mianowicie stwierdziłem przede wszystkim ten fakt, że zainteresowanie Litwą i poczucie wagi tej sprawy dla powstającego państwa polskiego w obozie aktywizmu rośnie, bo oczywiście dla państwa polskiego, tworzonego w warunkach geograficznego i międzynarodowego sąsiedztwa z takimi potęgami, jak Niemcy i Rosja, los ziem i krajów, które ewentualnie mogą je oddzielać od tych potęg, nie jest i nie może być obojętny, nie mówiąc już o innych czynnikach historycznych, wiążących Polskę z Litwą. Znaczenie sprawy Litwy

dla państwa polskiego będzie się coraz bardziej uwydatniać i niewątpliwie Polska będzie musiała wcześniej czy później w toku swego budownictwa jeszcze w ciągu tej wojny określić konkretniej swoje wobec Litwy postulaty. Dotąd koła polityczne aktywizmu polskiego mówią jeszcze ogólnikowo o „łączności” państwowej Litwy z Polską, nie określając tej łączności bliżej, ale już w szerszych masach aktywistycznych zainteresowanie Litwą i poczucie wagi sprawy Litwy dla Polski ma tendencję wylewania się w najprostsze formuły „przyłączenia”. I o ile Litwa ze swej strony nie wystawi wyraźnych własnych postulatów państwowych i nie wytworzy na ich gruncie aktywizmu własnego, ewentualnie o ile sama nie wystawi formuły swego stosunku do Polski, o tyle w Polsce zainteresowanie się sprawą Litwy z pewnością skieruje się na linię aneksyjną. Od Litwy zależy, aby własną myślą państwową, w postulaty mocne ujętą, zaszachowała te ewentualności aneksyjnych tendencji, które w przeciwnym razie siła rzeczy, siłą konieczności dziejowych, siłą warunków obiektywnych, w jakich państwo polskie powstaje, w Polsce się rozwiną. Moim zdaniem, dla Litwy, której grożą bądź zabór niemiecki, bądź powrót do Rosji, względnie podział i która ma w okolicznościach tej wojny oraz w nie dość rozwiniętym, na skutek zwłaszcza swej różnonarodowości, własnym aktywizmie – mało szans spełnienia całkowitej niepodległości własnej, znaczenie jej dla Polski jest wielkim Litwy atutem, który mogłaby ona wyzyskać z wielką dla siebie korzyścią. W kontakcie z powstającym państwem polskim, słabym i tak mało jeszcze ugruntowanym zarówno wewnątrz, jak międzynarodowo, a tak w losach i we wspólnictwie z Litwą zainteresowanym, mogłaby Litwa zastrzec bardzo dużo w kierunku swej państwowości, czego ani wobec Niemiec, ani wobec Rosji nie zdołałaby zrobić. A i w przyszłości najbliższej także – Litwa w związku z Polską byłaby mogła lepiej, niż w jakiegokolwiek formie łączności czy to z Rosją, czy Niemcami, uchronić swoją państwowość od ewentualnych zakusów odebrania jej tejże, bo Polska będzie przez długi czas jeszcze słaba wewnątrz i na zewnątrz, będzie zagrożona i będzie musiała bardzo się z Litwą liczyć. Ale na to trzeba, aby Litwa wyraźnie i silnie sztandaru swej państwowości strzegła. Rozumiem, że największą trudność do wyzyskania przez Litwę tych atutów przedstawiają Polacy litewscy z ich prądami „byle z Polską”, którzy gotowi są nic nie zastrzegać i o żadne atuty się nie upominać. To wszystko Litwinom przedstawiłem.

24 grudnia, rok 1916, niedziela

Na pozawczorajszym zebraniu u Litwinów w „Mokslo Drangii” dyskusji nie było. Litwini traktowali to zebranie jako informacyjne. Słuchali mnie z ciekawością, przyjęli do wiadomości wszystko, co im o sytuacji politycznej w Polsce i o stosunku jej do Litwy zreferowałem, wysłuchali też osobistych uwag moich i na tym się skończyło. Czy Litwini dobrze myśl moją zrozumieli – tego nie wiem, bo sam Biržiška, najmniej podejrzany o nacjonalizm litewski, powiedział mi po zebraniu, że ja jakoś „zwarszawiałem”, co by świadczyło, że w jego wrażeniu zatracił się u mnie grunt krajowy litewski. Skąd taki wniosek – nie wiem, bo ja całkowicie ze stanowiska państwowego litewskiego rzecz względem stosunku do Polski traktowałem. Właściwie wniosków własnych wobec Litwinów nie stawiałem, jeno ograniczyłem się do relacji i do uwag osobistych w ocenie perspektyw dla Litwy. Nie przeczę, że perspektywy te przedstawiają mi się dzisiaj w świetle coraz mniej pocieszającym. Możliwości obiektywne, moim zdaniem, dla Litwy w kierunku jej państwowości są bardzo dobre i to właśnie na gruncie kontaktu z Polską, ale cóż, kiedy możliwości same przez się nie mogą działać: muszą one być brane, rozwijane i wykorzystywane – własnym aktywizmem, własną wolą i czynem Litwy, a pod tym względem stan jest smutny. Litwa, rozdarta narodowo, nie może się zdobyć na własną myśl państwową, na własny

program. Litwini go mają, ale Polacy litewscy, przez swoje popularne dążenie za wszelką cenę do Polski, utrudniają wykonanie państwowego programu Litwy, który właśnie w związku z Polską najlepiej by się dał zrealizować. Wróć jeszcze do tego tematu innym razem. Zwrócę uwagę na to, że jednak i Litwini grzeszą – mam wrażenie – brakiem realizmu. Mianowicie dostrzegając nawet obiektywne możliwości i uznając pewnego rodzaju mus warunków dziejowych do tworzenia państwowości litewskiej w kontakcie przynajmniej solidaryzmu z Polską, ociągają się z przedsięwzięciem jakichś kroków i będąc paraliżowani przez obawę i niechęć względem politycznie wszechpolskich tendencji Polaków litewskich (trzeba jednak zastrzec, że te tendencje nie są wyłącznie wszechpolskie, bo są u Polaków litewskich także prądy w duchu unii, opierające się na państwowości litewskiej), czekają, aż możliwości związku z Polską dojrzeją do tego stopnia, że będą już niemal pewnikiem. Otóż w przeciąganiu struny czekania jest duże niebezpieczeństwo, którego sobie nie uświadamiają Litwini (względnie – mam wrażenie – najwięcej, a może jedyny, uświadamia to sobie Kairys, który politycznie wydaje mi się najbardziej wyrobionym). Nie robiąc żadnych kroków zawczasu i nie zastrzegając nic w tym stadium, kiedy obiektywne możliwości są jeszcze w załączku, ryzykuje się straceniem wszystkiego. Bo obiektywne możliwości mają jednak swoją logikę i jeżeli ich nie podejmie i nie skorzysta z nich jeden, to może podjąć i skorzystać drugi. A potem, gdy one dojrzeją, to już im nadany być może przez tych, co aktywizm swój na nich oprą, taki kierunek, który dziś mógłby być jeszcze uchylony, a wtedy już będzie za późno. Jeżeli Litwini o ideę państwowości nie będą zabiegać i aktywizmu na niej opierać w kontakcie z powstającą Polską, to może przyjsć czas – i ja to przewiduję przy dłuższym trwaniu wojny – że sprawa łączności ziem litewsko-białoruskich z Polską stanie się zupełnie realną międzynarodową kombinacją, a tymczasem w Polsce i wśród Polaków litewskich nabierze ona już kategorycznego wyrazu aneksyjnego i wtedy zmienić to w kierunku państwowości Litwy – unii czy federacji – będzie trudniej, a bodajże i niemożliwie, podczas gdy dziś odpowiednią akcją dałoby się jeszcze dużo zastrzec. Wtedy może przyjsć ewentualność podziałowa między Polską i Niemcami, i to podziałowa w najgorszym, najprostszym – aneksyjnym duchu. Na wyczuciu tego właśnie niebezpieczeństwa opierałem ja moją próbną koncepcję podziałową względem Litwy, chcąc przynajmniej coś z rozbijającego się okrętu państwowości litewskiej salwować. Dziś koncepcję tę odrzucam, bo widzę, że koncepcja państwowa trwa, a jest ona zawsze o niebo całe wyższa od podziałowych, choćby autonomiczno-samorządnych, ale cóż – kiedy sama koncepcja bez akcji jest bezsilna. Litwini są w koncepcji mocni, konsekwentni i mądrzy, ale realizmu w tak odpowiedzialnym momencie dziejowym mają za mało. Realizmu nie myśli, ale działania. W takim momencie sprężystość działania realnego, oportunizm czynu (nie idei i zasad) jest konieczny.

Ale nie wolno mi, ze względu na ograniczone miejsce, zbyt długo na jednym się zatrzymywać. Przechodzę do dalszych ogniw mojego wileńskiego czasu. Tegoż dnia, co u Litwinów – pozawczoraj – wieczorem miałem zebranko u młodzieży. Zaprosił mię na nie Zasztowt. Jest to kółko samokształceniowe polskiej młodzieży szkolnej wileńskiej o kierunku postępowym i głęboko wolnościowym. W kółku tym żywy udział biorą córki Zasztowta, żywe i inteligentne jak on, a pełne humanitarnych i wolnościowych ideałów dziewczynki. Zebranie odbyło się w mieszkaniu Zasztowta. Starsza Zasztowtówna jest koleżanką mojej siostrzenicy Ewy Römerówny, córki Maryńki, toteż i Ewa była zaproszona. Wprosił się też i syn Maryńki, Stefuś, który przyszedł na zebranko wraz ze mną ze względu na to, że na zebranku dzisiejszym miał w kółku przemawiać legionista, i to nie byle jakiś przygodny, ale ja, wileński Michał Römer; zaproszono młodzieży dużo i z poza kółka. Zgromadził się cały zastęp młodzieży obojga płci, kilkadziesiąt

osób – dużo ładnych dziewczynek i nie mniej chłopców, w tej liczbie i z P.O.W. Lubię i kocham młodzież, bo ta jest zawsze żywą, czującą gorąco, rwącą się do czynu, pełną iskry Bożej, mądrą nie w samej tylko myśli, ale w doskonałym zespole wszystkich władz psychicznych, dążących do emanacji, a zawsze czystą i szlachetną w czuciu prawdy i w zapale ideowym. Mówiłem im o sytuacji politycznej w Warszawie, o Piłsudskim, o Legionach, o I Brygadzie. Byłem tylko trochę zmęczony i osłabiony ciągłymi zebraniem i konferencjami, w których ciągle jak najczynniejszy udział brać muszę, toteż może zbyt intelektualnie, jak dla młodzieży, traktowałem sprawę. Ale zdaje się, że młodzież była zadowolona i że strawę dla swych aspiracji czynnych posiadała. Następnie spędziłem resztę wieczoru na miłej i serdecznej herbatce u kochanego Zasztowta, przy której opowiadałem moje przygody wojenne z zeszłorocznej naszej kampanii poleskiej oraz różne rzeczy z wewnętrznych stosunków w Legionach i w I Brygadzie.

25 grudnia, rok 1916, poniedziałek

Dzień Bożego Narodzenia. Trzecie święta, upływające w czasie wojny. Jak każde z nich, inaczej spędzone przeze mnie. Święta Bożego Narodzenia roku 1914, jeszcze podług starego stylu, spędziłem w Bielsku i Robertowie u Kotuńki i Elwiry, jeszcze po tamtej stronie kordonu i jeszcze w cywilu; marzyłem już o Legionach, ale daleko jeszcze mi było do nich i niedużo się jeszcze wtedy zmieniło przez wojnę w moich warunkach życia. Święta roku 1915 spędziłem samotnie, z dala od kraju i rodziny, w szpitalu wojskowym krakowskim jako chory legionista. Święta roku bieżącego spędzam w Wilnie, w kraju, wśród swoich, ale jako żołnierz urlopowany, gość, człowiek, wracający na krótko z dalekiego świata, do którego kołem wojny został wciągnięty i dziś należy. Jakże będą święta następnie roku 1917 i gdzie je spędzę?

Ale muszę się cofnąć o dwa dni, aby w kolejce rzeczy dzień dzisiejszy w dzienniku dogonić.

Pozawczoraj był dzień wilii, czyli kucji, jak przywykłem ten dzień i tę wieczór wigilijną od dzieciństwa nazywać. Ponieważ właściwa wigilia świąt wypadła na niedzielę, więc dzień kucji został cofnięty na sobotę. Dzień ten spędziłem w domu. Poświęciłem go własnemu wypoczynkowi, sobie, Maryńce i domowi. Rano tego dnia poszedłem z Marynką do dr Jabłonowskiego, aby mię zbadał. Marynka nalegała na to, niepokojąc się o zdrowie moje. Rzeczywiście nie jest ono najlepsze. Zmizerniałem tak, że tylko cień pozostał z tego, co był przed moim wyjazdem z Wilna. Ani śladu już brzuszka, który mi rósł pokaźnie, ni tłuszczu już w ciele. Mniejsza zresztą o zmizernienie, które by mi nawet na dobre wyszło, gdyby tylko o nie chodziło. Zawsze chciałem zmizernieć i ludzie winszują mi teraz tego i uważają, że przez to lepiej wyglądam. Wszyscy w Wilnie zwracają uwagę na mój wielki ubytek ciała. Gorsze jest jednak to, że czuję się bardzo słaby i wyczerpany fizycznie. Miewam zawroty głowy, nie mogę się wysypiać, choćbym spał długo, chwilami czuję się tak słaby i wątły jak słomka, apetytu też nie mam takiego, jak dawniej (to może i lepsze w obecnych czasach, gdy nie ma co jeść). Życie wojskowe nie służy mi ani w polu, ani w koszarach. Dr Jabłonowski zbadał mię i pierwszą i kapitalną rzecz, którą stwierdził, to bardzo zły stan serca. Sam o tym wiem i czuję to dobrze. Pod tym względem dr Jabłonowski nie robi mi nadziei, aby serce wróciło do poprzedniego stanu. Powiada, że to byłoby możliwe chyba wtedy, gdybym miał lat 18. Co najwyżej obecnie można powstrzymać dalsze pogarszanie się, ale na to niezbędnym jest porzucenie wojskowości. Mała rzecz! Do Rady Narodowej, po przekonaniu się w Warszawie, czym ona jest, nie pójdę, a zresztą po zorientowaniu się w stosunkach w Wilnie i tak bym nie poszedł dla fabrykowania polityki litewskiej w Warszawie bez oparcia o krajowe postulaty, oparcia

zaś tego, niestety, w tendencjach krajowych i w ich układzie obecnym nie dostrzegam. Tak zaś, bez żadnego uzasadnienia, porzucić wojskowość w czasie wojny – niepodobna. Co najwyżej mógłbym być przeniesiony do „lekkiej służby”, ale tego w obecnych okolicznościach jeszcze nie życzę, a przynajmniej nie życzę pod pozorem zdrowia (co innego – o ile zostanę tam skierowany drogami służbowymi przy rozwoju armii polskiej). Stwierdził też dr Jabłonowski, że organizm mój spożył już cały swój zapas tłuszczu i że pozostały tylko skóra, kości i suche mięśnie oraz że już następuje ubytek białka. Zalecał forsowne odżywianie się i chciał mi arszenik przepisać, a gdy się nie zgodziłem, przepisał żelazo. Nie będę go jednak brać, a co do odżywiania się forsownego, to skąd go wziąć, gdy i środków spożywczych, i pieniędzy prawie nie ma. Zaczyna kochana Maryńka chce się wystarać dla mnie 100 rb. i dać mi to na zasiłek przy odjeździe moim; trudno jej samej to przyjdzie, a zresztą – co to dziś znaczy 100 rubli? Zaledwie coś na parę miesięcy na lekkie uzupełnienie minimum odżywiania się, ale na forsowne i suto jedzenie stałe to trzeba by pieniędzy i pieniędzy bez końca wobec cen dzisiejszych i środków spożywczych.

Na kucji byłem pozawczoraj w domu, u Maryńki. Kucja w domu wśród swoich jest najprzyjemniejsza. Oprócz domowników, to znaczy mnie z Marynką, jej dzieci – Ewy i Stefusia, oraz panny Maniusi, koleżanki Ewy, dziewczyny bezdomnej, którą Maryńka przysparza i utrzymuje u siebie na równi z własnymi dziećmi, byli jeszcze na kucji: Staś Römer, brat Witolda, który jak był poprzednio na początku wojny, dopóki byli Moskale, zajadłym moskalofilem, tak teraz jest niepodległościowcem i gorącym wyznawcą aktywizmu polskiego, stara, już przeszło 80-letnia ciocia Ludka Świdówna za swą towarzyszką, panną Binią, i niejaki, p. Siemianowski, Polak z Poznańskiego, urzędnik cywilno-wojskowy niemiecki, który dawniej stołował się u Maryńki i jest jej adoratorem. Kucja była skromna, daleka od zwykłych dawnych uczt wigilijnych, ale była przecież i ryba, i śliżki z makiem, i podsyto, i groch z pszenicą, i opłatek, i obrus na sianie. Po naszej kucji przełamaliśmy się opłatkiem z naszą pocziwą służbą z kochaną wierną Anuśką na czele, zasiadającą do swojej kucji przy stole kuchennym. Zdarzyło mi się trak, że nazajutrz, to znaczy wczoraj, drugą kucję spożyłem. Mianowicie poszedłem wczoraj rano złożyć wizytę p. Tadeuszowi Wróblewskiemu. Tyle się od różnych osób, a w szczególności od Wacława Studnickiego, nasłuchiwałem o rzekomym moskalofilstwie p. Tadeusza, który miał być duchem doradczym państwowego lojalizmu rosyjskiego b. Zarządu Miejskiego w Wilnie w pierwszym okresie okupacji (obecnie już od dłuższego czasu Zarząd Miejski został przez Niemców rozwiązany), że wobec tego wątpiłem, czy będę dobrze widziany w domu p. Tadeusza, tym bardziej, że już z czasów przed moim z Wilna wyjazdem wiedziałem, iż p. Tadeusz jest bardzo daleki od idei Legionów. Wahałem się więc, czy iść do niego, czy nie. Poszedłem jednak. Wróblewski przyjął mnie b. grzecznie i przyjemnie, choć nadal jest od całej sprawy aktywizmu państwowego polskiego daleki. Jednak operuje nie moskalofilstwem, jeno czysto socjalno-demokratycznymi kategoriami myślenia. Zaprosił mnie p. Tadeusz na wieczór na wilię „Szubrawców”, która akurat tego dnia miała się odbyć.

26 grudnia, rok 1916, wtorek

I znów się do pozawczorajszego dnia cofnę. Jestem ciągle „*en retard*”. Przede wszystkim, kilka słów o niedzielnej wili „Szubrawców”. Wskreszeni przez Wróblewskiego „Szubrawcy” wileńscy, różniący się jednak wielce od swych sławnej i światłej pamięci poprzedników sprzed stulecia – bo dzisiejsi są przede wszystkim zgromadzeniem patentowanej filisterii „ojców miasta”, podczas kiedy dawni byli ideowcami i siewcami promieni humanizmu i cywilizacji – przetrwali jednak i burzę

rewolucyjną r. 1905, i sroższą jeszcze od niej katastrofę wojny obecnej. Przerzedziły się wprawdzie ich szeregi, bo wielu z nich uciekło z Moskalami do Rosji, ale garstka filarów została. Na wieczór w tradycyjnym mieszkaniu p. Tadeusza zgromadzili się i zasiedli do wieczerzy wigilijnej „Szubrawcy”: Tadeusz Wróblewski, prezydent Michał Węśławski, dr Witold Węśławski, dr Tadeusz Dembowski, dr Adam Rymsza, Ksawery Zubowicz, Konrad Niedziałkowski, Bronisław Umiastowski, Ignacy Parczewski, dr Kiewlicz, dr Łukowski, Michał Brensztejn, Ludwik Chomiński i dr Kazimierz Dmochowski oraz ja jako gość. Na pierwszym miejscu za stołem zasiadł prezes „Szubrawców” Michał Węśławski, ja, jako gość, siedziałem tuż obok prezesa. Na stole przed prezesem za jego nakryciem leżały insygnia „Szubrawców”: duży puchar srebrny z wyciętymi na nim *facsimile* podpisów członków, a za pucharem małego formatu miotła w srebrnej oprawie i ze srebrną rączką, złożona na krzyż z łopatką; na rękojeści łopatki wbijane są co roku na wilię po jednym pamiątkowym gwoździu srebrnym, znaczącym czas istnienia towarzystwa; każdy gwóźdź nosi datę roku. Najstarszy jest gwóźdź roku 1900, roku założenia wskrzeszonych „Szubrawców”, gwóźdź 1910, jako jubileuszowy, znaczący 10-lecie „Szubrawców”, jest złoty. Gwóźdź tegoroczny, roku 1916, gwóźdź wojenny, jest już tylko żelazny, gwóźdź roku okupacji i głodu, zeszloroczny gwóźdź 1915, choć również w dobie okupacji wbity, jest jeszcze srebrny. Miód do pucharu powinien dostarczyć ktoś z członków; dostarczył go w tym roku p. Parczewski. Ludwik Chomiński i ktoś jeszcze przynieśli starki. Po przełamaniu się opłatkiem pito starkę, a na przekąskę był śledź i biały ser domowy z kminkiem – zakąska iście wojenna. Sama zaś wieczerza składała się z buraczków, kotletów kartoflanych i śliżyków i na tym koniec. Po kolacji nalano miód w wielki puchar, Michał Węśławski wznosił krótki toast, napił z pucharu i podał mnie, puchar szedł z rąk do rąk, aż został spełniony do dna. Wówczas prezes Węśławski wziął ze stołu łopatkę i młotkiem wbił do rękojeści gwóźdź żelazny roku 1916. Potem przy herbacie udzielono głosu mnie z prośbą, bym opowiedział o sytuacji politycznej w Warszawie, o Legionach, o Piłsudskim, o całości aktualnych zagadnień realizacji aktu 5 listopada. Byłem przygotowany do tego, toteż chętnie to zrobiłem. Uprzedzono, że nie może być opozycji, jeno zapytania informacyjne. Po przemówieniu moim dość dużo się posypało różnych pytań, na które odpowiadałem. Biesiada z pogadanką przeciągnęła się przez kilka godzin (tego dnia wolno było do godz. 2 chodzić po mieście). Jakie sprawiało na słuchaczy wrażenie to, co mówiłem, zwłaszcza moje uzasadnienie skrajnego aktywizmu, reprezentowanego przez Piłsudskiego, nie wiem. Wśród audytorium „Szubrawców” trzech tylko było ludzi całkowicie przekonanych do tego typu aktywizmu: Chomiński, Brensztejn i Łukowski; inni, bądź sprzyjając mniej lub więcej aktywizmowi, instynktem ciężą raczej do metod Ligi, bądź są notorycznymi moskalofilami, nie wierzącymi w żaden aktywizm. Ale opozycja była z góry wykluczona. Jedno tylko zastrzeżenie opozycyjne wniósł p. Tadeusz, prosząc, bym zaniechał tytułowania obecnych „obywatelami”, albowiem w tym gronie może być użyty, nie rażąc ucha, bądź termin „bracia szlachta”, bądź zrozumiały dla niektórych, jak sam Wróblewski (?) – termin „towarzysze”. Wątpliwej prawdziwości alternatywa, bo „towarzyszów” w proletariackim znaczeniu nie ma w gronie „Szubrawców”, a „bracia szlachta” dla nich jest tylko symbolem pięcia się w górę z poziomów burżuazyjnej inteligencji.

Tegoż dnia pozawczoraj o godz. 4 po południu odbyło się u mnie zebranko polsko-litewsko-białoruskie, zwołane przeze mnie. Zaprosiłem na nie z Litwinów: Šaulysa, Kairysa, Domaszewicza, Smetonę i Michała Biržiškę, z Polaków: Witolda Abramowicza, Ludwika Chomińskiego, Zygmunta Jundziłła, Bagińskiego i Zasztowta, a z Białorusinów jednego Wacława Łastowskiego. Z Białorusinów chętnie bym

zaprosił więcej, ale, niestety, jest ich b. mało spośród inteligentów, a ci, którzy są ich właściwymi *leaderami* – bracia Łuckiewiczowie – ze względu na skompromitowaną i skandalicznie nietaktowną osobę Iwana Łuckiewicza – są nie do użycia do takich porozumiewań. Ja bym się sam osobą Iwana nie krępował, ale krępują się inni. Wiem, że w jego obecności lękaliby się szczerze wypowiadać: do tego stopnia nie ufają mu. Właściwa najlepsza głowa między Białorusinami – to Antoni Łuckiewicz. Ale i Litwini, którzy są najwierniejszymi dziś przyjaciółmi politycznymi Białorusinów, nie ufają Iwanowi i, radząc mi zaprosić na to zebranie Antoniego Łuckiewicza zamiast Łastowskiego, prosili, abym wziął obietnicę od Antoniego, że Iwana w treść obrad nie wtajemniczy. Antoni jednak obietnicy takiej dać mi nie zechciał, a nawet mam wrażenie, że mu się takie zastrzeżenie wydało obraźliwym i że się trochę za to do mnie czuł urażonym. Musiałem więc na Łastowskim się ograniczyć, choć to jest człowiek bierny i niezbyt dla takich zebrań odpowiedni. Z Polaków litewskich zaprosiłem tych, o których wiedziałem, że stoją na stanowisku całości i państwowości Litwy, chociaż *a priori* zastrzegają kategorycznie zasadę łączności z Polską. Co do Litwinów, to oprócz czterech demokratów i socjalistów zaprosiłem *leadera* nacjonalistów Smetonę, który ma niezłą głowę, jest człowiekiem i politykiem uczciwym, w dodatku ma dobry zmysł interesu narodowego litewskiego, dominującego u niego nad uprzedzeniami. Jest nacjonalistą z ideologii, lecz nie ze ślepej do Polski lub Polaków nienawiści. A moim zdaniem, sprawa kontaktu Litwy z powstającą państwowością polską uzasadnia się dzisiaj właśnie państwowym interesem Litwy, toteż nie boję się traktować o tym choć ze skrajnymi nacjonalistami litewskimi. Zresztą Smetona sam też na początku wojny mówił, że nawet aneksję do Polski uważałby dla Litwy za mniej niebezpieczną, niż aneksję do Niemiec lub trwanie w zaborze rosyjskim, zwłaszcza im bardziej państwo polskie rozciągałoby się na wschód w kierunku ziem ruskich. Niestety – na zebranie dzisiejsze Biržiška i Smetona nie przyszli. Żałowałem tego bardzo. O pogawędkach tych napiszę osobno.

27 grudnia, rok 1916, środa

Jestem ciągle w opóźnieniu. Dobrnąłem w dzienniku dopiero do pierwszego dnia świątecznego. Dzień ten, dzień Bożego Narodzenia, spędziłem całkowicie w domu, wolny od wszelkich zebrań, konferencji, odczytów itd. Koło zmroku odbyłem po mieście spacer ze Stefusiem, obchodząc różne bardziej pamiątkowe dla mnie zabytki Wilna. Przeszedłem się drogą przez ul. Subocz (za rosyjskich czasów tzw. Sierocką) na ul. Piwną (dawniejszą tak mi znaną, pamiątkową i kochaną Monastyrską), drogą, którą chodziłem przez lat kilka prawie codziennie do Aninki mojej. Odwiedziłem też Ostrą Bramę, słowem – Wilnu i pamiątkom moim najserdeczniejszym oddałem wizytę i wdzięczny hołd. Wieczorem na herbatce byli u nas Wacławostwo Studniccy i ksiądz Jasiński, jeden z księży Polaków w Wilnie, gorących niepodległościowców (większość księży w Wilnie, Polaków, zwłaszcza z wyższego duchowieństwa, z ks. administratorem Michalkiewiczem i ks. Hanusowiczem na czele, są do tego stopnia moskalofilami czy może raczej prawowitymi państwowymi lojalistami rosyjskimi, że dotąd odprawiają w dniu galowe rosyjskie nabożeństwa za cara i rodzinę carską; takie nabożeństwo odbyło się nie dawniej, niż 19-go, czyli podług starego stylu – 6-go bieżącego grudnia w Katedrze wileńskiej w dniu imienin cara Mikołaja! Kilku jest jednak księży gorących patriotów i niepodległościowców, jak ks. Jasiński, ks. proboszcz św. Ducha Kulesza, ks. Puciato, ks. Sienkiewicz i jeszcze paru innych). Z przyjemnością i uciechą stwierdziłem przy wizytowaniu Wilna puste piedestały pomników hańby: Katarzyny II i Murawjewa. Moskale, uciekając z Wilna, zabrali je ze sobą. Daj Boże, żeby już na zawsze. Spiżowy potwór Murawjewa miał nawet przygodę.

Gdy go zdejmowano z piedestału – zerwał się i zawisł w powietrzu na sznurze za szyję. Chwila ta została uwieczniona na jakimś zdjęciu fotograficznym. Wieszatelnik Wileński wisiał sam w Wilnie „*in effigia*” w dniu, gdy się zachwiała moc Rosji na Litwie. W Wilnie opowiadają – nie wiem, o ile prawdziwie – że w drodze do Rosji posąg Murawjewa wywalił się gdzieś pod Homlem i rozbił sobie głowę, która odpadła od tułowia. Posąg Katarzyny dotarł podobno bez przygód do Moskwy.

Co dzień, zwyczajem dawnym, odwiedzam, bawiąc w Wilnie, mój cichy grób Aninki na cmentarzu ewangelickim. Nic się tam nie zmieniło. Pomnika, który obstałowałem przed wyjazdem podług rysunku Stefusia i który może już jest gotów, dotąd nie ustawiono, bo przysłała latem roku zeszłego zawierucha ucieczki Moskali i okupacji niemieckiej, i o tym trudno już było myśleć na razie, tym bardziej, że i z pieniędzmi było trudno na opłacenie reszty należności za pomnik. Maryńka porozumiała się z firmą, która wykonywała pomnik i ten ma być po wojnie ustawiony. Tymczasem tylko bez posadzony na grobie Aninki i kwiaty zdobią latem mogiłę, a w głowie Aninki stoi ten sam biały skromny krzyż z napisem moją ręką ołówkiem na ramionach „Anna Wolberg miruse 22 X 1914”.

Wczoraj na godz. 1 zaproszony byłem na posiedzenie wydziału Komitetu Polskiego. W międzyczasie wydział, czyli prezydium Komitetu – był ponownie wybrany. Na posiedzeniu obecni byli członkowie wydziału: prezes Michał Węśławski, dr Witold Węśławski, Witold Abramowicz, dr Tadeusz Dembowski, Kazimierz Świątecki, Zwierzyński, Konrad Niedziałkowski, Zygmunt Jundziłł, Stanisław Bagiński, hr. Marian Plater, Ludwik Chomiński i Stanisław Kognowicki. Zaproszony byłem na to zebranie ja i dr Jan Boguszewski, który wrócił już na dni kilka z Warszawy i już w mundurze podporucznika Legionów, jako lekarz wojskowy w III pułku piechoty. My z Boguszewskim byliśmy zaproszeni jako informatorowie o sytuacji w Warszawie i doradcy, względnie pośrednicy w ciężkiej sprawie, jaka stanęła wobec Komitetu w stosunku do werbunku do armii polskiej prowadzonego w Wilnie przez Niemców w związku z przymusem robotniczym. Ta metoda werbunku, prowadzonego przez policyjne władze niemieckie i jako droga ucieczki i ratunku od robót przymusowych, równających się w opinii publicznej katordze, jest upokarzającą dla samej idei wojska polskiego i poza tym grozi niebezpieczeństwem dostania się do tego wojska samych tylko szumowin, a przynajmniej niepewnego materiału, który wstępuje bez żadnych motywów ideowych i li tylko wybierając mniejsze na razie „zło”, za ewentualną myślą bądź zadekowania się jakoś w tym wojsku, bądź – kto wie – może nawet poddania się Moskalom, gdy się znajdzie w ogniu i już innej drogi nie będzie. Z tych względów zarówno opinia publiczna, jak sam wrażliwy na nią i ciągle węszący jej kierunek Komitet Polski na razie odniósł się z wielkim sceptycyzmem i niechęcią do tego werbunku. Prezydium Komitetu postanowiło było prosić mnie i Boguszewskiego, gdy będziemy w Warszawie, zwrócić uwagę warszawskich kół politycznych oraz Komendy Legionów na warunki, w jakich się tu ten werbunek odbywa, podać im do wiadomości ujemne i niebezpieczne cechy tegoż i prosić ewentualnie, aby powołane czynniki, o ile będą w stanie, zaradziły coś na to, interweniując u władz niemieckich. Sam Komitet od siebie wniosków żadnych nie stawiał. I ja, i Boguszewski stwierdziliśmy jednak, że czynniki czy to polityczne, czy legionowe w Warszawie nie będą w stanie takiej procedurze zapobiec, bo pod tym względem nie mają dróg wpływu na Niemców (ewentualnie mogłaby coś na to zaradzić Rada Stanu, o ile już powstanie, a Boguszewski przywiózł z Warszawy wieści o bliskim już tej Rady ukonstytuowaniu się). Obecnie jednak Komitet Polski już zmienił nieco swoje stanowisko ujemne wobec niemieckich metod werbunkowych w Wilnie, a raczej wobec ich wyników. Tu na

wczorajszym posiedzeniu Komitetu zaszła różnica między stosunkiem, jaki ja, a jaki Boguszewski do tej sprawy zajął. Ale o tym już jutro.

28 grudnia, rok 1916, czwartek

Będę kończyć w sprawie werbunku do wojska polskiego przez Niemców w Wilnie, omawianej na pozawczorajszym posiedzeniu Komitetu Polskiego. Pierwszy wyłom w ujemnym stosunku do owego werbunku zrobił Wacław Studnicki, który, jak zwykle, nie licząc się z żadnymi względami, zapalił się do myśli nadania jak najbardziej manifestacyjnego znaczenia temu pierwszemu oddziałowi rekrutów, idącemu z Wilna do wojska polskiego. Zaczął się krzątać, otoczył werbowanych rekrutów opieką, wystarał się u Niemców o przedłużenie o kilka dni ich pobytu w Wilnie, zaczął zabiegać o wystaranie się dla nich obiadów z kuchni miejskich, o urządzenie uroczystego nabożeństwa na intencję ich wymarszu itd. Na razie brano to Studnickiemu za złe i zaczęto po mieście szeptać ze zgorszeniem, że Studnicki siedzi w niemieckim biurze werbunkowym i sam za werbunkiem agituje. Stopniowo jednak, i to w szybkim tempie, stosunek opinii publicznej, a przynajmniej kół inteligenckich, nie do samego werbunku, jak do zwербowanych rekrutów zaczął się zmieniać. Przede wszystkim, Studnicki wyrobił dla tych rekrutów reklamę, że w istocie to jest element ideowy, który z przekonania idzie do wojska polskiego, a że wybrał obecny moment – to tylko dlatego, że wobec poboru do robót przymusowych dłużej zwlekać już nie mógł. Ale te dowodzenia Studnickiego nie odniosłyby skutku, gdyby nie to, że fakt wstępowania rekruta z Wilna do wojska polskiego, niezależnie od sposobów werbunku, był na rękę pewnym popularnym tendencjom politycznym polsko-inteligenckich kół w Wilnie. Mianowicie hasło łączności państwowej Litwy z Polską, popularne wśród Polaków litewskich, znajdowało najlepszy wyraz w konkretnym czynie udziału Wilnian w ruchu zbrojnym polskim. W Legionach ludzi z Litwy było mało i byli oni zresztą zupełnie rozproszeni po różnych pułkach i oddziałach, tak że ich przynależność nie miała manifestacyjnego charakteru i przechodziła niepostrzeżenie. Teraz, im bardziej ruch zbrojny polski wchodzi na tory państwowe jako regularne państwowe wojsko polskie i im bardziej sprawa Litwy z kolei wysuwać się musi na porządek dzienny i niezbędnym się przeto staje aktywizm na Litwie, tym więcej już elementy inteligencko-polskie na Litwie, pragnąc realizacji łączności państwowej z Polską, tęsknią do chwili, w której będą mogły wreszcie aktywizm w formie udziału ludzi z Litwy w wojsku polskim ujawnić. Największe są przeszkody w tym, że dotąd w samej Polsce werbunek do armii polskiej pozostaje w zawieszeniu przez opór społeczeństwa przeciwko niemieckim metodom werbunku. Tymczasem na porządek losów wojny weszła kwestia rokowań pokojowych, które, gdyby zaskoczyły Litwę w obecnym momencie, mogłyby wydać dla niej skutki fatalne w kierunku podziału jej między Rosję i Niemcy. Ze stanowiska więc kół polskich na Litwie, stawiających hasło łączności z Polską, naglącem się już staje uwydatnienie aktywizmu. Gdy innych form dla niego znaleźć i wymyślić samodzielnie nie można, chwyta się choćby fakt obecnego wstępowania do wojska, nawet w tym najgorszym sposobie werbunku, i z niego się urabia pozory aktywizmu Litwy, byle nie być zaskoczonym przez pokój w stanie zupełnego bezwładu. Taką jest myśl Wacława Studnickiego i taka też myśl kielkuje u wielu innych. Wyrażał ją także Boguszewski, który skłania się do zużytkowania tych rekrutów na rzecz atutu manifestacyjnego woli Litwy do łączności z Polską. W ogóle Boguszewski jest zwolennikiem aktywizmu w tym duchu, żeby zaś przekonać panów z Komitetu Polskiego, argumentował b. zręcznie. Wytoczył na arenę argumentacji i Szeptyckiego, i omalże nie samego Piłsudskiego. Dowodził, że Litwa jest w innych warunkach, niż Królestwo i że tu wobec aktywizmu na rzecz łączności z Polską inaczej się muszą

formułować zagadnienia, niż w Królestwie, że wobec tych innych warunków to, co w Królestwie jest bezwzględne – mianowicie stanowisko bojkotu werbunku niemieckiego do czasu, nim werbunek do wojska polskiego będzie ogłoszony przez rząd narodowy, względnie Radę Stanu – tu w Litwie musi być traktowane względnie, bo na pierwszym miejscu stoi nie system werbunku, nie zasada jego, nie prawidłowa, prawno-państwowa budowa armii polskiej, ale sam fakt czynu, fakt udziału Litwinów (ludzi z Litwy w ogóle i Polaków litewskich w szczególności) w wojsku polskim; że sam obóz Piłsudskiego przyznaje, że dla Litwy ze względu na te szczególne warunki powinien być zrobiony wyjątek i dopuszczony wyłom w zasadzie, w drodze mianowicie jednorazowego manifestacyjnego wysłania z niej oddziału rekrutów do wojska, że przyznał to sam Sławek w rozmowie z Boguszewskim, Sławek, zastępca Piłsudskiego w P.O.W. w Warszawie, a skoro tak się na to zapatruje Sławek, to z pewnością i Piłsudski podziela to zdanie, wreszcie dla większej wagi swej argumentacji, aby pociągnąć nie tylko tych na lewicy, którym Piłsudski może imponować, ale i tych na prawicy, dla których Piłsudski jest raczej postrachem, a którym imponuje wszystko to, co jest urzędowym i co nosi markę legalizmu, sprytny Boguszewski wstawił do swego przemówienia rozmowę swoją z Szeptyckim, który mu miał powiedzieć, że pobyt Legionów w Królestwie źle na nie oddziałał, bo zaszczerpił im jad maksymalizmu politycznego, zbyt rozpowszechnionego w społeczeństwie polskim; maksymalizm ten jest niebezpieczny, bo ostatecznie mocarstwom centralnym tak osobliwie na tych kilku dywizjach wojska polskiego pod względem militarnym nie zależy i jeżeli Polacy będą zbyt przeciągać strunę i zbyt opornie się trzymać, to w końcu mocarstwom centralnym może być dość tego jałowego cackania się z Polską i mogą one po prostu zaniechać całego tego budowania państwa polskiego. Argumentami tymi sprytny Boguszewski „wziął” większość członków Komitetu. Zresztą argumentował on na rzecz tego, co większość po cichu w pragnieniach wyznawała. Nawet Dembowski, ku ogólnemu zdziwieniu, bo uznany był za najszczerzego z moskalofilów, wystąpił nagle z twierdzeniem, że Szeptyckiego argumenty są bardzo mądre, a specjalnie w stosunku do Litwy, to zachodzi wielkie niebezpieczeństwo na wypadek przystąpienia do rokowań pokojowych, że Litwa może świecić nieobecnością; żeby to niebezpieczeństwo usunąć, Litwa musi być w szeregach czynu polskiego – w wojsku polskim – obecna. Słowem – nawet Dembowski przemówił jak aktywista. Ciekawe jest, że Dembowskiemu imponuje wszelkie stanowisko legalistyczne jako takie i że legalizm ten wyczuwa on u Szeptyckiego. W obozie prezydium robi się wyłom.

29 grudnia, rok 1916, piątek

Ja na wtorkowym zebraniu wydziału Komitetu Polskiego zająłem w sprawie werbunku z Litwy inne stanowisko, niż Boguszewski. Zwróciłem uwagę wpierw na to, że oczywiście ze względu na szczególne warunki, w jakich się werbunek w Wilnie dokonywa, mianowicie na ten przymus robotniczy, zrozumiałe jest patrzenie przez palce na fakt wpisywania się rekrutów do wojska polskiego, ponieważ jest to dla nich jedyna deska ratunku od katorgi robót przymusowych. Zrozumiałym jest zrobienie dla nich więcej jeszcze – co już było w Komitecie podnoszone – mianowicie opieka nad nimi i zorganizowanie opieki nad ich rodzinami. Trzeba wszakże pamiętać, że dopóki sprawa samego tworzenia armii polskiej nie została w Warszawie zasadniczo rozstrzygnięta w myśl żądań narodowych, domagających się tworzenia jej przez władze polskie, dopóty tym wyjątkom nadawać charakteru manifestacyjnego nie należy, bo nie odpowiadałoby to powadze państwowego stanowiska polskiego, które, w myśl postulatu łączności Litwy z Polską, rekrut idący z Wilna, ma wyrażać. Pod tym względem zresztą większość Komitetu jest tego samego zdania i choć sympatyzuję z

tendencją Boguszewskiego, nie decyduję się na robienie z obecnego werbunku demonstracyjnego i uroczystego aktu politycznego. Ale jest inna rzecz. Chodzi o to, że sprawa tworzenia armii polskiej i werbunku zostanie w Królestwie pomyślnie rozwiązana, co zapewne rychło już, wraz z utworzeniem Rady Stanu, nastąpi. Wówczas sprawa werbunku powstanie i w Wilnie także, a sądząc z nastrojów, nie zabraknie tu młodzieży, która zechce pod sztandary wojska polskiego się zaciągnąć. Jak się wtedy ma wobec tego faktu społeczeństwo zachować i w szczególności Komitet Polski, usiłujący grać rolę kierowniczą wśród Polaków litewskich jako wyraz ich politycznej konsolidacji? Jeżeli będą szły jednostki, to czy mają one iść tak, jak idą do wojska polskiego, względnie szli do Legionów Polacy z różnych stron świata, przyjeżdżający z Ameryki, z głębi Rosji itd., a jako jednostki tylko narodowości polskiej, czy też manifestując przez to aspiracje polityczne kraju jako obywatele Litwy? Jeżeli Komitetowi chodzi o to drugie, to powinien on, moim zdaniem, wpierw przesądzić i ustalić programową formułę politycznego stosunku Litwy do Polski, aby następnie zastosować do niej i wykorzystać na jej rzecz ruch rekrucki z Litwy do armii polskiej. Może to mieć postać aneksyjną, jeżeli większe ilości tego rekruta będą stąd szły bez żadnych zastrzeżeń do wojska polskiego, tak idą czy będą szli rekruci z jakiejś gub. łomżyńskiej, płockiej itp. Jeżeli się zaś zechce opierać formułę tego stosunku na jakichś zasadach federacyjnych czy też jakichś innych państwowo-litewskich, to należy dla ruchu tego znaleźć odpowiednią formę, czy to w postaci np. tworzenia legionu litewskiego w wojsku polskim, podobnie do legionu polskiego w wojsku austriackim, czy też w innej postaci. Oczywiście będzie to zależało od pragnień i od programowych postulatów Komitetu Polskiego, których ja mu wskazywać nie jestem powołany, ale zaznaczam tylko, że ta praca nad ustaleniem programowych formuł stosunku do Polski winna poprzedzić kwestię werbunku i że już jest najwyższy czas po temu. W Komitecie nie oponowano przeciwko temu i część członków, zwłaszcza na lewicy, w zupełności to rozumie. Jeden tylko Dembowski zaoponował, wskazując, że w Komitecie przesądzona już jest zasada „łączności państwowej z Polską” bez konkretyzowania tejże, a że wszelki udział rekrutów z Litwy w wojsku polskim będzie przecież stwierdzał właśnie „łączność”, więc nic już więcej przesądzać nie jest koniecznym. Ci, którzy nie chcą konkretyzować formuły stosunku do Polski, robią wrażenie, że są nieszczerzy, bo mówiąc ogólnikiem „łączność” i łapiąc nań tych, co pod łącznością rozumieją treść federacyjną, czynem wspierają aneksyjny kierunek tej łączności. Albowiem, o ile się nie zastrzeże z góry jakichś form prawno-państwowych dla Litwy, to fakt zgłaszania się rekrutów z Litwy do wojska polskiego będzie świadczył tylko o chęci należenia Litwy do Polski w postaci oczywiście najprostszej – aneksyjnej. Po cóż ma być bowiem określana inna forma, gdy sama Litwa niczego nie zastrzega i po prostu manifestuje akces to państwowości polskiej. W tym znaczeniu ogólnik o „łączności” jest tylko płaszczykiem pokrywającym „na wszelki wypadek” istotną ukrytą myśl o wcieleniu do Polski. Niewątpliwie, że pewne elementy w Komitecie Polskim, endecy zwłaszcza, żywią istotnie taki zamiar i w tym celu nie chcą konkretyzować formuły; wierzą, że nie konkretyzując jej ułatwią samemu rozwojowi wypadków wypełnić ogólnik „łączności” treścią aneksyjną. Mam jednak wrażenie, że większość Komitetu nie tym się kieruje. Jest to po prostu wyrazem niedołęstwa tego Komitetu, skleconego z ludzi najróżniejszych barw, orientacji i kierunków, od moskalofilów do aktywistów i od nacjonalistów-endeków do demokratów o krajowym zabarwieniu. Ta różnorodność Komitetu paraliżuje wszelkie konkretyzowanie jego stanowiska i niweluje wszelką wyrazistość jego dążeń. Stąd cały Komitet upodabnia się do tego tchórzliwego niezdecydowanego centrum, które w nim przewodniczy i jest jego symbolem. Taki Michał Węśławski i Konrad Niedziałkowski, typowi ludzie środka, pocziwcy bez

szkieletu, są najdoskonalszymi tego Komitetu wzorowymi egzemplarzami. Stąd cały Komitet jest taki, jak oni. Zawsze boi się coś zawczasu przesądzać, zawsze, dopóki może, zwleka z decyzją i stara się odroczyć chwilę postanowień, ciesząc się, że jeszcze wypadki nie nagle, a dopiero gdy jakieś fakty lub wypadki zajdą, biegną za nimi, przyglądają się, analizują i bodaj ze szkiełkiem w oku, aby się *post factum* ustosunkować do nich. Są zawsze zaskoczeni przez wypadki, nigdy sami nie są w stanie pokierować nimi i wytwarzać fakty. To jest kapitalna słabość Komitetu.

30 grudnia, rok 1916, sobota

Właściwie to już wczoraj powinienem był wyjechać z Wilna, bo formalnie już nawet wczoraj termin mojego urlopu się wyczerpał. W myśl brzmienia dokumentu urlopowego, powinienem już być wczoraj być z powrotem w Łomży. Ale ponieważ marszruta urlopową została nam wydana o kilka dni za późno, więc wolno mi o tyleż dni powrót opóźnić. Zamierzałem wyjechać z Wilna 29-go, ale potem postanowiłem jeszcze jeden dzionek zabawić, rezerwując go już wyłącznie dla siebie, to znaczy spędzić go całkowicie w domu z Marynką i pożegnać w tym dniu swobodnie grób Aninki. Przez cały ten czas pobytu w Wilnie byłem ciągle, bez przerwy zajęty i rozrywany na różne zebrania, konferencje i odczyty, tak że wypoczynku i ciszy domowej oraz czasu swobodnego dla siebie nie miałem prawie wcale. Zapowiedziałem już wszystkim wczoraj, że wyjeżdżam dziś rano. Faktycznie zaś dopiero na wieczór wybrałem się na kolej. Ale pociągu nie znalazłem, więc złożyłem plecak i chlebak na przechowanie, sam zaś wróciłem jeszcze na noc jedną do domu. Wyjadę rano. Tymczasem zaś muszę dogonić w dzienniku dni poprzednie i opisać wszystkie wybitniejsze momenty mojego pobytu w Wilnie. Dużo mi jeszcze pod tym względem zostaje do wpisania, toteż jeszcze przez szereg dni będę to odrabiał. Skończyłem opis na dniu 26 grudnia. Zacznę więc z kolei od dnia 27 grudnia. W tym dniu miałem u siebie wizyty moich przyjaciół – Stadziewicza, Szklennika i Kokoszkin, którzy, dowiedziawszy się o mojej obecności, przyszl mi odwiedzić i pogawędzić. Każdy z nich – to innego typu, innej sfery i innego kierunku myśli i działania człowiek. Kooperatysta-społecznik Szklennik, gorący krajowiec, z przekonań Litwin Stadziewicz, wreszcie wiecznie wynędziały, wieczny głodomór, ale zawsze cudem żywy i zawsze stękający Kokoszkin – każdy z nich biegł do mnie z zaufaniem i serdecznym słowem przyjaźni na pogawędkę osobną. Mile z każdym z nich czas na rozmowie spędziłem. Zaiste tylko w Wilnie i tylko w kraju czuję się tak swojsko i tak serdecznie, a zarazem swobodnie! Tylko tutaj jest mój grunt właściwy. Poza tym, tegoż dnia odwiedziłem Bronisławostwo Krzyżanowskich. Bronisława spotkałem już parokrotnie na zebraniach, ale uważałem za obowiązek i za przyjemność odwiedzić go w jego domu i rodzinie przez pamięć na naszą dawną długą przyjaźń w różnych okolicznościach tak prywatnego życia, jak publicznej pracy. Synkowie Krzyżanowskiego, Broniś i Marjanek, wyrosli już tak, że ich w pierwszej chwili nie poznałem. P. Krzyżanowska postarzała trochę i już ma gdzieś włos siwy. Przyjęli mię Krzyżanowscy bardzo serdecznie, zastawiając na powitanie mię śniadanko z wódki i przekąski, złożonej ze słoniny i grzybków marynowanych, a potem jeszcze zatrzymać mię koniecznie chcieli na obiad. Bardzo mile i serdecznie spędziłem z nimi czas na gawędce. Bronisław Krzyżanowski, choć się bardzo w swej publicznej działalności zmienił, idąc na prawo w kierunku oportunistu, zaprawionego pewnym karierowiczostwem filisterstwa, jednak w gruncie zachował ten sam umysł żywy, krytyczny, subtelnie i głęboko analityczny, który mu ułatwia bystre i trafne orientowanie się w sytuacji, stosunkach i prądach, chociaż w czynie własnym nie zawsze idzie konsekwentnie drogą, wyciąganą z własnego orientowania się myślowego, jednak w sferze czystego myślenia i sądzenia o

rzeczach jest takim samym, jakim był dawniej, za czasów swego radykalizmu. Po południu tegoż dnia odbyło się u mnie drugie zebranie polsko-litewsko-białoruskie, na które tym razem przyszedł i Antoni Smetona. Byli więc na nim: Smetona, Domaszewicz, Kairys, Šaulys, W. Abramowicz, Chomiński, Jundziłł, Bagiński, Zasztowt, Łastowski. Doskonale przemówił na tym zebranku Smetona, chociaż pogląd jego we wnioskach jest bardzo pesymistyczny. Niestety – podzielam ten pesymizm po zorientowaniu się w sytuacji w Wilnie. Smetona przeprowadził analogię między dwoma kierunkami polityki w stosunkach Polski do Litwy niegdyś a dziś. Jeden kierunek – to polityka książąt mazowieckich, która w obronie polskiego stanu posiadania wezwwała do pomocy Krzyżaków i oddała mu na pastwę ziemie Prusów. Wprawdzie pozornie książęta mazowieccy na razie zyskali spokój od sąsiadów pruskich i zabezpieczyli swój stan posiadania, jednak za tę cenę wbity został wzdłuż pomorskiego pasa łądu klin germanizmu, który z czasem boleśnie na losach Polski zaważył. Inna była polityka jagiellońska, która opierała się na solidaryzmie Polski i Litwy we wspólnej odporności tak na zachód, jak na wschód. Wprawdzie skutki unii były dla Litwy ciężkie, jednak nie była to wina polityki jagiellońskiej, która w zasadzie była słuszną. Dziś jest analogia w sytuacji i wobec Polski powstają znów dwie drogi stosunku do Litwy: albo jedna, analogiczna do mazowieckiej, która w pogoni za doraźnym zyskiem narodowego stanu posiadania, gotowa jest wytargować od Niemców wcielenie do Polski Białej Rusi katolickiej z Wilnem w nadziei spolonizowania tych części Litwy oddając za to Niemcom na pożarcie nadmorską część Litwy etnograficznej, albo druga polityka, która wyrzekając się zysków doraźnych i nie uganijając się za aneksjami, oparłaby się w stosunku do Litwy na uznaniu jej praw państwowych, zyskując przez to w perspektywie dziejowej naturalnego sojusznika dla wspólnej na zewnątrz obrony. Jeżeli pierwsza polityka zwycięży, co jest możliwe wobec demagogii popularnych aneksyjnych haseł, to klin germanizmu wbije się głębiej jeszcze, niż dotąd wzdłuż Bałtyku na wschód i zemści się kiedyś na Polsce. Wolno Polsce wybierać, wolno też Polakom litewskim wołać głośno o przyłączenie Wilna do Polski bez zastrzegania praw państwowych Litwy, ale złą się przez to samej Polsce usługę oddaje. Smetona jednak nie widzi sposobu przeciwdziałania temu, bo aby Litwini mogli z Polakami litewskimi dojść do układu, powinni znaleźć wspólny grunt zasadniczy, grunt państwowości Litwy.

31 grudnia, rok 1916, niedziela

Będę teraz co dzień poświęcał jedną część kartki dziennika dniu bieżącemu, drugą zaś dokończeniu sprawozdania z mego pobytu w Wilnie. Otóż dziś koło godz. 10 po pożegnaniu się w domu z rodziną i Anuską, poszedłem na kolej, odprowadzany przez kochaną Marynkę. W Wilnie byłem jak król – tak królewskim jest porównanie mego stanowiska w Wilnie do stanowiska pospolitego szeregowca w wojsku. Wracam na poniewierkę szeregową i sam nie wiem, jakie będą moje dalsze losy w wojsku. O godz. 11 pośpieszny pociąg, którym przyjechałem, ruszył w kierunku Warszawy. Naturalnie, że wśród jadących żołnierzy natrafiłem także na legionistów. Gdzie by ich nie było! W Białymstoku wsiadł do mego przedziału jakiś legionista z pułku, który, gdyśmy się z nim rozgadali, okazał się synem Feliksa Filipowicza, mojego bardzo dobrego znajomego sprzed lat 10, byłego pps-owca, który, jak się dowiaduję, jest obecnie aptekarzem w Białymstoku. Z Feliksem Filipowiczem łączyły mnie b. bliskie stosunki w r. 1907 w Krakowie, gdym był na emigracji; wspólnie z nim robiłem korektę mojej książki „Litwy”. Potem straciłem go zupełnie z oczu i nigdy nic już o nim nie słyszałem. Zaiste – góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem się zejdą w wędrówkach po świecie i życiu. Nie spotkałem się z nim samym, to spotkałem się z jego synem w Legionach Polskich jako dwaj żołnierze. Po przyjeździe do Warszawy

zajechałem wprost do Ludwika Abramowicza i Heli Ochenkowskiej. Zastałem ich w domu z butelką węgryzna na stole, oczekujących nastania Roku Nowego, jako że to dziś wypada wieczór sylwestrowy. Musiałem opowiadać Heli i Ludwikowi o Wilnie, o nastrojach tam i o sytuacji, o moich wystąpieniach i rokowaniach. Wyjeżdżałem z Warszawy, skłaniając się kompromisowo do podziałowej koncepcji względem Litwy jako ewentualnie jedyne wyjścia, umożliwiającego aktywizm Litwy i zarazem salwującego pewne minimum prawno-państwowego jej statutu. Wracam jako zdecydowany przeciwnik wszelkich podziałowych na organizmie Litwy eksperymentów. Przekonałem się bowiem, że, po pierwsze, koncepcja taka nie ułatwiłaby bynajmniej aktywizmu Litwy, jeno wprowadziłaby jeszcze większy chaos i wewnętrzną niezgodę, bo Litwini i Białorusini całą siłą by się temu opierali i występowaliby jak najostrzej przeciwko aktywizmowi w tym kierunku, i po wtóre, koncepcja taka, stając się programem, nie tylko że nie salwowałaby prawno-państwowego minimum dla ziem Litwy, ale rozpałiłaby u Polaków litewskich czysto aneksyjne aspiracje i zabiłaby wszelkie szczątki państwowej idei Litwy, nie spełniając nic z tego, o co mnie chodzi. Stałem się więc kategorycznym jej przeciwnikiem i wróciłem stanowczo do idei państwowej jedności niepodzielnej Litwy, w ramach przynajmniej jej obecnego oderwania od Rosji. Ale stając na tym gruncie, nie wywiozłem z pobytu w Wilnie różowych nadziei na spełnienie tego postulatu, a przynajmniej na rozwój aktywizmu na tym gruncie. Ludwik Abramowicz mógł być z relacji mojej zadowolony nie dla tych pesymistycznych perspektyw, ale dlatego, że wróciłem do stanowiska niepodzielności państwowej, które on w stosunku do Litwy kategorycznie zajmuje. Powiedziałem mu – co jest dziś faktem, dla nieobecnych dziś w Litwie niespodzianym – że dziś w Wilnie nie Polacy litewscy, lecz Litwini stali się właściwie rzecznikami politycznej idei jagiellońskiej wbrew Polakom, których część najhałaśliwsza dąży w gruncie rzeczy do zastąpienia jagiellońskiej idei ideą oderwania od Litwy części terytorium z Wilnem na rzecz Polski – i tylko. Doczekaliśmy się z Helą i Ludwikiem Nowego Roku, zamieniliśmy życzenia, spełnione węgryznem i poszliśmy spać. Hela ma pozwolenie wyjazdu do Wilna, gdzie już czeka na nią jej matka, stryjenka Wanda Alfredowa Römerowa, która przyjechała z Karolinowa. Hela właśnie już jutro do Wilna wyjeżdża na jakieś parę tygodni.

Kontynuuję o zebraniu polsko-litewskim u mnie w dniu 27 bm. i w szczególności o przemówieniu Smetony, mądrym i treściwie głęboko ujmującym zagadnienie stosunku Litwy do Polski. Smetona zwrócił b. słusznie uwagę na to, że niesnaski obecne polsko-litewskie w kraju i w szczególności spór o stan narodowego posiadania polskiego i litewskiego, pod którym ze strony Polaków kryje się tendencja oderwania od Litwy części kraju w celu wcielenia jej do Polski, czyli polityka, którą Smetona porównał w analogii do polityki ongi książąt mazowieckich, nie tylko na przyszłość w perspektywie dziejowej gotują niebezpieczeństwo niemieckie zarówno dla Polski, jak dla Litwy, ale i w obecnej chwili oddają całkowicie los Litwy w ręce Niemców, będąc grą na rzecz li tylko niemieckich interesów. Niemcy bowiem, korzystając z tych walk wewnętrznych i niezgody na Litwie i umiając mądrzej niż Moskale operować nimi, mając mistrzowskie po temu krzyżacko-pruskie metody, przedstawiają na tej podstawie na zewnątrz Litwę, jako „*ein leeres Land*” – pusty kraj, czyli kraj bez własnej myśli politycznej i państwowej, kraj, którym można operować dowolnie jak przedmiotem biernym, kawałkując go i przesądzając jego losy tak, jak to im będzie dogodnie. Brak własnej myśli politycznej w kraju ułatwia im dokonanie na kraju takiej operacji, jaka im, Niemcom, będzie na rękę. I ciekawa rzecz, że rozumieją to i Polacy litewscy, i Litwini, a jednak przecie się kłócą i ułatwiają sami grę niemiecką, a nie próbują nawet się

porozumiewać. Trzeba było dopiero mego przyjazdu, by zaczęli ze sobą mówić, zaczynając od rzeczy elementarnych.

1 stycznia, rok 1917, poniedziałek

Dzisiaj dzień cały spędziłem w Warszawie. Widziałem się z szeregiem ludzi tak z C.K.N-u i P.O.W., jak z Ligi Państwowości Polskiej. Mało im o Litwie opowiadałem, a więcej słuchałem o tym, co mi oni o sytuacji w Warszawie opowiadali. Rady Stanu jeszcze nie ma. Lista jej członków, ułożona ostatecznie jeszcze przed świętami, dotąd nie została przez władze mocarstw centralnych zatwierdzona, formalnie bowiem członkowie tej pierwszej Rady Stanu są mianowani przez Berlin i Wiedeń, a przy Radzie Stanu funkcjonować będą stale komisarze rządów niemieckiego i austriackiego z tytułu roli protektorów i wskrzesicieli Polski, jaką Niemcy i Austria pełnią. Lista Rady Stanu ułożona została ostatecznie bez udziału prawicy, która, pomimo wszelkich prób pozyskania jej, nie zdecydowała się wejść. Podobno lista ta nie obudziła wielkiego zachwyty w Berlinie i w szczególności u cesarza Wilhelma. Berlin wołałby widzieć na tej liście nazwiska prawicy i czuć, że dzieło Polski, tworzone pod jego protektoratem, znajduje większe oparcie społeczne w statecznych konserwatywnych elementach narodu polskiego. Jednak, gdy inaczej się zrobić nie daje, Berlin będzie musiał się pogodzić z faktem i tworzyć rzecz tak, jak ona się tworzyć daje. Na razie jest głuche zacisze, moment martwy w sprawie Rady Stanu. Berlin jeszcze milczy, a Warszawa czeka. Spodziewane jest zatwierdzenie listy Rady Stanu na 8 stycznia. Piłsudskiego, który zdecydował się wejść do Rady Stanu, w Warszawie nie ma, bawi obecnie w Krakowie. W liście Rady Stanu starano się uwzględnić wszystkie stany i klasy i wszystkie te kierunki oraz partie, które stoją na gruncie aktywizmu i aktu 5 listopada, od Stronnictwa Narodowego na prawicy do PPS-u na lewicy. Prawicę starano się zamarkować zwiększeniem ilości członków Rady z bezpartyjnych pravicowców lub ludzi ze Stronnictwa Narodowego. Jednak jest to tylko markowanie. Panowie ze Stronnictwa Narodowego, jak Ronikier i Dzierzbicki, bezpartyjni z nazwiskiem, jak Franciszek Radziwiłł, adwokat Bukowiecki – byli endek, ziemianin z tradycyjnym nazwiskiem z Kaliskiego – Niemojowski, paru księży itd., nie upozorują akcesu do Rady Stanu masy ziemiańskiej, duchowieństwa i w ogóle właściwej prawicy społecznej. Faktem jest, że Stronnictwo Narodowe, które miało poważne wpływy i oparcie w masie ziemiańskiej, idącej po linii oportunizmu, posiadało w swym ręku tak poważne instytucje, jak Rada Główna Opiekuńcza i w ogóle było głęboko wrosłe w realne interesy i polityczne orientacje sfer konserwatywno-ziemiańskich, okazało się nagle osamotnione i wątle z chwilą, gdy się zdecydowało stanąć na grunt aktywizmu. Jego masa, ulegająca jego wpływom i samemu wpływów użyczająca, nie poszła za nim. To była wielka decepcja dla aktywizmu, który dużo liczył na fakt oderwania się tego stronnictwa od pasywizmu i przejścia jego do obozu aktywnego. Zdawało się, że to da aktywizmowi głębszą podstawę na prawicy, da mu, że tak powiem, mocniejsze oparcie na drugiej nodze w narodzie, podczas gdy dotąd stał on tylko na jednej nodze – lewicy. Nadzieje te, przynajmniej na większą skalę, nie ziściły się. Pozyskana została tylko garść jednostek, względnie grupki na prawicy, ale nie masa, a nawet nie poważny odłam. Masa pravicowa dotąd jest poza aktywizmem. Prawica obecnie główny nacisk kładzie na sprawę Sejmu, żądając, żeby on, nie zaś jakaś Rada Stanu, decydował o budowie państwa polskiego. Ze względów taktycznych prawica jak występowała w ostatnich czasach pod maską maksymalizmu niepodległościowego, tak występuje teraz z hasłami maksymalizmu demokratycznego i formalnie, z zasadniczych względów, nie można nic żądaniom prawicy zarzucić, jeno że do pewnego stopnia jest to maska, która ukrywa nieraz inne zgoła dążenia, a w pierwszym rzędzie w tym wypadku dążenia do

odwleczenia całej sprawy i do zerwania związku powstającego państwa polskiego z mocarstwami centralnymi. Prawica argumentuje, że tylko Sejm, wybrany przez Naród, może wyrażać wolę Narodu i być kompetentnym do tworzenia państwa i określania jego funkcji i dróg rozwoju. Aktywizm nie odrzuca Sejmu, ale stawia na pierwszym miejscu sprawę tworzenia armii już przez radę Stanu, a następnie chce takiego tworzenia Sejmu, który nie będzie zagrażał samej zasadzie państwa polskiego, aby to nie zależało od przypadku. Lewica chce więc wpierv faktów dokonanych, a następnie Sejmu, prawica zaś – żadnych faktów poprzednich, a jeno Sejmu, od którego wszystkie fakty mają być uzależnione. Są wieści, że prawica robi przez swoje ekspozytury w Szwajcarii i w stolicach państw koalicyjnych energiczne zabiegi, aby koalicja i Rosja ze swej strony proklamowały także niepodległość Polski, by tą drogą wytrącić Niemcom z rąk argument na rzecz tworzenia armii polskiej do wojny z Rosją, zabiegi te jednak, którym ewentualnie Anglia i Francja są przychylne, rozbijają się dotąd o opór Rosji. W ostatnich dniach rozeszły się w kołach politycznych Warszawy pogłoski, że książę prezydent Zdzisław Lubomirski wyraził chęć wstąpienia do Rady Stanu. Nie wiadomo dotąd jednak, o ile to jest poważne. Ewentualnie też może to być manewrem prawicy dla zyskania na czasie, ponieważ prawica wie, że z chwilą powołania do życia Rady Stanu sprawa armii zostanie przesądzona i zyska aprobatę Rady, a przez Radę – zyska sankcję moralną narodowej decyzji, a przynajmniej jego pozorów, czego się właśnie prawica najbardziej obawia. Może więc być, że chęć Zdzisława Lubomirskiego wejścia do Rady jest tylko manewrem zwłoki. Ale, z drugiej strony, pozyskanie tak popularnego na prawicy i w całym narodzie księcia prezydenta jest tak pożądanym atutem dla Niemiec oraz dla samej siły i powagi Rady Stanu, że z pewnością dużo by się w tym celu poświęciło. Wejście zaś Lubomirskiego – to nie jest proste zastąpienie na liście członków Rady jednego nazwiska przez inne – to jest rozpoczęcie układów na nowo od początku, bo Lubomirski zgłaszałby akces pod różnymi zastrzeżeniami. Znowu więc Rada Stanu odwlekałaby się *ad calendas graecas*.

2 stycznia, rok 1917, wtorek

Co nam ten rok nowy przyniesie? Czy da wreszcie pokój i jaki pokój? Wstąpiliśmy w czwarty kalendarzowy rok wojny. Lata 1915 i 1916 są całkowicie wojną pochłonięte, rok 1914 był nią w połowie i teraz oto rok 1917 w niej się poczyną. A chociaż pierwsze zwiastuny pokoju już się w grudniu roku 1916 ukazały, to jednak kto wie, jak jeszcze daleki jest sam „wybuch” pokoju. Może jeszcze rok 1918 zaświta pod godłem wojny. Po północy z dnia wczorajszego na dzisiejszy wyjechałem z Warszawy. Coś koło godz. 4 nad ranem pociąg stanął w Małkini, gdzie zeń wysiadłem, aby się przesiąść do idącego na Ostrołękę. Żle jednak trafiłem, trzeba było jechać na Łapy, gdzie bym trafił na proste połączenie do Łomży. W Małkini wypadło czekać do godz. 10 rano. Tu spotkałem już na stacji całą gromadę legionistów z różnych, a w tej liczbie i z naszego pułku, spieszących z urlopów. W ich liczbie było sporo znajomych z naszej kompanii, między innymi także obywatel Krzewski, zwany popularnie „wujkiem”, z naszego plutonu. Odtąd już trzymałem się z „wujkiem” Krzewskim razem. W Małkini zaszliśmy do miasteczka do jakiejś gospody żydowskiej, gdzieśmy się napili mleka, herbaty i najedli doskonałych bułeczek pszennych świeżych; błogosławione tu jeszcze strony, gdzie nie tylko mleka, ale i bułek dostać można. Przespaliśmy się tam do rana. O godz. 10 odjechaliśmy w kierunku na Ostrołękę. W drodze już zaczęto mówić, że pułk nasz dziś odmaszerował z Łomży do Zambrowa, miasteczka odległego o dwadzieścia kilka kilometrów na południowy wschód od Łomży. Już w Wilnie przed samym wyjazdem słyszałem od bawiącego tam na kilkudniowym urlopie naszego lekarza pułkowego, dr Jakowickiego, pogłoskę o spodziewanym wymarszu naszego pułku do Zambrowa. To

samo mówiono mi w Warszawie. W Ostrołęce musieliśmy znowu kilka godzin na pociąg do Łomży czekać. Skracaliśmy czas herbatką w jakimś sklepiu żydowskim. Wreszcie coś po godz. 5 wyruszyliśmy do Łomży. Ponieważ, mimo mnożących się i coraz ściślejszych pogłosek o wymarszu naszego pułku do Zambrowa, nie mieliśmy formalnej pewności o tym, więc postanowiliśmy z Krzewskim jechać jeszcze do Łomży; nie chciało się nam zresztą po nocy niewyspanej wlec się pieszo ze stacji Czerwony Bór do Zambrowa, przesiedliśmy się więc na stacji Śniadowo w kierunku na Łomżę i koło godz. 7 dojechaliśmy na miejsce. Wieść o wymarszu pułku do Zambrowa potwierdziła się. Po krótkiej naradzie my z Krzewskim, paru Radomiakami z naszej kompanii i jeszcze kilku innymi postanowiliśmy zanocować u Żydków pod Łomżą naprzeciwko naszych dawnych koszar, tam, gdzieśmy zawsze wymykali się z koszar na kawę i po papierosy lub chleb. Tak też zrobiliśmy. Dostaliśmy tam herbatki, chleba, jaj i doskonały nocleg w dużej ciepłej izbie na słomie.

Jeszcze kilka słów dodam o tym, co się w Warszawie w sprawach publicznych dowiedziałem. Jedną z kwestii, które zajmują polityków warszawskich w związku z Radą Stanu i tworzeniem armii polskiej, jest kwestia organizacji wojskowej. Piłsudski wchodzi do Rady Stanu, więc naturalnie on się wysuwa na czoło spraw wojskowych w Radzie. W Radzie mają być utworzone departamenty, odpowiadające ministeriom, a więc Departament Oświaty, Spraw Wewnętrznych, Wojny itd. Większość umiarkowana Rady Stanu, złożona z elementów Ligi Państwowości Polskiej i Stronnictwa Narodowego, względnie – zbliżonych do nich bezpartyjnych, nie ufa jednak Piłsudskiemu i lękając się jego metod rewolucyjnych a zwłaszcza utrzymywania konspiracyjnych rezerw P.O.W., obawia się złożyć całkowicie i wyłącznie w jego ręce kierownictwo Departamentu Wojny. Toteż z tych kół płynie tendencja, która ma wszelkie szanse zrealizowania się – aby Departament Wojny zbudować na zasadach kolegialnych, składając go z 6 ludzi, mianowicie trzech członków Rady Stanu (w ich liczbie Piłsudskiego) i trzech wyższych oficerów, mianowanych przez Komendę Legionów, względnie przez dowództwo armii. Tą drogą większość Rady Stanu chce Piłsudskiego ograniczyć i kontrolować. Co do samych zasad tworzenia armii, to zdecydowana jest na początek zasada werbunku; kwestia poboru przymusowego na razie odłożona na dalszą metę. Jeszcze o jednej ciekawej rzeczy słyszałem w Warszawie: o nowych tarcjach między Austrią a Niemcami w sprawie Legionów. Austria podobno znowu robi jakieś trudności w zwolnieniu Legionów ze swej służby, względnie grozi odwołaniem z Legionów poddanych austriackich. Nie wiadomo jeszcze, czy to jest tylko manewr jakiś ze strony Austrii w celu wytargowania sobie czegoś od Niemców tym atutem, czy też jest w tym wyraz pewnych politycznych dążeń Austrii, w której ze wstąpieniem na tron nowego monarchy, cesarza Karola I, odżyły podobno szerokie plany politycznej koncepcji zamordowanego w Sarajewie arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda, plany wielkiej monarchii federacyjnej jako rzeczypospolitej sfederowanych pod berłem Habsburgów ludów. Tyle z najświeższych nowinek politycznych obecnej chwili w Warszawie.

Muszę się jeszcze cofać, aby o Wilnie dokończyć. Streściłem zasadnicze przemówienie Smetony na zebraniu polsko-litewsko-białoruskim u mnie. Ciekawe jest i charakterystyczne, że nacjonaliści litewscy, których najwybitniejszym rzecznikiem był Smetona, logiką rozwoju stosunków krajowych zmuszenie zostali do zejścia z torów czystego nacjonalizmu, operującego ideologią doraźnych korzyści, stanów posiadania i wulgarnej koncepcji egoizmu narodowego i zwrócić się do wielkich perspektyw dziejowych. Twierdziłem zawsze, że dla Litwy, jak dla wszystkich krajów, największe niebezpieczeństwo płynie z nacjonalizmu z jego „uproszczoną” ideologią doraźnych korzyści we wzajemnym przeciwstawieniu się wszystkich wszystkim; ta uproszczona

wulgarna ideologia, szerząca się w narodach i państwach jak zaraza psychiczna, zasłania ludom i rządcom wielkie perspektywy dziejowe i świadomość historycznych dróg. Najjaskrawszym przykładem takiego zaćmienia psychicznego są w tej wojnie: udział Włoch i Rumunii w wojnie; za cenę drobnych zysków w stanie posiadania państwowego i narodowego Włochy gotowe są służyć narzędziem dopomożeniu Rosji do rozpostarcia jej groźnej hegemonii aż na Adriatyk. To samo w Polsce: lokalne spory narodowościowe polsko-ukraińskie w Galicji Wschodniej zasłaniają perspektywy solidaryzmu wolnej Ukrainy i wolnej Polski wobec wschodu. Podobna rzecz może zająć w stosunkach Polski do Litwy i Białej Rusi.

3 stycznia, rok 1917, środa

Wypaliśmy się dobrze u Żydków w Łomży. Przed południem poszliśmy z Krzewskim na miasto, zjedliśmy dobry obiad w jakiejś piwiarni chrześcijańskiej i o godz. 2 byliśmy już na dworcu kolejowym, skąd wyjechaliśmy w kierunku na Śniadowo-Czerwony Bór. W Śniadowie przesiadaliśmy i czekaliśmy kilka godzin na pociąg, czas ten spędziliśmy w sąsiedniej wiosce, pijąc mleko, jedząc chleb i jaja i gawędząc z chłopami. O godz. 7 wyjechaliśmy ze Śniadowa na Czerwony Bór. W pociągu spotkaliśmy wracającego z urlopu Gawrońskiego. Z Czerwonego Boru mieliśmy 12 wiorst pieszej drogi szosą do Zambrowa. Szliśmy w sześciu: Krzewski, Gawroński i ja z naszego plutonu, dwóch Radomiaków z IV plutonu naszej kompanii i jeszcze jakiś żołnierz, którego nie znam. Mniej więcej w połowie drogi natrafiliśmy na wieś Zbrzeźnicę, w większej części spaloną przez cofających się przed półtora rokiem Moskali. Ocalało tylko parę chałup na skraju wsi około szosy. Postanowiliśmy tu zanoć. Wpakowaliśmy się do jednej chałupy, gdzie w pustej izbie na słomie ułożyliśmy się do snu razem z kilku nocującymi tu robotnikami z sąsiedniego dworu. Znowu się cofam do Wilna i jeszcze raz wracam do urywającego się wątku zebranka litewsko-polsko-białoruskiego u mnie z dnia 2 grudnia. Było ono raczej polsko-litewskim tylko, bo Białorusin był tylko jeden – Łastoŭski, który wydatniejszej roli nie odgrywał i raz się tylko krótko odezwał, ostrzegając, aby nie ignorowano elementu białoruskiego w wymianie zdań między Polakami litewskimi a Litwinami, bo element ten, choć dotąd mało uświadomiony i prawie że niemy jeszcze, żyje jednak i przemówi w imieniu własnym; nie należy więc o tym zapominać i należy wystrzegać się takich nie odpowiadających rzeczywistości pozorów w litewsko-polskich rokowaniach, jakoby na terenie kraju, o którego losach się mówi, byli tylko z jednej strony Litwini, z drugiej – Polacy litewscy; byłoby to operowaniem fikcją tylko, choćby nawet ta fikcja była na razie w pozorach jaskrawsza od rzeczywistości. Jeżeli się mówi o stosunku Litwy do Polski przy omawianiu losów obu krajów, to nie należy zapominać, że jedynym niezbędnym mostem do takiego stosunku jest i może być tylko Białoruś i lud białoruski. Nie ulega wątpliwości, że myśl Łastoŭskiego była zasadniczo słuszna i że żadna idea związku czy tam „łączności państwowej” Litwy z Polską nie może być budowana bez uwzględnienia Białorusinów, jeżeli ma być mocna i w duchu solidaryzmu tych krajów, w duchu jagiellońskim tworzona. Jakkolwiek bądź byśmy tę łączność formułowali, należy o tym pamiętać i w wykonaniu uwzględnić. Tylko też z uwzględnieniem Białorusinów i ich prawa do rozwoju można też ewentualnie próbować podziałowej koncepcji, jak ja to w mojej próbie robiłem. I właśnie głównie dlatego, że w podziałowej koncepcji opinia Polaków litewskich zbyt ostro ignoruje Białorusinów i skierowuje się całkowicie do polonizacyjnej myśli, zbaczając całkowicie z dróg solidaryzmu, przekonałem się o zupełnej szkodliwości dla kraju podziałowych eksperymentów w związku z Polską i odrzucam dziś koncepcję taką zasadniczo. O ile chodzi o sam stosunek między Polakami litewskimi a Litwinami wobec sprawy

stosunku Litwy do Polski, to na zebraniu uwypatniły się dokładnie tendencje następujące. Litwini zdają sobie w zupełności sprawę z tego, że sam ich program niepodległościowy dla kraju na przyszłość nie wystarczy i że Litwa państwowa, wciśnięta, tak jak Polska, między światem niemieckim a Rosją, musiałaby z konieczności szukać kontaktu w solidaryzmie z Polską. Świadomość ta u Litwinów jest bardzo wyraźna. Jaka byłaby forma tego kontaktu, czy to w postaci związku dwóch państw, czy państwa związkowego, względnie państwa polskiego z prawno-państwową autonomią Litwy, czy też w postaci przymierza dwóch niezależnych państw, to już rzecz inna. Decydującym jest tylko pierwiastek solidaryzmu, głęboko w świadomości i w logice wypadków założony. Gdy przedstawiciele Litwinów i Białorusinów spotkali się z przedstawicielami Polaków z Warszawy na zjeździe uciśnionych narodów w Lozannie w czerwcu r. 1916, bez udziału i pośrednictwa Polaków litewskich, to chociaż wszyscy stali na gruncie zupełnej niepodległości każdego ze swych krajów, przecież niepodległości te były pojmowane właśnie w duchu rzetelnego solidaryzmu, mogącego ewentualnie doprowadzić nawet do konkretnych form związku państw czy państwa związkowego. Słusznie zauważył Ludwik Chomiński na tym zebraniu u mnie, że gdyby Litwa była zaludniona wyłącznie przez Litwinów, to idea jej związku państwowego z Polską dawno stałaby się już jej programem, omawianym w drodze konkretnych układów między obu krajami, popartych odpowiednim aktywizmem. To, co dotąd faktycznie dzieli Litwę od Polski, co przeszkadza pełnemu wykluceniu się programu związku z Polską, dyktowanemu logiką geograficznego i międzynarodowego położenia obu krajów i będącemu koniecznością dziejową – to są, choć się to paradoksem wydać może – Polacy litewscy. Pozornie mogłoby się zdawać, że Polacy litewscy są tym ogniwiem, które Litwę z Polską spaja, ale tylko pozornie. W istocie są oni zawadą dla triumfu idei jagiellońskiej. Bo będąc narzędziem automatycznego spojenia Litwy z Polską, będąc tym czynnikiem, który usiłuje Litwę podporządkować Polsce, względnie urwać jej część na rzecz wcielenia do Polski, przeszkadzają oni i przeciwdziałają wolnemu związkowi na zasadach równości i dążeniami swymi budzą reakcję i odporność elementów nie-polskich w kraju. Polacy litewscy grają w Litwie rolę tych „tanich”, jaką w Polsce w stosunku do mocarstw centralnych grają Liga Państwowości Polskiej z Departamentem Wojskowym i Klub Państwowców Polskich. Są oni tymi, którzy utrudniają realizację związku, bo nie cenią i nie strzegą atutów krajowych i za taną cenę ze wszystkiego na rzecz związku rezygnują, a przeto oddają kraj na łaskę i niełaskę tych, do których ciążą. Litwini i Białorusini czują w nich niebezpieczeństwo zbyt taniego oddania się Polsce, podczas gdy im tylko o solidaryzm chodzi. Po co bowiem Polska będzie szukała związku z Litwą, gdy może Litwę na podstawie prądów, kursujących wśród Polaków litewskich, po prostu przyłączyć. A do przyłączenia Litwini i Białorusini się boją, że w Polakach litewskich Polska znajdzie grunt nie do realizowania solidaryzmu swej wolności z wolnością Litwy w myśl wskazań jagiellońskich, ale do rozszerzenia swego narodowego stanu posiadania w myśl nacjonalistycznych wskazań polityki mazowieckiej.

4 stycznia, rok 1917, czwartek

Wstaliśmy rano i ruszyliśmy w dalszą drogę do Zambrowa. Błogosławiłem niebios, że nie zdążył przybyć do Łomży na wymarsz pułku do Zambrowa. Jest bowiem mróz i ślizgota na szosie. Maszerować tak w kolumnie czwórkowej, zachowując równanie i krycie, 25 wiorst po śliskiej szosie, której środek przedstawia pagórek, spadający pochyło na obie strony drogi i iść tak w pełnym rynsztunku z karabinem na ramieniu – to nie tylko męczące, ale i niebezpieczne. Okolica pod Zambrowem urozmaicona i wesoła, droga ładna wśród lekko falujących wzgórz i drzew. Pod Zambrowem parę

wiosek jedna za drugą, wreszcie samo miasteczko. W Zambrowie wstąpiliśmy jeszcze do jakiejś herbaciarni żydowskiej na rynku na herbatkę i ruszyliśmy dalej do koszar, położonych o 1 kilometr za centrum miasteczka przy drodze do Czyżewa. Koszary są duże i piękne a wygodne. Stoją one dwoma szeregami wielkich z czerwonej cegły dwupiętrowych budynków po obu stronach drogi. Wielka ilość drzew dokoła urozmaica ich położenie i kasuje tę zazwyczaj ohydłą symetrię koszarowego zabudowania. Od właściwego miasteczka do koszar ciągną się domki półwiejskie, w których mieszkają przeważnie Żydzi, utrzymujący się z handlu przy koszarach. Koszary są rosyjskie; w Zambrowie stało zawsze za czasów rosyjskich wojsko. Obecnie koszary zostały wewnątrz odnowione i doprowadzone przez Niemców do porządku na nasz przyjazd. Do Zambrowa przybyła cała obecna I Brygada, to znaczy nasz pułk I z Łomży i pułk II z Rożan, którego komendantem został Żymirski. Gdym zawitał do lokalu naszej kompanii w budynku pod nr K.10, otoczyli mnie koledzy z plutonu. Posypały się pytania. Opowiadałem im o Warszawie, o sprawie Rady Stanu, o Wilnie. Nie bardzo się tu już spodziewano mojego powrotu, liczone, że pozostanę w Warszawie, w Radzie Narodowej. Musiałem się tłumaczyć, dlaczego do Rady Narodowej nie wejdę. Wskazywałem tylko na małą żywotność Rady Narodowej, na to, że punkt ciężaru zagadnień jest poza nią i że sam tylko pobyt w niej byłby jałowy. O motywach zasadniczych i sytuacji politycznej – litewskich, dla których bym obecnie nie wstąpił do Rady Narodowej, gdyby tam nawet było miejsce dla mnie, nic nie mówiłem, bo tutaj w Legionach nie zrozumiano by ich nawet. Co do sytuacji politycznej w Królestwie w sprawie realizacji aktu 5 listopada – zamierzam, jeżeli się da, urządzić specjalną pogadankę w kompanii, referując wszystko, co o niej wiem. Na wstępie też spożyłem z kolegami w plutonie traktament, który dla nich przywiozłem, złożony z dwóch butelek wódki, funta sera śmietankowego, wędzonki i orzechów włoskich. Pluton nie jest jeszcze w komplecie. Urlopnicy co dzień jeszcze gromadami przybywają do pułku. W naszym plutonie brak jeszcze Bieniaka, Stępienia, Pawlikowskiego i Ostrowskiego. Lada dzień wrócą i ci ostatni maruderzy. Jest za to kilku nowych w plutonie naszym, a mianowicie: Ekert, profesor gimnazjalny z Galicji Wschodniej, znajomy mi z widzenia, bo w roku 1915, w czasie mojej kampanii poleskiej, był w III plutonie, niejaki Mleczek, który kiedyś był w naszym plutonie, jeszcze prze demną, i który był przedmiotem głośnego w swoim czasie zajścia między plutonem z jednej strony a Dębem i Bukackim z drugiej (z czasów znad Nidy), dalej Moskwa, ten sam, który w roku zeszłym pod Kostiuchnowką przeszedł do nas z VI pułku i był przez czas krótki (aż do Trojanówki) w naszym plutonie wraz z kilku innymi szóstakami, wreszcie Jaśkiewicz, który był poprzednio przydzielony do menaży oficerskiej w batalionie, gdzie był przez czas bardzo długi, coś bodaj z 1 ½ roku czy coś koło tego, obecnie menaż oficerska przy baonie jest zwinięta; zresztą wszyscy kucharze, prowiantowcy, kanceliści itd. zostają obecnie przydzieleni do plutonów, zarówno jak ordynansi oficerscy (tzw. u nas „fajfendekle”), i będą ćwiczeni na równi z ogółem żołnierzy. Sprowadzono nas tu do Zambrowa dla wyćwiczenia w musztrze na wzór niemiecki. Mają nas wyćwiczyć całkowicie w ciągu coś miesiąca – pod kierunkiem specjalnie przydzielonych instruktorów niemieckich, tak oficerów, jak podoficerów, którzy już zostali przydzieleni i zaczęli funkcjonować. Dotąd jednak w Łomży ćwiczone tylko specjalne, utworzone *ad hoc* z podoficerów naszych i wyborowych żołnierzy, sekcje wzorowe. Ćwiczenia nasze tutaj mają potrwać coś do lutego, a wtedy zostaną utworzone obozy rekruckie, do których będzie skierowany rekrut, z którego z naszym udziałem tworzone będą nowe pułki wojska polskiego. Koszary w Zambrowie są obszerne i wygodne. Ciepłe są i suche. Mamy szafki małe, są miednice do mycia się i duże dzbany do wody, którą muszą przynosić dyżurni izb, są nowe miski, po jednej na każdego, do jedzenia, każdy

ma na pryczy swój siennik, wypchany słomą drzewną i takąż poduszkę, każdy też dostał po dwa koce (oprócz tego jednego, co każdy ma stale), po prześcieradle, po ręczniku. Karbid też fasuje się regularnie, tak że oświetlenie wieczorem jest dobre. Na ogół jest czysto, porządnie i wygodnie, lepiej, niż w Baranowiczach i tym bardziej niż w Łomży.

5 stycznia, rok 1917, piątek

Ćwiczeń mamy mało i dotąd jeszcze austriackie. Widocznie z rozpoczęciem pruskich ćwiczeń czekamy na powrót reszty żołnierzy z urlopów. Wszyscy którzy wrócili z urlopu po 1 stycznia, zostali przedstawieni za spóźnienie do raportu karnego. Stałem więc i ja w ich liczbie, po raz pierwszy do raportu karnego przez cały czas mojej służby wojskowej. Długi rząd kilkudziesięciu ludzi wyciągnął się stąd przy dzisiejszym raporcie karnym. Raport odbierał Dąb. Ja osobiście zdołałem moje spóźnienie usprawiedliwić tym, że wydano mi urlop z czterodniowym opóźnieniem, które sobie nagrodziłem przez przedłużenie go o tyleż dni, na co z góry miałem pozwolenie od adiutanta Zamorskiego. Kapitan Dąb uwzględnił moją ekskuzę, bardziej zapewne ze względu na osobę moją, niż na argumenty. Kilku tylko zostało zwolnionych od kary, reszta zaś otrzymała ćwiczenia karne na dziś w nocy i przez dwa następne dni świąteczne.

Wspomnę teraz o wypadkach wojennych, których dość dawno nie notowałem w dzienniku, a które przecie mają nie mniejszą wagę od politycznych, bo one kształtują właściwie cały kierunek zagadnień politycznych. Ostatecznie losy i Polski, i Litwy rozwiązane będą w pierwszym rzędzie losem bitew i to zwłaszcza na froncie wschodnim. Armia Mackensena posuwa się dalej w Rumunii; w Dobrudży w grudniu zajęta została Tulcea i Isaccea i osiągnięta już linia dolnego Dunaju na granicy rosyjskiej, tylko przyczółek mostowy Macin pod Braitą trzyma się jeszcze i jeszcze delta Dunaju na północ od dunajskiej odnogi św. Jerzego pozostaje w ręku Rumunów i Rosji. Lewe skrzydło armii Mackensena, dowodzone przez Falkenhayna, odniosło przed samymi świętami zwycięstwo pod Rimuicul-Sarat, gdzie sforsowane zostało silne stanowisko obronne rosyjsko-rumuńskie, obecnie posuwa się ono ku Braile i Focsani i zbliża się do dolnego Seretu. W skutku zwycięstwa pod Rimuicul-Sarat i wgłębieniu linii na wschód w tym odcinku frontu zaczęła się chwiać flankowana przez ten ruch linia najbliższego sąsiedniego odcinka na północ, to znaczy prawe południowe skrzydło grupy wojsk arcyksięcia Józefa, w szczególności armia Gerocka, ruszyło z miejsca w w Multanach zachodnich i stopniowo zsuwa się z gór dolinami rzek Susity, Putny, Casima, Sitor, Ur, Trotus itp., mierząc na linię Seretu. Ofensywa Mackensena na południowym wschodzie, im dalej będzie szła na wschód, tym bardziej będzie wciągała w ruch coraz wyższe ku północy odcinki frontu, zmuszając je poniekąd automatycznie do wyprostowywania linii, równając ją podług postępów na południu i przez to odsuwając Moskali stopniowo coraz głębiej od zachodu na wschód. Już osiągnięcie linii dolnego Dunaju w Dobrudży i posuwanie się do dolnego Seretu na wschodnich kresach Wielkiej Wołoszczyzny wprowadziło w ruch południowe skrzydła arcyksięcia Józefa i zaczęło chwiać i po trochu łamać ku wschodowi linię w Multanach zachodnich. Osiągnięcie linii dolnego Seretu spowoduje dalsze postępy w Multanach równając linię wzdłuż Seretu, względnie Seretu i Bystrzycy w górę. Sforsowanie linii dolnego Seretu już by wydłużyło ruch aż w Bukowinę i zmusiło Rosjan do opuszczenia zachodniej części tej prowincji. Idąc dalej – sforsowanie linii Prutu i dolnego Dunaju przez Mackensena i wkroczenie na Besarabię, prostując linię frontu w górę, uwolniłoby ewentualnie całą już Bukowinę od inwazji rosyjskiej i zatoczyłoby krąg ofensywy w Galicję, odsuwając tam linię prawdopodobnie gdzieś do Seretu Galicyjskiego, względnie do Strypy. Przejście Mackensena przez Besarabię i przekroczenie Dniestru

uwolniłoby już całą Galicję i poruszyłoby front co najmniej do Prypeci na Polesiu, przesuwając linię na Wołyniu ze Stochodu ponownie na Styr albo na Horyń. Po ewentualnym przekroczeniu Dniestru ofensywa, posuwając się na południu na Odesę i w głąb gub. chersońskiej, mogłaby osiągnąć linię południowego Bugu (Bohu), a wtedy w drodze prostowania się linii frontu odpadłoby od Rosji Podole, het Wołyn w głąb ku wschodowi itd.; osiągnięcie Bohu mogłoby wyrównać olbrzymią linię frontu wschodniego po nim i jego dopływie Siniusze, dalej po Dnieprze środkowym i całej Berezynie aż pod Dżysnę i Dyneburg. W tej wielkiej perspektywie ofensywy wschodniej Dyneburg byłby osią, zaś południowe skrzydło, dowodzone przez Mackensena, właściwą dźwignią całej operacji. Naturalnie, że to są wszystko dopiero przewidywania, z natury raczej przez to samo problematyczne. Ale jeżeli ofensywa Mackensena na południowym wschodzie pójdzie dalej naprzód, jak szła dotąd, to ewentualność przeniesienia wojny na Besarabię i dalej na południowe tereny Rosji, i może istotnie aż po Boh osiągnęłaby prawdopodobnie rzeczywiście takie linie. A to, że główna waga wojny została przez Niemców po letnim pogromie Austrii pod Łuckiem i na Bukowinie i zwłaszcza po wystąpieniu Rumunii przeniesiona na front wschodni, łącznie z objęciem naczelnego dowództwa armii przez Hindenburga, a powierzeniem Mackensenowi głównej roli wykonawczej z dodaniem mu Falksenhayna – to robi dalszą ofensywę na południe Rosji bardzo w planach strategicznych niemieckich prawdopodobną. Muszą też Niemcy mieć dokładną świadomość olbrzymiego znaczenia atutów, jakie by w wojnie zyskały, zdobywając południowe tereny Rosji, takie jak Besarabia, Wołyn, Podole, znaczna część Kijowskiej Ukrainy i gub. chersońskiej – pobrzeży Morza Czarnego. Kraje te, i z natury bogactwa ich ziem, i z natury ich geograficzno-politycznego znaczenia jako droga dla Rosji do Bałkan i Konstantynopola, mają dla niej takie olbrzymie znaczenie, że cały punkt ciężkości politycznych zagadnień przy likwidacji wojny skupiłaby się na nich, gdyby one zostały przez armie mocarstw centralnych zajęte. Atut ten odciążyłby ogromnie Polskę i zajęte tereny Litwy, które dla Rosji wobec ziem południowych w kierunku Czarnego Morza i Bałkan mają znikome znaczenie. Dziś, gdy Rosja posiada swoje prowincje południowe, kwestia tych ziem nie istnieje wcale. Trzeba je dopiero faktycznie od niej odebrać, aby waga ich w grze politycznej się uwydatniła. A dziś Rosja nie tylko że ma te prowincje południowe własne, ale jeszcze trzyma sama w ręku Bukowinę, duży szmat Galicji Wschodniej. Toteż kampania Mackensena i dalszy jej ewentualny przebieg ma olbrzymie znaczenie dla losów wojny i politycznych jej konsekwencji. Gdyby Rosji odebrano prowincje południowe, to za samą cenę ich zwrotu zrezygnowałaby chętnie nie tylko z Polski, ale też Litwy, a gdyby jeszcze obiecano jej Bukowinę i Galicję Wschodnią ze Lwowem, względnie jeszcze Multany i część Dobrudży, dzieląc Rumunię, to strata Polski i Litwy byłaby dla Rosji zgoła bagatelna. Oczywiście perspektywy takie nie są bynajmniej łatwe do spełnienia, a i na podział Rumunii Zachód by się nie zgodził, a co do losów ziem południowej Rosji, mogą wypłynąć kombinacje państwowe ukraińskie, mogąc tym ewentualnym atutem inne zgoła tendencje zaszczepić.

6 stycznia, rok 1917, sobota

Z okazji święta Trzech Króli dzień wolny od zajęć. Na kompanię naszą wypadło dziś pójść do kościoła. Kościół w katolickiej Polsce tak ściśle się łączy ze sprawą narodową, że wszelkie zapoczątkowania o charakterze narodowym czy narodowo-państwowym, aby mieć w narodzie popularność, muszą się do kościelnych form i kościelnego życia nawiązywać. Mieszanie kościelnego charakteru ze wszelkimi uroczystościami i faktami sprawy narodowej – jest po prostu metodą polityczną. Dlatego też Legiony świadomie

się w tym celu do kościoła garną i dlatego też tutaj, gdy są one na hinterlandzie w Polsce, uczestniczenie ich w kościelnym życiu i kościelnych obrządkach jest rodzajem powinności polityczno-narodowej. Na linii, przynajmniej u nas w I Brygadzie, żadnego przymusu kościelnego nie było i nabożeństwa oraz wszelkie religijne sprawy i obrządki były przeznaczone dla tych, którzy z nich sami korzystać chcieli; żołnierze nasi są na ogół dość pobożni, toteż wielu z nich korzystało stale z religijnych posług kapelanów, ale miało to charakter li tylko religijny, swobodny, jako sprawy sumienia i odpowiednich duchownych potrzeb ludzkich. Tu ma to już inny charakter i uczestnictwo w nabożeństwach rozkłada się służbowo na kompanie.

We dnie dziś zmieniono nam karabiny austriackie na niemieckie. Całą broń austriacką, – karabiny, bagnety i amunicję – złożyliśmy do magazynów, skąd nam wydano nowiutkie karabiny i bagnety niemieckie. Karabiny te są cięższe i mają odrębną konstrukcję od naszych dotychczasowych manlicherów austriackich, kaliber zaś mają mniejszy; nie wiem dlaczego, ale podobają mi się one lepiej od austriackich. Bagnety są większe, dłuższe i szersze, z pięknej stali, z kształtu są nieco podobne do mieczów; różnią się od mieczów tym, że mają ostrze i kształt miecza tylko z jednej strony. Wśród komendantów naszych zaszły pewne zmiany. Major Bukacki opuścił nas i objął komendę V pułku na miejsce Berbeckiego, który objął stanowisko szefa sztabu Legionów. Komendę naszego baonu objął po Bukackim major Fabrycy. Porucznik Kruk-Grzybowski po powrocie z urlopu nie wrócił już do komendy naszej kompanii. Komendantem kompanii został znowu nasz dawny kochany komendant – kapitan Dąb-Biernacki, ale jest on tylko komendantem uroczystym, zastępcą zaś jego jest porucznik Młot-Parczyński.

I znowu wracam do pobytu mego w Wilnie, i znowu raz jeszcze do zebranka polsko-litewsko-białoruskiego u mnie z dnia 27 grudnia. Przywiązuję do niego wagę, bo było ono jedną z nielicznych w Wilnie prób bezpośredniego kontaktu Litwinów z Polakami litewskimi i uwydatniło stanowiska jednych i drugich oraz te przeszkody, jakie zachodzą dla układów i stałego współdziałania aktywnego na gruncie programu krajowego. Że główna trudność dla zgodnego aktywizmu krajowego pochodzi od Polaków litewskich i popularnego w ich szeregach przejawiania tendencji ciężenia do Polski, to fakt. Ale niemniej nie należy tego faktu przesadzać. Jak słusznie zaznaczył w swoim przemówieniu Zygmunt Jundziłł, nie należy brać miary dążeń całości polskiego społeczeństwa w Litwie i tych zbyt jaskrawych ciężarów do Polski o zabarwieniu aneksyjnym względem Litwy, które się nieraz tak głośno w Wilnie manifestują. O ile chodzi o inteligencję wileńską, bardziej oderwaną od rdzenia społecznego kraju, a jeszcze bardziej o przyjezdnych z Królestwa Polaków, zamieszkałych w Wilnie i Litwie, to ci istotnie mało mają czucia kraju i jego odrębnej indywidualności z płynącymi stąd wskazaniemi politycznymi i ci postulat łączności z Polską istotnie zbyt mechanicznie pojmują; o ile jednak chodzi o rdzeń masy Polaków litewskich, zwłaszcza zaś o wieś i w szczególności o klasę ziemiańską, to tam poczucie krajowe jest silne w samym instynkcie i konsekwentnie w aspiracjach ludności, a postulat związku czy też łączności z Polską nie tylko nie wyklucza państwowych form dla Litwy, ale zupełnie z tymi formami się godzi i z nich harmonijnie wypływa. O tym należy wiedzieć i pamiętać i nie dać się zahipnotyzować pozorom inteligenckiego głośnego krzykactwa garści tych, co aneksyjne tendencje w postulacie łączności wyrażają. Właściwie przecie i sami Litwini w koncepcji swojej, wychodząc z założeń państwowo-niepodległościowych Litwy (niepodzielnej), dochodzą w koncepcji swojej do tejże konieczności łączności czy też związku, względnie solidaryzmu, jeno że w programowym formułowaniu tego postulatu są pętani obawą przed owymi aneksyjnymi zakusami pewnych odłamów Polaków litewskich, i to właśnie zamyka drogę do

aktywizmu. Sytuacja więc wytwarza się taka, że obiektywne warunki, wytwarzane przez wojnę, układają się dla Litwy bardzo pomyślnie w kierunku zastrzeżenia państwowych jej praw na drodze kontaktu z powstającym państwem polskim i są też wewnątrz kraju podstawy do układu na rzecz solidarnego aktywizmu, ale cała rzecz się rozбивa o pewne popularne aneksyjne tendencje inteligencko-polskie w Wilnie i z drugiej strony – pewien brak realizmu i zmysłu oportunistycznego u Litwinów, niezbędnego w takich katastrofalnych momentach dziejowych. To są jednak przeszkody, niestety, bardzo istotne. Z Litwinów najwięcej giętkości i zmysłu realnego ma Kairys, a w tymże kierunku orientuje się także Domaszewicz, który jeno grzeszy chaotycznością umysłu. Smetona bardzo mądrze myśli, ale jest ogarnięty pesymizmem, Šaulys zaś, który poszedł bardzo na prawo, jest najmniej giętkim i stał się niezmiernie trudnym.

7 stycznia, rok 1917, niedziela

Nowy krok w ofensywie Mackensena: zdobyta została Braiła i zwycięska armia dotarła do linii dolnego Seretu.

W naszym życiu koszarowym urozmaiceń mało. Ćwiczeń pruskich jeszcze nie rozpoczęliśmy. Dziś mieliśmy wizytację koszar przez brygadiera Januszajtisa. Poza tym nic szczególnego. Wieczorami po rozkazie, to znaczy od godz. 5 po południu do godz. 9, mamy prawo wychodzić co dzień „na miasto”, to znaczy poza obręb koszar – do Zambrowa. Miasteczko i wszystkie domy wzdłuż szosy od koszar do miasteczka – roją się od sklepików i herbaciarni. Niemalże przy każdym sklepiku jest herbaciarnia. Przypomina to Baranowicze, z tą jednak różnicą, że tu w herbaciarniach można dostać produkty miejscowe, jak chleb wszelkiego rodzaju – razowy, biały i bułki pszenne, masło, jaja, ser biały wiejski, w wielu też kotlety lub jakieś inne dania mięsne. Ceny są naturalnie słone, ale jeszcze względnie znośne. Wszystkie te herbaciarnie są obliczone na klientelę żołnierską i utrzymywane prawie wyłącznie przez Żydów, obsługiwane zaś przeważnie przez młode, nieraz przystojne Żydóweczki. Niejedna herbaciarnia służy za przykrywkę dla innego zgoła procederu, którym jest mały poufny lupanarek, czyli „bajzel” podług terminologii legionistów. Żydóweczek młodych, przystojnych i milutkich jest tu bardzo dużo, bo miejscowa ich „załoga” jest poważnie zasilona licznym zastępem ewakuowanych z Pińska Litewskiego; do młodego, pełnego życia elementu męskiego żołnierzyków legionowych te młode ruchliwe a sprytnie Żydóweczki pasują bardzo. Przyciągnęła też tu za Legionami z Łomży garstka tamecznych prostytutek tańszego kalibru, młodych dziewcząt wulgarnie wypudrowanych i beczelnie roześmianych. Gdyby nie chroniczne pustki w kieszeniach olbrzymiej większości żołnierzy, mieliby oni po herbaciarniach zabawę wcale wesołą. Jest także kantyna niemiecka, która głównie pociąga żołnierzy piwem i marmoladą i tej ostatniej zakupują się i pochłaniają się codziennie olbrzymie ilości, bo to względnie najtańszy i najlepszy do chleba artykuł spożywczy, uzupełniający luki w marnym pożywieniu żołnierskim, a smaczny dla ogółu, bo słodki, zwłaszcza wobec gorzkiej nieosłodzonej tzw. „kawy”, którą żołnierze otrzymują na śniadanie i kolację.

A teraz znów przechodzę do wileńskiej części w dzienniku moim. O zebraniu polsko-litewsko-białoruskim z dnia 27 grudnia właściwie już skończyłem. Daj Boże, żeby po moim wyjeździe zebrania takie były kontynuowane, chociaż osobiście wątpię w to, bo jestem bodaj jedynym człowiekiem, który potrafi w Wilnie pośredniczyć i łączyć Polaków litewskich z Litwinami, posiadając na ogół zaufanie tych ostatnich. Zresztą wątpię w płodność tego rodzaju zebrań i pogadanek w obecnym stadium stosunków i nastrojów. Jestem pod tym względem pesymistycznie usposobiony. Niestety – Litwa jeszcze do aktywizmu swego, aktywizmu własnego nie dojrzała. Wypadki ją zaskoczyły

przedwcześnie, a chociaż wywierają one silną presję na umysły i skierowują ją z konieczności do formułowania postulatów dziejowych, ale aktywizm stale się późni i nie uprzedza faktów, nie kształtuje ich, jeno je usiłuje dogonić. Litwini, tak samo jak Polacy litewscy w Wilnie, są politycznie skonsolidowani w jakimś międzypartyjnym Komitecie narodowym. Poniekąd jest to rzecz dodatnia, konieczna na chwilę osobliwą, ale ma to i swoje ujemne strony. Konsolidacja trzyma w pewnym szachu i paraliżuje te elementy, które byłyby skłonniejsze do aktywizmu i które czy to są dojrzsze politycznie, czy też mają głębszy zmysł chwili. Co do możliwości kompromisu litewsko-polskiego w kraju, to zarówno elementy polskie, które by się do tego nadawały, jak odpowiednie litewskie są pętane w ruchach przez swoje konsolidacje, oparte na wyłącznych narodowościowych zasadach.

Żałowałem bardzo, że w Wilnie nie odbył żadnej specjalnej konferencji z Białorusinami. Chodziło mi o to bardzo, nie tylko dla zaznaczenia, że się z nimi chcę liczyć, bo też istotnie, mimo ich słabości dzisiejszej, liczę się, gdyż wierzę w ich żywotność i uważam ich za poważny w przyszłości krajowy czynnik, i to czynnik ludowy, a więc taki właśnie, który nade wszystko w rozwoju społeczno-politycznym i kulturalnym cenię, ale też dlatego, że konferencję z nimi uważałbym za rzecz, która już dzisiaj może mieć znaczenie. Białorusini czują się i są zignorowani przez Polaków litewskich, którzy na własną rękę i z własnych li tylko narodowych względów za kraj ten stanowiąc pragną (poza swoją wolą, liczą się tylko z litewską częścią kraju). To dolewa oliwy do ognia niesnasek krajowych i komplikuje sprawę Litwy, hamując jej aktywizm. Białorusini są ignorowaniem ich przez Polaków bardzo rozgoryczeni i w tym rozgoryczeniu skłonni są do zupełnego bagatelizowania, a nawet negowania perspektyw dziejowych, które dla Litwy, a w tym i dla nich samych, ze związku z powstającym państwem polskim płyną. Byłbym im te perspektywy przedstawił, nie negując przeszkód, jakie są na drodze ich realizacji, przeciwnie – wskazując na nie. Ale byłbym zasiał ziarno myśli, którego kiełkowanie zależy w dużym stopniu od postawy i zmysłu realnego samych obywateli kraju. Sytuacja wewnętrzna jest ciężka, ale od woli wszystkich czynników krajowych zależy znalezienie drogi wyjścia, a do tego przede wszystkim niezbędna jest świadomość obiektywnych założeń sprawy. Niestety nie doszło do takiej konferencji przez jakiś przykry zbieg okoliczności. Parokrotnie była ona wyznaczana, ale za każdym razem był wyznaczony termin, na który przybyć nie mogłem lub o którym nie wiedziałem. Obydwa więc razy nie przyszedłem. Najgorsze zaś jest to, że Białorusini, zdaje się, odnieśli wrażenie, że ja nie przyszedłem przez lekceważenie. A że są oni na tym punkcie szczególnie drażliwi, więc to może na przyszłość ich do mnie źle uprzedzić.

8 stycznia, rok 1917, poniedziałek

Dziś nasza kompania, a w tej liczbie nasz pluton, miała tzw. wartę główną garnizonową. Ja w tej służbie udziału jednak nie brałem, bo miałem służbę ordynansa w batalionie. W warunkach koszarowego życia ta służba ordynansowa nie jest uciążliwa, ale niemniej jest ona tutaj w Zambrowie dość przykra, bo ordynansi mają do siedzenia pokoik nieopalony, zimny, co nie należy do przyjemności. W nocy – od godz. 6 wieczór do godz. 6 rano – czterej ordynansi (ordynansi I, II i III baonów oraz II O.K.M-u) czuwają na zmianę po trzy godziny, resztę czasu nocnego ordynansi mogą spać u siebie, byle się nie rozbierali. Na mnie wypada tej nocy czuwanie ordynansowe od godz. 3 po północy do 6 rano.

Tyle o dniu dzisiejszym w pułku w Zambrowie. A teraz przechodzę do dalszego ciągu ostatnich dni mojego pobytu w Wilnie. Doszedłem w sprawozdaniu moim do dnia 28 grudnia. Tego dnia rano składałem z Maryńką wizyty prywatne krewnym i bliższym

znajomym. Byliśmy u stryjostwa Bolesławostwa Römerów. Zostali oboje w Wilnie, zapewne głównie ze względu na ich syna Stefana, który, jako zamieszkały w Niemczech, był od nich od początku wojny odcięty, tak że nie mieli możliwości skomunikowania się z nim, dopóki byli pod władzą rosyjską. Teraz już się z synem skomunikowali. Stefan jest gdzieś, jako poddany rosyjski, internowany w Niemczech. Stryjostwo zachowali całkowicie orientację rosyjską, która ma u nich zabarwienie szczerze moskalofilskie, bez żadnych zboczeń. Niemców nienawidzą, jak zresztą dziś wszyscy w Wilnie, ale nie mają też żadnych aspiracji niepodległościowych i zresztą nie wierzą w to zgoła. Pragną i czekają tylko jednego – aby Moskale wrócili, a wraz z nimi wrócili też wszyscy „dobrze myślący”, którzy z Moskalami do Rosji uciekli, i wróciła także dawna obfitość i sytość w życiu. Mają się zresztą oboje stryjostwo dobrze. Stryjenka Bolesławowa, pomimo moskalofilstwa, jest jednak, jak wiem od Maryńki, serdecznie dla mnie usposobiona. Jej nie zastaliśmy w domu, tylko stryja Bolesława. Trzyma się stryj dobrze mimo sędziwego wieku. Był naturalnie uprzejmy dla mnie, ale ani słowem nie wspomniał o Legionach i o nic mi z dziedziny mojej wojskowości nie spytał, jakg dybym był, tak jak dawniej, cywilem i jak gdyby nic się nie zmieniło. Z Römerów pozostali w Wilnie jeszcze: Leon Römer, który już w czasie okupacji niemieckiej ożenił się z młodą panną Świdówną, i ciocia Marynia Römerówna z Antokola, która pogodziła się już z Marynką i stała się wielką jej przyjaciółką; c. Marynia stęka na ciężkie czasy i skąpi się jeszcze bardziej, niż dawniej, ale powrotu Moskali nie pragnie bynajmniej i politycznie jest usposobiona całkiem niepodległościowo. Tegoż dnia po południu z inicjatywy moich przyjaciół wileńskich odbyło się śniadanie pożegnalne dla mnie w lokalu Klubu Szlacheckiego (oba dawne własne lokale Klubu Szlacheckiego – zimowy naprzeciwko ul. Milionowej przy zaułku Policijnym i letni nad rzeką Wilejką naprzeciwko Ogrodu Botanicznego – zostały zarekwirowane przez Niemców, tak że obecnie Klub ten musiał poszukać gościny w lokalu Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń przy ul. Świętojerskiej. W śniadaniu wzięli udział: Witold Abramowicz, Zygmunt Jundziłł, Ludwik Chomiński, Ignacy Turski, Aleksander Zashtowt, Stanisław Bagiński, Jan Piłsudski, Wacław Studnicki, Bronisław Krzyżanowki i Władysław Dmochowski. Miał być także Nagrodzki, ale z powodu niezdrowia nie przybył. Było po parę kieliszek wódeczki, pieczeń cieleca z kartoflami i jakieś wino do tego, wreszcie kawa czarna, względnie herbata. Śniadanko miało charakter poufny w gronie przyjaciół, bez żadnych toastów ani uroczystości. Toczyła się rozmowa prywatna, gawędka o tym i owym, przeważnie o różnych rzeczach publicznych aktualnego charakteru, o wypadkach i perspektywach wojennych, politycznych i krajowych. Dotykano różnych bolączek krajowych, jak sprawa przymusu robotniczego, stosunków z Litwinami, problemu państwowego Litwy, werbunku z Litwy do armii polskiej itd. Pod koniec śniadania zabrał głos Witold Abramowicz i w przemówieniu pożegnalnym, skierowanym do mnie, zwrócił się z apelem do mnie, abym wrócił do kraju i osiadł znów w Wilnie, wyrażając w swoim i przyjaciół imieniu życzenie mojego udziału w politycznym życiu krajowym. Ze względu zwłaszcza na stosunki z Litwinami i zresztą w ogóle na moje imię w politycznym świecie krajowym i na moją znajomość stosunków obecność moja w Wilnie w obecnej trudnej chwili byłaby, ich zdaniem, bardzo pożądana. Na to jednak z opozycją wystąpił Wacław Studnicki z właściwą mu szczerością i prawdomównością bezwzględna, zastrzegając się, że osobiście żywi dla mnie jak największą sympatię i uznanie. Uważa jednak, że „powietrze wileńskie” źle na mnie działa, bo pod jego wpływem, gdy tylko dłużej w atmosferze wileńskiej posiedzę, staję się przesadnym „krajowcem” i zbyt dużo się liczę tak z Litwinami i Białorusinami, jak ze wszelkimi rutynowymi pojęciami o krajowości. Studnicki uważa, że to tak działa na mnie wpływ

moich najbliższych przyjaciół politycznych, jak w szczególności Aleksandra Zasztowta. Dopóki jestem w Legionach, to sam fakt mojego w nich udziału, który oczywiście ma większą wartość, niż udział kilkudziesięciu nieznanych bezimiennych rekrutów, jest wybitnym atutem politycznym, więcej znaczącym, niż moja tu obecność z uleganiem wpływom „krajowym”. Taka jest szczerza opinia Studnickiego, który jeszcze w pierwszym dniu mojego przyjazdu do Wilna uważał za potrzebne zatrzymanie mnie w Wilnie. Cytuję to oświadczenie Studnickiego dla charakterystyki konsekwentnego stosunku nacjonalistów do mnie.

9 stycznia, rok 1917, wtorek

Znowu krok naprzód na rumuńskim froncie: zdobyte zostało Focsani i przez to linia Seretu w dolnym biegu rzeki została osiągnięta na dłuższym już nieco odcinku. Obecnie najważniejsze zadanie wypada na razie południowemu skrzydłu grupy wojsk arcyksięcia Józefa, działającemu w Multanach zachodnich, które musi wyrównać linię Seretu ku północy.

Dziś mieliśmy wizytację koszar przez pułkownika Śmigłego, który przyszedł z całą switą oficerów pułkowych dla przyjrzenia się wewnętrznym wzorowym porządkom koszarowym, urządzonym na modłę niemiecką. Izbą porządków wzorowym była izba I plutonu naszej kompanii, izba, której komendantem jest sierżant Adam Nebelski, zafrontowy w tymże plutonie. Porządki w zewnętrznym ładzie izby, jak sposób zaślania łóżek, raczej pościeli na pryczach, zawieszenia płaszców, chlebaków, manierek i pasów na kołkach, ułożenie plecaków i tornistrów na półkach, ułożenia rzeczy wewnątrz w szafkach itd., zostały poprzednio w tej izbie pedantycznie przez instruktorów niemieckich ustalone i skontrolowane. Pułkownik z oficerami przyszedł się przyjrzeć, aby następnie ten wzór we wszystkich oddziałach pułku zastosować. Jak zawsze u nas w Legionach, musi być jakiś popularny konik, na którym się jeździ aż do przesady. Takim konikiem są na razie te porządki, które z pewnością wkrótce zostaną zapomniane, względnie zastąpione przez innego popularnego konika.

Wracam znowu do ostatnich dni mego pobytu w Wilnie. 28 grudnia wieczorem miałem znów odczyt czy tam pogadankę w Klubie Bankowym, który przetrwał zawieruchę ucieczki Rosjan i inwazji niemieckiej i funkcjonuje nadal w tym samym, co w pierwszym roku wojny lokalu przy zaułku Zamkowym, względnie Bernardyńskim. Klub ten w dalszym ciągu pozostał, zdaje się, takim samym, jakim był dawniej: bezbarwnym, nie indywidualnym, gromadzącym spragnioną wszelkiej sensacji politycznej w tych niezwykłych czasach przeciętną masę inteligencją, niejednorodnym przez to, ale łatwym do opanowania przez tych, którzy go zechcą urabiać, a nie pozbawionym bynajmniej wartości jako narzędzie szerzenia pewnych nastrojów i wpływów, bo takie cielsko pozbawione własnej kośćistości a wrażliwe, jako inteligentkie, łatwo nasiąka pewnymi nastrojami i metodami myślenia i następnie pośredniczy automatycznie w popularyzowaniu pewnych kierunków. Nie powiem, aby mi osobiście było sympatycznie takie inteligencko-bezbarwne środowisko, nasiąkające przeróżnymi miazmatami wrażeń, a w gruncie rzeczy tylko na sensację chciwe, ale pożytek jego w pewnych okolicznościach uznaję. Zresztą wszędzie miewałem odczyty i pogadanki, toteż i tu odmówić nie mogłem, bo posiadanie mię choć przez jeden wieczór było pewnego rodzaju modą sensacyjną w Wilnie. W Klubie Bankowym gromadzą się i miewają swoje wieczory, swoje dni i posiedzenia lub pogadanki różne jakies inteligentkie lub inteligencko-zawodowe zrzeszenia, jak towarzystwo nauczycieli szkół wileńskich, towarzystwo czy też związek kupców czy tam handlowców itp. Niestety, musiałem już odmówić w Klubie Bankowym odczytu w dniu zebrania nauczycieli, bo byłem owego wieczora zajęty, ale już kupieckiemu czy handlowemu wieczorowi

odmówić nie mogłem, a zaproszony zostałem przez W. Abramowicza. Odczyt odbył się, jak wszystkie inne podobne mu w tych moich dniach wileńskich. Sporo było wśród obecnych – moich dawnych znajomych, a honory gospodarza Klubu pełnił wobec mnie p. Kazimierz Rutski. Dyskusji naturalnie nie było, bo referat mój miał charakter prawie wyłącznie informacyjny, jeno były zapytania i wyjaśnienia oraz uzupełnienia z mojej strony. Z pytań wszakże mogłem wyczuć wśród zgromadzonych obecność także mniej lub więcej zamaskowanych moskalofilów, a przynajmniej sceptyków, bardzo podejrzliwie usposobionych do jakiegokolwiek aktywizmu wolnościowego, opartego na solidaryzmie z Niemcami. Ci jednak, a zwłaszcza właściwi moskalofile, są obecnie w mniejszości notorycznej w tych przynajmniej kołach, które cokolwiek z zagadnieniami politycznymi styczność mają i śledzą tok wypadków życia publicznego.

10 stycznia, rok 1917, środa

Nie możemy się wciąż jeszcze doczekać, żeby nas zaczęto ćwiczyć na modłę niemiecką. Dziś mieliśmy tzw. ćwiczenia taktyczne. Wyprowadzono nas na drogę w kierunku Czyżewa i markowano marsz bojowy ubezpieczony w kierunku nieprzyjaciela; I pluton pod komendą Wiatra markował nieprzyjaciela. Ja szedłem w szpicy, prowadzonej przez Obląka. Zadanie ćwiczeń zostało wykonane nieźle i na tym się zabawa skończyła. Tzw. siłę główną naszą prowadził Łaszczyński, który wreszcie w końcu grudnia został zatwierdzony w szarży chorążego i jest jako oficer przydzielony do naszej kompanii. Oczywiście marny z niego oficer, bo zupełnie się nie zna na wojskowości i sam nawet ćwiczyć by nie potrafił. Każdy z naszych podoficerów i większa część szeregowców lepiej by sobie poradził już nie tylko w linii, ale w najprostszym ćwiczeniu w roli oficera, niż chorąży Łaszczyński. Za takie parweniuszowskie oficerstwo, jakie sobie wyżebrał Łaszczyński, darzą go też nasi żołnierze pogardliwym lekceważeniem. Dla żołnierza bowiem liniowego, który sam ma duże i twarde zasługi i który jest niezmiernie wrażliwy na zasługę osobistą, wszelkie parweniuszostwo, z jakiegokolwiek bądź tytułu poza zasługą osobistą wyrastające, jest przedmiotem pogardy. Łaszczyńskiego widziano w szeregu jako żołnierza w plutonie i przekonano się, że nic zgoła nie umie i żadnych kwalifikacji wojskowych nie tylko na oficera, ale nawet na podoficera – nie ma. Teraz nagle on oficerem, za to tylko, że na tyłach w politycznej służbie w Departamencie Wojskowym zrobiono go oficerem dla werbunku. Ale co mają czynności werbunkowe, polityczne wspólnego ze sztuką wojskową, której on zgoła nie zna? I iluż to podoficerów, wprawionych w twardą szkołę wojny czynnej, pełnych zasługi, czeka na próżno latami całymi awansu? Przyszedł taki ot „łazarz” Łaszczyński, jakiś hinterlandowy werbunkowiec, który się w mundurze legionowym obijał na tyłach i robi się oto oficerem, gdy taki Wiatr, który już od półtora roku jest samodzielnym komendantem plutonu, jest ciągle tylko sierżantem. I jeszcze, będąc w plutonie w charakterze sierżanta bez funkcji, w roli żołnierza szeregowego, taki Łaszczyński ciągle się upominał w pułku o potwierdzenie mu nominacji oficerskiej, w werbunku uzyskanej, aż zrobił swoje i zebraniem, nudzeniem, upominaniem się ciągłym nominację uzyskał. Dużo jest przecie przypadkowości i parweniuszostwa w wojsku! Nawet tu, gdzie zasługa osobista powinna być alfą i omegą różnicowania ludzi, protekcja, przygodne względy, spryt, umiejętność w upominaniu się itd. – grają przeważną rolę. Ja osobiście należę do tych, którzy nigdy czelności w wysuwaniu się i upominaniu o siebie nie mieli i mieć nie potrafią.

Wracam znowu do ostatnich dni mego pobytu w Wilnie, a więc już do dnia 29 grudnia. Tego dnia rano byłem u Šaulysa i miałem z nim ciekawą i charakterystyczną rozmowę, określającą dobrze stanowisko pewnego odłamu opinii litewskiej. Dałem poprzednio do przejrzania Šaulysowi komplet „Widnokregu” od czasów jego wznowienia. W piśmie

tym było między innymi parę drobnych artykułków moich pod wspólnym tytułem „Ludy Litwy”; w jednym z tych artykułków scharakteryzowałem w kilku rysach Polaków litewskich, w drugim – Białorusinów. Miałem napisać jeszcze o Litwinach i Łotyszach, ale już tego nie dokończyłem z powodu mego powrotu w jesieni do pułku. W artykuliku o Polakach litewskich wyraziłem tę myśl, z obserwacji stosunków litewskich wyciągniętą, że z postępem demokratyzacji społecznej w kraju dokonywa się ludowa formacja narodowo-polska, tak, jak się dokonała także litewska i dokona z pewnością białoruska. Demokratyzacja, potęgując świadomość i aktywizm społeczny i kulturalny ludu, różnicuje dotychczasową jednolitą i bierną masę ludową w kraju na odrębne społeczności narodowe ujmując dalszy rozwój ludu w narodowe formy. Na skutek tego procesu element polski w kraju, który był dotąd, a przynajmniej do niedawnych czasów, ograniczony prawie wyłącznie do stanu szlacheckiego, względnie klasy ziemiańskiej, z pewnym uzupełnieniem inteligenckich sfer miejskich, zyskuje stopniowo pewną podstawę ludową i ewentualnie nawet terytorialną, zdobywając pewne skupienia w określonych częściach kraju. Jednocześnie osiągnięcie głębszej podstawy ludowej w kraju przez element polski, ewentualnie uzyskanie pewnego terytorium etnicznego, względnie narodowego, spaja głębiej ten element polski z krajem i nadaje mu nie tylko większą moc wewnętrzną, ale też bliższe i ściślejsze czucie krajowych stosunków i potrzeb, a przez to głębsze obywatelskie uzasadnienie i głębszy z krajem obywatelski kontakt. Nie przeczę, choć tego w artykuliku tym, o ile sobie przypominam, nie wyraziłem, że dalszy postęp tego procesu zróżniczkowania narodowego ludu w Litwie, gdy się całkowicie dokona i o ile się dokona istotnie z równoległą klasyfikacją skupień narodowych na pewnych częściach terytorium, wytworzy z czasem tendencje do politycznego także rozpadnięcia się Litwy na Litwę właściwą, Litwę polską, względnie polsko-białoruską i Białoruś właściwą. Dziś te tendencje podziałowe nie są jeszcze dojrzałe, a w każdym razie muszą być poprzedzone przez ewolucję wewnętrzną bez narzucenia podziału z zewnątrz, który mógłby być sztuczny.

11 stycznia, rok 1917, czwartek

W gazetach, które dziś do nas doszły, jest wreszcie akt nominacji przez generał-gubernatorów Beselera i Kuka członków Rady Stanu. Zatwierdzona została ta sama lista (zdaje się, że bez zmian), która została w końcu grudnia ułożona. Faktem więc pozostało to, że prawica do Rady Stanu nie weszła. Uroczyste otwarcie Rady Stanu ma nastąpić 14 i 15 bm. Jest to wreszcie pierwszy krok, istotny na drodze realizacji aktu 5 listopada i pierwszy rzeczywisty zawiązek państwowej władzy polskiej. Jako taka, Rada Stanu jest olbrzymiej wagi faktem w Sprawie Polskiej, wreszcie przez tę błogosławioną wojnę wyprowadzonej ze stuletniej niewoli do wolności i wskrzeszenia Polski. Pod względem nazwisk lista członków Rady Stanu przedstawia się dość mizernie. Wielkich i głośnych nazwisk, popularnych głęboko w narodzie, nie znajdziemy na tej liście imiennej pierwszych państwowych budowniczych Polski. Jedynym wielkim istotnie w narodzie imieniem, które na tej liście widzimy – to Józef Piłsudski. Poza tym jest garstka ludzi zasłużonych, których imiona jednak wielkimi dotąd nie były, względnie ludzi dość znanych, ale znanych tylko w poszczególnych ugrupowaniach lub w ściślejszych kołach polityków. Tacy: Józef Pomorski, Artur Śliwiński, Stanisław Bukowiecki, Kazimierz Natanson i Dziewulski, Michał Lempicki, Władysław Studnicki, dr Paweł Jankowski – to są ludzie zasłużeni, przeciętnie znani, ale ani wielcy popularnością w narodzie, ani też przeważnie wielcy miarą zasług lub wartości charakteru. Są mniej lub więcej wybitni, ale niewiele co ponadto. Względnie najwybitniejszym z nich, najwyrazistszym i bodaj że najzdolniejszym, o ile ich znam,

jest Władysław Studnicki, ale ten jest za to najmniej poważnym i najmniej organizacyjnym dla budownictwa państwowego w tak odpowiedzialnej tragicznej chwili dziejowej. Są też wśród nich ludzie, którzy dopiero w ostatnich czasach, w dobie już wojny, względnie już nawet okupacji wypłynęli na szerszą arenę społeczno-narodowej działalności, jak hr. Wojciech Rostworowski, Stanisław Dzierzbicki, ksiązę Franciszek Radziwiłł, wreszcie kilku całkiem nowych i nieznanych, poniekąd nawet przygodnie wyrwanych z masy narodowej ludzi, którzy są *tabula rasa* w życiu publicznym. Takim jest zwłaszcza Wacław Niemojowski, który wysunięty został na kandydata na marszałka Rady Stanu, czyli marszałka koronnego w terminologii nowej państwowości polskiej, a więc na najwyższą dziś godność w powstającej Polsce. Niemojowski, ziemianin z Kaliskiego, ma za sobą tylko nazwisko i majątek oraz piękną tradycję roli patriotycznej, jaką jego dwaj dziadowie odegrali w Królestwie Kongresowym w dziejach walki Sejmu Konstytucyjnego z despotyzmem carów. Z ludzi, których znam osobiście spośród członków nowej Rady Stanu – a znam ich większość bądź osobiście, bądź ze słyszenia – najwięcej cenię jako umysły i charaktery twórcze, zdolne i czyste Włodzimierza Kunowskiego i dr Pawła Jankowskiego (Kunowski wchodzi do Rady jako przedstawiciel PPS-u, dr Jankowski jest ludowcem z Lublina, przyjacielem ruchu „zaraniarskiego”, obecnie jednym z najrzetelniejszych piłsudczyków w polityce). Oczywiście poza wszelkie porównania i zestawienia stawiam Józefa Piłsudskiego jako zgoła wielkość niewspółmierną, jedyną w swoim rodzaju. Cóż jednak dziwnego, że powstająca Polska nie jest w stanie wystawić własnych budowniczych spośród ludzi już szeroko poprzednio znanych i spopularyzowanych! Imiona tzw. znane i popularne, które się wysunęły na czoło w dobie niewoli i zdołały się wtedy tam spopularyzować na scenie życia publicznego, to byli ludzie, przystosowani do niewoli, którzy na budowniczych wolności się nie nadają i którzy albo dziś uciekli do Rosji z wojskami carskimi, albo tułają się i dyplomatyżują z koalicją po stolicach państw zachodnich lub w neutralnej Szwajcarii, albo siedzą w kraju podszyci tchórzem i symulują neutralistów. Wolność kuli pod ziemią ludzie o nazwiskach, które się spopularyzować w warunkach cenzury moskiewskiej nie mogły. Zresztą istotnymi budowniczymi wskrzeszanej dziś Polski są nie wielcy lub mniejsi, nie wybitniejsi i popularniejsi lub mniej popularni politycy, z których dziś listę członków Rady Stanu się układało, ale ten zastęp bezimiennych w polityce ludzi, którzy się zwą Legionami Polskimi. Ich imię – to Józef Piłsudski i On jest w Radzie Stanu. Imiona tych rycerzy-wskrzesicieli Polski nie w polityce, lecz w czynie krwawym zasługą osobistą wykute zostały w dziejach narodowych. Dziś zresztą, nie negując i nie osłabiając bynajmniej olbrzymiej wagi Rady Stanu w Sprawie Polskiej, główne atuty tej Sprawy mieszczą się w dwóch najważniejszych momentach: w dalszych losach wojny i w szczególności w losach południowo-wschodniej kampanii Mackensena, o ile ta kampania zdoła głęboko w południowe prowincje Rosji się posunąć, i w fakcie utworzenia armii polskiej. W tych dwóch momentach zasadza się główna moc i stateczność dokonanego wskrzeszenia Polski.

12 stycznia, rok 1917, piątek

Rano mieliśmy kąpiel ze zwykłą w tych razach dezynfekcją. Kąpiel ta jest dobra, urządzona jeszcze za czasów rosyjskich. W dniu, w którym jest kąpiel, nie bywa zwykle zajęć, toteż mieliśmy dzień wolny. Odbywały się natomiast w dalszym ciągu ćwiczenia naszych oficerów w musztrze niemieckiej pod kierunkiem niemieckich instruktorów. Ćwiczenia te odbywają się już od kilku dni i są wstępem do ogólnych ćwiczeń naszych, które już zapewne lada dzień się rozpoczną.

Są pogłoski, że już niedługo zostaniemy w Zambrowie i że ewentualnie w końcu jeszcze bieżącego miesiąca wymaszerujemy, podobno do Łomży z powrotem. Powiadają, że pułk zostanie już podzielony na bataliony, z których każdy ewentualnie wyruszy osobno jako kadra poszczególnego przyszłego pułku. Z naszego plutonu zabrano dziś do aresztu do rozporządzenia żandarmerii Pawła Diducha, posądzonego o kradzież plecaka żołnierzowi Widelcowi, kucharzowi. Diduch, z pochodzenia Rusin z Tarnopola, jest typem bardzo charakterystycznym. Niepodobna go mierzyć zwykłą miarą ludzkich cywilizowanych pojęć o moralności, o stosunkach własności itp. Diduch – to zupełne zwierzątko, którego tresura zewnętrzna nie jest w stanie zniszczyć instynktów natury. Jakie było dzieciństwo i pierwsze lata młodości Diducha, dopóki trafił do wojska – nikt nie wie. Wychowania nie odebrał oczywiście żadnego, tym mniej najelementarniejszego wykształcenia. Był analfabetą, gdy się dostał do wojska i dopiero w r. 1916 w Kozienicach w batalionie uzupełniającym nauczono go czytać, a pisać nie umie dotąd. Żadnych pojęć ogólniejszych, żadnych wyższego rzędu czy to moralnych, czy społecznych, czy też narodowych ideałów nikt mu z pewnością nigdy nie próbował wpoić, nie słyszał o nich nigdy i nic o nich nie wiedział. Rósł jak rośnie dzikie drzewko w lesie. Co go skierowało do Legionów – nikt o tym nie wie i nie wie zapewne on sam. Nie z idei jakiejś, nie ze świadomości sprawy, ale ot tak, z przypadku, ze sprawy losu. Inwazja rosyjska załapała Galicję Wschodnią, Tarnopol był zajęty, młody Paweł Diduch, który był na zarobkach w Prusiech, bodaj że na Śląsku, został odcięty od domu, rzucony w świecie samopas. Skądś gdzieś dowiedział się o Legionach i nie wiadomo jak się dostał do miejsca ich postoju. Pewnego dnia zgłosił się do brygady, w tym czasie, zdaje się, gdy brygada stała na wypoczynku w Kętach w Galicji Zachodniej pod Śląskiem, i wstąpił na żołnierza. Do tresury wojskowej wdrożył się szybko, ale kultury, ani wojskowej, ani cywilizacyjnej, nie był w stanie posiąść nigdy. Gdy wstąpił do Legionów, był młodziutkim, coś 17- czy 18-letnim chłopcem. Odtąd był ciągle w I Brygadzie i w kompanii I baonu. Wojował z różnym skutkiem, przeżył niejedną ciężką bitwę, od czasu do czasu udawało mu się wyrwać z linii na hinterland do szpitala i objąć się przez czas jakiś w kadrze. Skądinąd żołnierzem był niezłym, choć w pamięci kompanii pozostało kilka komicznych epizodów z wojennych kawałków Diducha; raz w początkach wojskowej kariery swojej Diduchowi, stojącemu na wedecie, wiatr szumiący w krzakach i chwianie się tychże sprawił iluzję podsuwania się Moskali – złudzenie częste u nowych żołnierzy: Diduch, poruszony, zeszedł z wedety i zawiadomił placówkę, że Moskale pełzną „na raczkach” (na czworakach); narobił fałszywego alarmu; było to, zdaje się, nad Nidą. Innym razem – a było to już na Polesiu Wołyńskim w jesieni roku 1915, gdym już ja był w kompanii, Diduch był wtedy w I plutonie – Diduch, po wkroczeniu naszym do miasteczka Trojanówki, zaalarmował nagle kompanię meldunkiem, że po chatach są pochowani Kozacy; pamiętam ten epizod; Diduch, który z pewnością już pod pozorem jakiegoś patrolowania chałup myszkował, goniąc za kurami lub zdobywając gdzieś słoninę czy inne specjały, przybiega nagle zdyszany, wołając: „Kozacy, kozacy!” i twierdząc, że sam ich widział na oczy, pokazywał nawet chałupę, z której rzekomo wyglądał Kozak; w kompanii powstało poruszenie, Dąb z rewolwerem stanął za węglem jakiejś chałupy, plutony stanęły w pogotowiu, a z naszego plutonu wyznaczono patrol, do której należałem ja, Pachuta, Partyka i paru innych, w celu dokładnego spatrolowania chałup; Kozaków nie okazało się wcale, był to po prostu jakiś chłop-Poleszук brodaty, który wyjrzał z chałupy i Diduchowi wydał się Kozakiem. Diduch przez dwa lata wojny wyrósł i z chłopaka stał się młodzieńcem; stał się on dzieckiem wojny nie tylko w znaczeniu rycerskim, ale też, i to może zwłaszcza, w znaczeniu włóczęgostwa i bandytyzmu, jakie tułaczka wojenna w bardzo wielu żołnierzach wyrabia. Był już trochę

zdemoralizowany, gdy wstąpił do wojska po pobycie na robotach w Prusiech, a życie wojenne w linii jeszcze bardziej go w kierunku włóczęgostwa, próżniackich i rabunkowych instynktów zepsuło. Szczególnie jesienna partyzantka na Polesiu Wołyńskim w r. 1915 przyzwyczaiła go do bezkarnego rabunku. Nauczył się brać, co się da, następnie zaczął kraść. W jesieni ostatniej, gdyśmy byli w Baranowiczach, myszkował wieczorami po miasteczku, coś kradł po sklepikach i w prowianturze pruskiej, handlował cichaczem i spekulował z Żydami i, nie otrzymując żadnych pieniędzy z domu, bo dom jego jest pod inwazją rosyjską, a zresztą jest chłopcem ubogim, pieniędzy miał zawsze pełno. Ale pieniądze go się nie trzymały, przegrywał je w karty, wydawał dziennie po kilkanaście lub po kilkadziesiąt czasem marek na słodycze, na sardynki, a był zawsze niezwykle gościnny i koleżeński, karmił i poił innych, kto tylko chciał, ugaszczał bez liku swoich przyjaciół, jak Medyckich, Burczaka i innych. Co miał – tym się dzielił szeroko, pełną dłonią, nie umiając wyczuć, że tym się tylko sam zdradza i gotuje sobie na przyszłość pułapkę do oskarżeń i dowodów kradzieży. W Łomży robił to samo: robił „chap-chap”, jak się u nas mówiło. Był sprytny i nie pozbawiony chytrłości w swoich sztuczkach złodziejskich, ale naiwny w nietajeniu tego i szafowaniu przyjaciół. W Łomży złapano go raz na kradzieży cywilnej, ale to uszło cichaczem. Teraz, gdy zginął plecak Widelcowi i podejrzenie padło na niego, choć dowodów nie było, oddano go do rąk żandarmerii dla śledztwa, a niektórzy z przyjaciół jego, jak Burczak, którzy swego czasu korzystali z Diducha koleżeńskości i traktamentów, stali się głównymi narzędziami i świadkami jego oskarżenia. To jest jednak chłopiec złotego serca i doskonały kolega, a że jest złodziejem, to jest nim tak, jak każde ugłaskane zwierzątko, które, choć oswojone, nie ma kultury.

13 stycznia, rok 1917, sobota

Dziś rozpoczęto w naszej kompanii pierwsze ćwiczenia pruskie. Na razie były to rzeczy łatwe i elementarne: rozliczanie i podział na grupy, zachodzenie, ustawianie w kozły broni, pozycja na baczność, na ramię broń i do nogi broń.

Rano przez kilka godzin byłem zajęty robieniem porządków koło koszar, bo trafiłem do grupy wyznaczonej do robót, ponieważ pluton nasz jest służbowym, a w plutonie służbową jest nasza sekcja. Pracowaliśmy pod kierunkiem starszego żołnierza Janka Medyckiego, z łopatami i kilofem w ręku, wyrabując jakiś zamarzły ściek, aby się porządki dokoła koszar lepiej zaprezentowały generałowi niemieckiemu Bardowi, którego wizytacja była na godz. 12 zapowiedziana. Generał ten pełni jakąś funkcję inspektora wszystkich koszar i obozów legionowych w Królestwie Polskim. O godz. 12 wizytacja generała Barda się odbyła. Generał Bard w otoczeniu licznej asystencji wyższych oficerów naszych z Szeptyckim i Śmigłym na czele obchodził wszystkie koszary i ubikacje, zatrzymując się w poszczególnych izbach celem ich obejrzenia, ewentualnie zadając pytania lub z poszczególnymi żołnierzami rozmawiając. Myśmy stali ustawieni w dwurzędzie przy pryzkach, odpowiednio do naszych miejsc na nich. Będąc w naszej izbie i przechodząc wzdłuż naszego frontu, generał ujrzał mnie i zapewne tknięty moim poważnym wyglądem i wiekiem, tak się różniącym od ogółu młodocianych i dziecinnych postaci legionistów, zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy mówię po niemiecku, a następnie zadał mi cały szereg pytań osobistych: skąd jestem, jaki mój zawód cywilny, kiedy i jak się dostałem do Legionów, gdzie się kształciłem, czy mam rodzinę i z czego się moja rodzina teraz utrzymuje. Gdym mu powiedział, że jestem adwokatem, z Wilna, że przyjechałem przez Rumunię, aby do Legionów wstąpić, gdy jeszcze Wilno było w ręku rosyjskim, że kończyłem studia prawnicze w Petersburgu i *Ecole des Sciences Politiques* w Paryżu, że rodzina moja ma własne utrzymanie, gdyż jestem właścicielem ziemskim, generałowi zaimponował taki żołnierz

szeregowy w wojsku ochotniczym; na pożegnanie generał podał mi rękę. Tak, jestem pomimo wszelkie kwalifikacje pochodzenia, stanu i wykształcenia, prostym szeregowcem i sam nie widzę przed sobą żadnych perspektyw awansu w tym wojsku, by być czymś więcej. Na awanse liniowe nie bardzo liczyć mogę, bo wybitnych kwalifikacji liniowych nie mam, a na innych drogach służby wojskowej wszystko jest na wyższych, a nawet podoficerskich stanowiskach – pełne. Iluż to jednak porobiło się oficerami i pozapełniało wszystkie stanowiska zdobywając sobie miejsca łokciami, protekcją, pochlebstwem, staraniami i tysięcznymi środkami, a nie mając i setnej części tych kwalifikacji, jakie ja ewentualnie posiadam. Nie chodzi mi o zaszczyty i karierę w Legionach, ale przecież żal czasem, że się tak człowiek poniewiera, gdy już moment samej bezpośredniej walki, ten moment ideowo-manifestacyjny Legionów minął. Wszystko dokoła ma swoją wygodę i ma pewne mniej lub więcej odpowiednie dla siebie stanowiska – a ja nie. Ale ta skarga – to chwila słabości tylko; kto wie – może większą zasługę i może większą ocenę uznania mieć będę i mam za to, że się właśnie nie pcham; powoli wschodzi zasługa, ale trwalej od parweniuszostwa, pchającego się łokciami.

Spisywano dziś u nas austriackich poddanych z wyjątkiem tych, którzy nie mają 18 lat skończonych lub którzy zostali przy asenterunku austriackim, o ile do niego stawali, uznani za niezdolnych do służby i zwolnieni. Sporządzenie tego spisu dało pochoch do wniosków, że Austria chce przed zwolnieniem Legionów ze swej służby odwołać do swoich szeregów poddanych austriackich. Tendencje w tym kierunku nie są zresztą bezwzględnie wykluczone, a przynajmniej jako atut w ręku austriackim do wytargowania czegoś od Niemiec przy rezygnowaniu ze swych praw do Legionów i do własnych poddanych-legionistów. Zresztą w związku z tymi zastrzeżeniami, jakie rząd austriacki wysuwa obecnie w sprawie likwidacji Legionów przy ustąpieniu ich na rzecz armii polskiej, jak również w związku z ewentualnymi tendencjami politycznymi cesarza Karola, grawitującymi, jak się zdaje, ku wskrzeszeniu wielkich planów federacyjno-imperialistycznych nieboszczyka Franciszka-Ferdynanda, i wreszcie w związku z projektami wyodrębnienia Galicji – rzecz nie wydaje się jeszcze zupełnie wyraźna. Swoją drogą, sytuacja wojenna i przeto polityczna Austrii jest w tej chwili o tyle jeszcze słaba wobec Niemiec, że nie przypuszczam, aby Austria zdołała mocno przeciwstawić się Niemcom i plany ich skutecznie pokrzyżować. Ale Austrii żywotność i moc państwowa nie opiera się na samej tylko sile i zdatności jej wojskowej w tej wojnie; w międzynarodowych czynnikach europejskich i w skomplikowanym układzie ludów i narodów w południowej części Europy Środkowej – mieści się żywotność i uzasadnienie monarchii habsburskiej, która rolę ma jeszcze wielką do spełnienia i jest tak wewnątrz, jak na zewnątrz potrzebna. Austria wie o tym i może dużo jeszcze żądać, dużo budować na swoich siłach żywotnych i potrzebach układu międzynarodowego, które ją uzasadniają. Jeżeli słabą, względnie do Niemiec, jest jej czysto militarna powaga w tej wojnie, to nie słabą bynajmniej będzie jej powaga przy likwidacji wojny. Całkowicie więc bagatelizować tych targów i zagadnień, jakie dziś powstają w związku ze sprawą Legionów i samą nawet sprawą państwową polską, nie można. Bardzo prawdopodobnym jest, że Austria nie traci jeszcze nadziei, że akt 5 listopada w chwili likwidacji wojny weźmie w łeb i sprawa zostanie rozstrzygnięta w drodze przyłączenia Królestwa wraz z Galicją Zachodnią do monarchii habsburskiej jako sfederowana z Austrią jednostka państwowa. Za cenę ustąpienia Rosji Galicji Wschodniej ze Lwowem, Bukowiny i ewentualnie nawet Chełmszczyzny – kombinacja taka mogłaby ewentualnie zyskać oparcie nawet w czynnikach koalicji *contra* Niemcom. To są wszystkie rzeczy, które jeszcze w dużym stopniu od dalszych faktów wojny i stosunku sił po niej zależeć będą. Że takie prądy i widoki są – a są one nie tylko w Austrii, ale

nawet w pewnych czynnikach aktywistycznych polskich w Królestwie – to więcej niż pewne. Zagadnienie bynajmniej jeszcze proste nie jest.

14 stycznia, rok 1917, niedziela

Wracając jeszcze do kwestii, o której pisałem wczoraj, dodam, że ewentualność kombinacji z wycofaniem z Legionów poddanych austriackich łączy się z ewentualnością kombinacji wyodrębnienia Galicji. Mianowicie w związku z zapowiedzianym przez manifest listopadowy cesarza Franciszka-Józefa wyodrębnieniem prawno-państwowym Galicji powstała w pewnych kołach politycznych myśl o utworzeniu odrębnych galicyjskich formacji wojskowych, na wzór austriackich wojsk obrony krajowej i węgierskich honwedów. Specjalna galicyjska formacja wojskowa, galicyjska obrona krajowa, byłaby odpowiednikiem państwowego wyodrębnienia Galicji. Sprawa ta nie jest jeszcze bliska rozwiązania i na razie nie przedstawia się konkretnie, bo sama kwestia wyodrębnienia Galicji napotyka jeszcze w praktyce, jak wszystko w tej niesłychanie skomplikowanej Austrii, na bardzo wielkie trudności wykonania. Ale że o tym się myśli w pewnych politycznych sferach Galicji, a także w austrofiłskich politycznych kołach Królestwa, o tym wiem, bom o tym w Warszawie słyszał. Wytworzenie galicyjskiej krajowej formacji wojskowej byłoby też ewentualnie na rękę tym politycznym tendencjom, które nie wyrzekają się nadziei przyłączenia po wojnie Królestwa do monarchii habsburskiej dla utworzenia zeń w zespole z Galicją osobnej państwowej jednostki federacyjnej; elementy te traktują akt 5 listopada raczej za etap, rozpoczynający państwową formację polską i tworzący dla niej państwowy proceder, ale nie stanowiący ostatecznego wniosku. Galicyjskie wojsko obrony krajowej byłoby wojskiem przeważnie polskim, równoległym do wojska państwowego polskiego w Królestwie, tworzonego w myśl 5 listopada. Wiem, że pułkownik Sikorski myśli o takiej formacji i, o ile się rzeczy w tym kierunku określać zaczął, zamierza z rozwiązaniem Legionów nie wstępować do szeregów wojska polskiego państwowego, lecz wrócić do Galicji w specjalnym celu formowania tam obrony krajowej. Pozyskanie dla tej nowej ewentualnej formacji wojskowej polskiej kadrów legionowych spośród austriackich poddanych, którzy są w Legionach, byłoby dla tej obrony krajowej atutem wielkiej wagi, bo nie tylko zapełniłoby jej szeregi elementem podoficerskim i oficerskim wybitnej wartości bojowej, ale zapłodniłoby ją też żywą ideą narodową, z Legionów żywcem do niej przeniesioną. To są rzeczy na razie jeszcze niepewne, dość mgławicowe, ale kiełkujące w różnych kombinacjach i zabiegach. W galicyjskiej kuźnicy politycznej, w Wiedniu, w pewnych też sferach politycznych Królestwa akcja pewna się w tym kierunku toczy. Przypuszczam, że już nie zdoła ona wstrzymać faktu wcielenia całych Legionów *in corpore* do armii polskiej, do czego forsownie zmierzają Niemcy, ale liczyć się z tymi tendencjami, które jeszcze swoją rolę odegrać mogą – należy.

A teraz wracam do rozmowy mojej z Šaulyseem z dnia 29 grudnia w Wilnie, o której pod datą 10 bm. pisać zacząłem. Wspomniałem tam o moim artykule w „Widnokregu”. Šaulys, przeglądając komplet „Widnokregu”, natrafił na ten artykuł. Gdy przyszedł do niego, poprosił mnie o zostawienie mu tego numeru, w którym ów artykułik wydrukowany, ponieważ numer ten jest w komplecie w 2 egzemplarzach. Zgodziłem się na to, nie dostrzegając na razie pułapki, którą Šaulys w ten sposób zastawił na mnie; chciał on bowiem mieć mój artykuł jako dowód mojego rzekomo antykrajowego stanowiska, jak to sam później powiedział; artykuł ten ma być w jego ręku czymś w rodzaju *corpus delicti* oskarżania mnie przed Litwinami i twierdzenia, że nawet taki uobywatelniony w kierunku krajowym Polak, jak ja, uchodzący omalże nie za unikat, zmienił się za powiewem nacjonalistycznego wiatru obecnej chwili i stał się

rzecznikiem „wszechpolskich” tendencji, które jak morowe powietrze wichrem przeleciały nad nieszczęsną Litwą, zarażając wszystkich Polaków litewskich i grożąc klęsk krajowi. Za zbrodnię przeciwko stanowisku krajowemu,omalże nie za zdradę stanu uważa Šaulys to, że uznaje w Litwie istnienie odrębnej narodowości polskiej, równoległej do litewskiej i białoruskiej. Gdybym pozostał nadal w kraju, nie obawiałbym się takich zarzutów, bo czynami i działalnością moją wykazywałbym tak, jak to zawsze dotąd robiłem, że konsekwentnie stanowisko krajowe wyrażam i że powoduję się dobrem i względami wolności Litwy jako takiej, oczywiście tymi drogami, które w moim przekonaniu tym celom służą. Uznawanie trójnarodowości Litwy jako litewsko-polsko-białoruskiego kraju nie wyklucza bynajmniej stanowiska krajowego w polityce i w akcji tak wewnętrznej, jak zewnętrznej, dotyczącej Litwy. Uznawanie to nie jest bardziej ze stanowiskiem krajowym sprzeczne, niż uznawanie dwunnarodowości litewsko-białoruskiej kraju. Ale ponieważ w kraju na razie nie będę, a mój udział w Legionach, aczkolwiek nim także wyrażałem to, co dla Litwy za dobre uważałem w tej katastrofie światowej, może obecnie, zwłaszcza w warunkach tworzenia już państwowej armii polskiej oraz nieporozumień wewnętrznych w Litwie między Polakami litewskimi a Litwinami, dawać powód do różnych komentarzy i być uważany za akces do aneksyjnych polskich względem Litwy zakusów, przeto Šaulys może twierdzeniami swymi, popartymi pewną misterną dialektyką, podkopywać u Litwinów wiarę w moje krajowe aspiracje i gotować względem mnie uprzedzenia. Nieobecny, nie mogąc się sam bronić ani czynami własnymi o sobie świadczyć, zawsze jest w warunkach gorszych od oskarżyciela, działającego na miejscu. Triumf oskarżyciela wprawdzie będzie czasowy, ale niemniej zaszkodzi oskarżonemu. Mnie zaś bardzo chodzi o opinię moją u Litwinów po powrocie do kraju. Mogą oni uważać drogę moją za błędną, ale byleby nie skazili w opinii swojej moich motywów, mojego ideału.

15 stycznia, rok 1917, poniedziałek

Dziś z okazji uroczystego otwarcia Rady Stanu w Warszawie – święto, dzień u nas wolny od zajęć. Rano zaprowadzono nas w komplecie do kościoła na uroczyste nabożeństwo. Msza była celebrowana przez kapelana naszego pułku, kazanie okolicznościowe wygłosił z ambony kapelan II pułku. Na mszy obecna była cała przebywająca w Zambrowie starszyna brygady i obu pułków, prócz tego były szkoły miejscowe i dużo publiczności cywilnej. Miejscowy ksiądz proboszcz, posiadający widocznie jakąś wyższą godność kościelną w diecezji – jakiegoś kanonika lub prałata, z dużym uroczystym krzyżem na grubym łańcuchu na szyi – postać opasła, posiadająca tyleż brzucha na przedzie, ile tłuszczu na tyle i po bokach, monstrualnie korpulentna, jak wcielona antyteza głodowych czasów wojny – siedział w uroczystych szatach i w czarnym berecie na głowie w ławeczce osobnej w pobliżu ołtarza, demonstrując obecnością swoją urzędowy, to znaczy już państwowy charakter tej uroczystości. Ćwiczeń przez dzień cały myśmy nie mieli, ale za to mieli je przez kilka godzin podoficerowie wraz ze starszymi żołnierzami, przerabiając to, co w następnych najbliższych dniach my się przerabiać będziemy uczyli.

Wracam w dalszym ciągu do mojej wileńskiej rozmowy z Jerzym Šaulysem z d. 29 grudnia. Różnica punktu widzenia Šaulysa a tego, który ja w moim artykule w „Widnokregu” wyraziłem, polega na tym, że ja uznałem fakt istnienia Polaków w Litwie jako odrębnej narodowości w kraju, podczas gdy Šaulys istnienia ich nie uznaje i uznać nie chce. Fakt mieszanego składu narodowego Litwy może być porównany analogicznie do stosunków w Finlandii, ewentualnie w Szwajcarii; ze Szwajcarią analogia jest jednak o tyle mniej ścisła, że tam każdy odłam narodowy posiada mniej

więcej odrębne terytorium etniczne, dość ściśle odgraniczone i że wewnętrzne odgraniczenie pochodzenia, kultury narodowej i tego, co się do pojęcia odrębnej rasy zbliżyć może, jest wyraźne i nie budzące wątpliwości. Podobniejsze są stosunki nasze do stosunków szwedzko-fińskich w Finlandii. Šaulys natomiast, i nie on jeden przeprowadzają, a nawet narzucić chcą analogię do stosunków w Irlandii, gdzie, aczkolwiek większość mówi po angielsku i ulega angielskiej kulturze, jednak, bez względu na zatracenie mowy rodzimej, całość tworzy solidarny i jednolity naród irlandzki. Nie chodzi mi o to, co ja bym osobiście wolał i co bym uważała za lepsze i za szczęśliwsze dla Litwy. Z pewnością dla państwowych dążeń Litwy, dla jej indywidualizmu, dla zdobycia przez nią form i warunków wolnego rozwoju byłoby lepszym, gdyby stosunki narodowe ukształtowały się w niej na wzór Irlandii. Zagadnienia polityczne kształtowałyby się w niej i dla niej prościej, wyraziściej, mocniej, nie komplikując się tak, jak się komplikują obecnie na skutek jej różnonarodowości i ciążenia Polaków litewskich do Polski. Ale cóż zrobić, gdy tak nie jest. Historia w każdym kraju inaczej urabia wewnętrzny układ narodowy. Zależy to zupełnie od indywidualnych dziejów każdego poszczególnego z tych krajów, w których, jak w Litwie, Finlandii, Irlandii, Łotwie itp. krzyżowało się kilka różnych kultur i różnych etnicznych pierwiastków. Polityk nie może się liczyć wyłącznie z tym, czego pragnie. Ewentualnie, w okolicznościach normalnych, może oddziaływać na stosunki krajowe tak, aby usiłować kształtować je w kierunku, który uważa dla kraju za najlepszy, ale i do tego trzeba, aby w założeniu stosunków były pewne podstawy do takich tendencji, bo inaczej najsilniejsza wola polityka nic nie zdziała. W chwilach zaś przełomowych, katastrofalnych, jak obecna, tym bardziej należy się liczyć z faktami i tendencjami dojrzałymi, chcąc z tej chwili skorzystać i coś zbudować; niepodobna w takim momencie przeciwstawić się faktom i dopiero wytwarzać tendencje, obliczone na długą metę w warunkach normalnych, bo inaczej chwila przeminie i nic się nie zbuduje. Šaulys w swojej koncepcji uwzględnia fakt różnicy mowy, jaką się posługuje ludność w kraju, i uznaje pełne prawo do wolności mowy i wszystkich płynących stąd konsekwencji, jak równouprawnienie języków krajowych (w tej liczbie i polskiego) w urzędach, administracji, sądownictwie itd.; szkoły w języku polskim dla mówiących po polsku, ale polskiej narodowości, jako krajowej, nie uznaje za taką. Uważa, że są to i mogą być tylko Litwini, mówiący ewentualnie po polsku. W szkołach więc np. polskich w kraju nauczanie może się odbywać w języku polskim, ale w narodowym duchu tylko litewskim, nie zaś polskim. Rozwijając konsekwentnie tę zasadę, należałoby nie tylko Polaków litewskich, ale i Białorusinów, a przynajmniej Białorusinów z katolickiej Białej Rusi uznać w myśl narodowo-państwowej jedności Litwy za ludność narodowo litewską. Jednak względem Białorusinów Litwini ideologii Šaulysa nie stawiają tak kategorycznie żądania narodowości litewskiej. Dlaczego są pod tym względem tak kategoryczni wobec Polaków, zaprzeczając im elementarnego ludzkiego prawa wyboru i przynależności do tej lub innej narodowości? Niewątpliwie dlatego, że narodowości polskiej obawiają się specjalnie ze względu na niebezpieczeństwo jej narodowych dążeń polityczno-państwowych ku Polsce. Gdyby chodziło nie o polską narodowość, lecz o jakąś inną, nie obawialiby się, nie zaprzeczaliby prawa do wolności narodowego wyboru, godząc się z nią w ramach krajowych, jak się godzą z odrębnością Białorusinów.

16 stycznia, rok 1917, wtorek

Dziś ćwiczenia szły forsowniej, trzy godziny przed południem i dwie – po południu.

Były to już oczywiście ćwiczenia na modłę niemiecką.

Do pułku przybył dziś zastęp rekrutów, z których po kilku dano do kompanii, gdzie ich znów porozdzielano po plutonach. Są to młodzi chłopcy z Galicji, austriaccy poddani, przemyceni do Legionów, bo z Galicji wszelki werbunek jest formalnie zakazany. Przemycą się takich ochotników w ten sposób, że w legionowych komendach placu lub stacjach zbornych, istniejących jeszcze po miastach galicyjskich, ubiera się tych chłopców w mundur legjonowy i wysyła się ich z transportem żołnierzy, wracających ze szpitalów; zwykle wysyłało się ich do kadry, do Kozienic, później do Dębina. Obecnie, gdy kadra została zwinięta, wysyła się ich wprost do pułków. Razem z tymi Galicjanami przyjechało też kilku Królewaków, b. rosyjskich poddanych, którzy byli pobrani do trenów wojskowych austriackich za furmanów i zbiegli stamtąd do Legionów. Ci przemyceni rekruci wcielają się jeszcze do pułków legionowych i będą ćwiczyć z nami, bo nie mogą być oni jeszcze do świeżego zapasu rekruckiego, który przyjdzie już wkrótce, ale przyjdzie już do wojska polskiego jako takiego, wcieleni. Do naszego plutonu przydzielony został z tego zastępu dzisiejszego jeden, niejaki Bogumił Obst, młody chłopiec, rodem z Oświęcimia, na poły Czech, czyli „pepik”, jak u nas popularnie znienawidzonych Czechów nazywają; urodzony w Oświęcimiu i z pochodzenia Polak, Obst spędził długie lata swego krótkiego życia w Czechach, gdzie należał do Sokołów czeskich, po polsku mówi niewyraźnie, z czeska; co go do Legionów skłoniło – trudno zgadnąć; jest to chłopiec mało inteligentny, ale w musztrze pojętny, bo jako Sokół odbywał już ćwiczenia o charakterze wojskowym.

I znowu do rozmowy mojej z Šaulyse. Pojmuję intencje tych Litwinów, którzy nie chcą się pogodzić z faktem istnienia w kraju odrębnej narodowości polskiej i żądają, by Polacy litewscy nie tylko politycznie, terytorialnie byli Litwinami, tak jak Szwajcarami są i Niemcy, i Francuzi, i Włosi szwajcarscy, zachowując każdy swoją narodową odrębność, lecz żeby byli też Litwinami narodowo, zachowując prawo tylko do posługiwania się językiem polskim. Oczywiście żądania takie, jak wszelkie odmawianie komuś prawa, i to tak elementarnego, jak prawo do narodowości z własnego wyboru, przeczy wolności. Pojmuję je jednak. Płyne ono u jednych z nacjonalistycznych litewskich pobudek, wyrażając dążenie do zwiększenia litewskiego narodowego stanu posiadania, który jest tak szczupły oraz żywiąc nadzieję, że ci Litwini, mówiący dziś po polsku, po pewnym czasie, po kilku pokoleniach, w miarę wzrostu narodowej kultury litewskiej i siły żywiołu litewskiego w ewentualnym państwie litewskim, wrócą całkowicie i pod względem językowym na praojczyście łono litewszczyzny. U innych Litwinów płynie ono jednak nie tylko z tych pobudek nacjonalistycznych, lecz z troski istotnej o państwową przyszłość Litwy, której wszechpolskie ciężenia Polaków litewskich zagrażają, a ciężenie te, zrodzone na gruncie narodowym, przechodzą często, a przynajmniej miewają skłonność do przejścia i na grunt polityczny. Pojmuję, powiadam, intencje litewskie i, o ile chodzi o moje przekonania co do pożytku krajowego i pożytku sprawy ludowej w Litwie, nie byłbym przeciwny ich treści. Ale cóż stąd, gdy intencje te nie opierają się na żywotności faktów. Litwini twierdzą wprawdzie, że właśnie faktem jest tożsamość narodowa, a przede wszystkim etniczna tej części ludności krajowej, która mówi po polsku, z ogółem narodowym Litwinów. O ile chodzi zwłaszcza o masę ludową, mówiącą po polsku, względnie gwarą polsko-białoruską w promieniu Wilna i na wschodnich kresach językowych litewskich, to istotnie pochodzeniem ludność ta jest tożsama z litewską. I nie tylko pochodzeniem. Cała psychika, cały świat ducha i najgłębszej kultury ludowej, cała sfera etniczna tego ludu jest albo tożsama, albo prawie tożsama z rdzeniem litewskim. Polonizacja dotknęła przede wszystkim, a czasem wyłącznie tylko języka. W każdym razie, ludność ta jest dotąd psychicznie bliższa Litwinów, niż właściwych Polaków z Polski. Tylko warstwy najwyższe, jak szlachta ziemiańska, względnie inteligencja miejska – spolonizowały się

głębiej i mocniej się oderwały od narodowego tła krajowego, obcuja ściślej z narodową kulturą polską. Ale nawet szlachta litewska psychiką i charakterami różni się od Polaków właściwych i przedstawia typ odrębny, zachowujący głębokie pokrewieństwo z duszą litewską. O ile zaś chodzi o lud, to ani treść jego etnicznego stanu i jego psychiki, ani element własnej jego świadomości nie uprawniają do separowania go od Litwinów i zaliczania do narodowości polskiej. Lud ten w masie swojej na wsi uważa się tylko za katolicki i „tutejszy”, to znaczy nie ma narodowego uświadomienia ani polskiego, ani litewskiego. Tylko najnowsza agitacja wszechpolska inteligentów Polaków, przepojonych nacjonalizmem, usiłuje forsownie i sztucznie wytworzyć z tego materiału Polaków. Ale to jest tylko usiłowanie inteligenckich koncepcji, nie zaś realna prawda życia. Tak twierdzą ci, którzy, jak Šaulys, odmawiają uznania faktowi istnienia Polaków w Litwie jako odrębnej narodowości krajowej.

17 stycznia, rok 1917, środa

Wczoraj w rozkazie dziennym było oznajmione, że ci, którzy chcą się przenieść do żandarmerii polowej, mogą wnosić o to podania do Komendy Legionów, przy czym pierwszeństwo mają prawnicy. Na skutek tego, wbrew memu oczekiwaniu, zgłosił się cały szereg ochotników przeniesienia do żandarmerii i to spośród najinteligentniejszego i nawet, rzecz dziwna dla mnie, najporządniejszego elementu starych żołnierzy liniowych. Sporo się wprawdzie zgłosiło różnych rachunkowców, prowiantowców i kucharzy kompanijnych, co to już z natury rzeczy szukają wszelkich okazji jak największego oddalenia się od linii, jak nasz sierżant prowiantowy Znicz, jego zastępca Ślęzak, kompanijny podoficer rachunkowy kapral Stasiak, zresztą rzetelny wiarus, który był poprzednio żołnierzem liniowym i nie garował się nigdy, dalej taki kucharz Widelec itp. Ale znaleźli się i tacy zahartowani w linii dzielni wiarusi, jak sierżant Adam Nebelski z I plutonu, z naszego plutonu Wiktor Krzewski, jeden ze szlachetniejszych i dzielnych żołnierzy. Byli też i garusi, tacy jak Garbień z naszego plutonu, jak Mieszkowski z I plutonu i inni. Dziś stawali oni całym zastępem do raportu kompanijnego, meldując o zamiarze wniesienia podania o przeniesienie. Gdy szli do raportu, z kompanii płynęły ku nim gwizdania, naśladujące głosy kanarka, jak to u nas jest we zwyczaju w stosunku do żandarmów, których dla żółtych wyłogów kanarkami nazywają. Młot jednak, odbierając raport, zganił ich za zamiar przeniesienia się do żandarmerii i ucieczki z piechoty liniowej i zawiesił decyzję, radząc, aby się jeszcze namyślili. Że żołnierze liniowi, którzy wysłużyli długo w piechocie w Legionach, łowią chętnie okazję do przeniesienia się do innych oddziałów – to mię samo przez się nie dziwi i za to ich nie potępiam. Twardym czynem swoim stwierdzili oni aż nadto swoją moc poświęceń i złożyli bez zastrzeżeń najwyższą ofiarę na rzecz tego ideału, któremu służyć poszli. Zasługa ich jest taką, że nie pozwala kwestionować ich prawa do usunięcia się na przyszłość od tej najcięższej formy czynu i do pragnienia zapewnienia sobie lepszych nieco warunków, zwłaszcza gdy Legiony dzieło swe skończyły, a dziś jego ciąg dalszy ma podjąć państwowa armia polska. Niech maksimum ciężaru spada na nowych ludzi, na rekrutów, którzy przyjdą, wraz z garstką tych, którzy pozostaną w linii czy to dlatego, że się im z niej nigdzie wycofać nie udało, czy też dlatego, że sami jako z najlepszych najlepsi – bo są i tacy – woleli do ostatniego gestu ofiary zaprzysiąc wierność strasznej, krwawej i twardej, ale wielkiej i zaszczytnej Królowej Broni – piechocie liniowej. Wiele też poszczególnych czynników wpływa na chęć przeniesienia się z piechoty gdzie indziej. niesprawiedliwość nieraz i przygodność awansów, separowanie się coraz większe oficerów od ogółu żołnierskiego, stopniowe rugowanie ze stosunków wewnętrznych ideowego pierwiastka obywatelskiego przez mechanistyczny pierwiastek militarny, pewne rozgoryczenie z powodu niedoceny

zasługi i braku rychłej za nią nie tyle zapłaty, ile jej konsekwencji logicznej, przewlekane się wojny bez końca, wreszcie takie nawet szczegóły, jak złe pożywienie, przeciążenie robotą, brak wygód, upośledzenie liniowego żołnierza piechoty na każdym kroku z pozostawieniem mu li tylko idealnej wyższości, która wreszcie już sama za wszystko nie wystarcza. Nie to więc mię dziwi, że nawet pośród najlepszych wytrwałość chwiać się zaczyna, ale to dziwi, że gotowi są niektórzy z tych najszlachetniejszych wiarusów iść choćby do żandarmerii, byle gdzieś odejść. Wolą nawet żandarmerię, niż jakąś prowianturę, rachunkowość itp., bo z jednej strony zapewnia ona większą wygodę i swobodę ruchów, z drugiej – ma w sobie więcej elementu ryzyka i męskiego czynu. Niejeden z nich na rachunkowca, prowiantowca, treniarza, sanitariusza nawet, telefonistę itd. – pójść by się powstydził, a na żandarma nie wstydzi i czuje nawet gust, bo miałby tam żywsze i awanturnicze nieco wrażenia. W moim jednak pojęciu poniżej to wartość moralną tych ludzi, bo żandarmeria jest z natury swych funkcji rodzajem zajęcia nieszlachetnym i bardzo trudnym do utrzymania się na prostej linii obowiązkowości bez nadużyć samowoli i osobistych gorszych instynktów natury ludzkiej. Czy jednak uda się im przenieść do żandarmerii – to jeszcze niepewne, bo komendanci nasi – tak Młot, jak Dąb – są temu przeciwni i będą usiłovali powstrzymać ich.

18 stycznia, rok 1917, czwartek

Ćwiczenia postępują dalej i są wciąż bardzo forsowne. „Szwicujemy” jak „dzikie osły”, mówiąc gwarą legionową, której znaczenia trudno się nieraz nawet domyślić laikom. Przerabiamy teraz musztrę karabinową, a więc ładowanie i rozładowanie, celownik, bezpiecznik, gotuj broń i klękanie. Zwłaszcza to klękanie, wykonywane forsownie, jest męczące, tak że nogi nas wszystkich bołą. Po kilku godzinach tych ćwiczeń mięśnie powyżej kolan tak były zbolale i sztywne, że zwłaszcza schodzenie ze schodów było prawie niemożliwe; miało się nogi jak kłocze z drzewa.

Dziś doszedł nas tekst deklaracji, wydanej przez Radę Stanu. Jest w niej ustęp programowy o rozszerzeniu granic państwa polskiego na ziemie ciągnące ku Polsce i oderwane od Rosji. Oczywiście mowa tu o Litwie. Oczywiście każdy naród, dążący do bytu państwowego, nie zapomina o „przyległościach”, „ciągnących” do niego. Tylko że miara tych przyległości ciągnących jest u każdego zakrojona na skalę jego własnej wielkości. Wystawili w swoim czasie Litwini swój narodowy postulat „przyległości” w znanej formule Sejmu Litewskiego w Wilnie z r. 1905, pojmując pod przyległościami okolice w promieniu Wilna i powiaty lidzki, oszmiański oraz północne gub.

grodzińskiej, dziś rozszerzając to pojęcie i konkretyzując do całej Litwy katolickiej (etnograficznej oraz Rusi Litewskiej czyli Białej Rusi Zachodniej), a dziś wystawiają je też Polacy, pojmując pod nimi Litwę w stosunku do Polski. Są to rzeczy bardzo naturalne w politycznych tendencjach narodów. Od samej Litwy zależy, czy się przeciwstawić tym tendencjom czy też nadać im treść taką, która jednocześnie i dla niej maksimum praw i bytu państwowego by zastrzegła. Dużo mogłaby Litwa w tym kierunku w kontakcie z Polską zastrzec, gdyby tylko solidarnie i mocno określone stanowisko programowe zajęła. Inaczej, jeżeli tego nie zrobi, będzie wydana na łaskę i niełaskę losu, a jeżeli los ten ją skieruje do państwa polskiego, to dokona się to w postaci aneksyjnej, bo gdy Litwa sama nie upomni się o nic dla siebie, to Polska zrealizuje li tylko własne swoje względem niej aspiracje w najprostszej postaci przyłączenia.

Otrzymałem list od Falkiewicza z Warszawy, b. sierżanta I Brygady, obecnie członka redakcji CKN-owego „Rządu i Wojska” i współpracownika komisji wydawniczej P.O.W., który w imieniu Sławka prosi mię o przysłanie do ich archiwum rękopisów

moich artykułów, pisanych w październiku w Baranowiczach do niedosłego pisemka żołnierskiego „Głos Żołnierza”. Potrzebne to do archiwum jako pamiątka historyczna o tym niedoszłym pisemku, uśmierzonym, bo ujałowionym w zarodku przez akt 5 listopada, i jako dokument nastrojów i myśli żołnierskiej w I Brygadzie w ówczesnym ciężkim okresie przesilenia po dymisji Komendanta.

Przechodzę znowu do refleksji na tematy litewskie w związku z moim pobytem w Wilnie i w szczególności rozmową z Šaulysem. Nie przeczę, że twierdzenie tych Litwinów, co odmawiają uznania odrębnej narodowości polskiej w kraju, nie jest pozbawione całkowicie uzasadnienia faktycznego w stosunkach. To uzasadnienie, które streściłem pozawczoraj, ma niewątpliwie pewne oparcie w faktach. Ale jeżeli chodzi o fakty nie w znaczeniu li tylko spuścizny przeszłości, lecz żywych tendencji na przyszłość, które stopniowo wykiełkują z tych faktów pod wpływem różnych działających konkretnie czynników – to uzasadnienie to nie ma racji. Trzeba bowiem pamiętać, że fakty i stosunki mają zawsze dwa oblicza historyczne; jedno, które jest krystalizacją przeszłości, rzeczą dokonanego procesu, i drugie – które jest w stanie kiełkowania i wyraża się w tendencjach, w procesach, które dopiero zachodzą, dopiero są w stadium dokonywania się. Wolno się opierać na jednym lub na drugim, starać się o przeniesienie punktu ciężkości bądź do utrwalenia tego, co *status quo* w sobie zawiera, bądź do zaakcentowania tendencji. Jeżeli jednak między *status quo* historycznym a tendencją nowych procesów zachodzą zbyt radykalne rozbieżności i tendencja jest tak ścisła i tak uzasadniona w pewnych działających czynnikach dziejowych, że się jej powstrzymać nie da, choćby się nawet we własnym przeświadczeniu wołało zachowanie *status*, należy ją przyjąć za fakt i do niej zastosować polityczne wnioski i metody działania. Otóż taka właśnie rzecz zachodzi w tym wypadku. Bierna masa ludowa Litwy, która etnicznie tworzyła jeden krajowy rdzeń litewsko-polsko-białoruski – bez wyraźnego rozdziału narodowego na Litwinów, Polaków i Białorusinów (mówię tu zwłaszcza o Litwie katolickiej, to znaczy etnograficznej wraz z Rusią Litewską) – i której wyrazem była tzw. „tutejszość”, w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat, pod wpływem demokratyzacji społecznej, podnoszącej lud z roli biernej do roli czynnej w kraju, zaczęła się unaradawiać i unaradawiając różniczkować coraz wyraźniej na litewską, polską i białoruską. Gdyby Rzeczpospolita nie była upadła, cała ta masa mogła być polską państwowo i narodowo, mówiącą tylko różnymi językami, jak Francuzami są Bretończycy, Prowansalczykowie itd.; gdyby Litwa miała własną państwowość, cała ta masa mogłaby się stać litewską. W bezpańskiej jednak Litwie rozsegregowała się ona narodowo w różnych odrębnych kierunkach.

19 stycznia, rok 1917, piątek

Zaczynam się obawiać, czy się nie nabawiłem ruptury. Coś mi się w dolnej lewej okolicy brzucha, w pobliżu samego kroku, wydaje podejrzanym: jest tam coś, jakby lekkie ledwie dostrzegalne obrzęknięcie, coś jakby guzik, który przy naciskaniu palcami przez skórę usuwa się, a zwłaszcza przy kaszlaniu to się wyteża i powiększa. Może to jakiś mięsień albo gruczoł, ale możliwy też początek ruptury, która w obecnych okolicznościach, przy ciągłych forsownych ćwiczeniach, mogła się wytworzyć. Nie chcę się z tym jednak udawać do lekarza, bo chcę czekać na bieg wypadków w tworzeniu armii, który przesądzi i mój los także. Gdybym mógł być w drodze superrewizji całkiem zwolniony od wojska i następnie mógł się na stałe dostać do Wilna, wybrałbym prawdopodobnie tę drogę, uważając mój czyn wojenny za zakończony, ale wiem, że nawet po całkowitym zwolnieniu od wojska do Wilna na stałe Niemcy mnie nie puszczą. A zresztą całkowite zwolnienie formalne jest także raczej

bardzo trudne do osiągnięcia. Wobec tego wolę czekać normalnej ewolucji moich losów wojskowych przy tworzeniu się armii polskiej.

Słyszałem dziś, że w ostatnim numerze CKN-owego „Rządu i Wojska” jest artykuł czy notatka, omawiająca projekt utworzenia legionu litewskiego w wojsku polskim. Ciekaw jestem, o ile to jest konkretnie omawiane i czy rzeczywiście projekt taki, o którym w Wilnie słyszałem i który ma tam zwolenników, nabiera rzeczywiście ciała w praktycznych usiłowaniach. Rzecz ta wobec skomplikowanej sytuacji narodowościowej, jaka jest w Litwie i wobec pokrzyżowania się sprzecznych prądów krajowego programu politycznego – jest trudną do realizacji i trudną do orzeczenia, czy i w jakim stopniu oraz formie byłaby pożądana, bo może być w rozmaity sposób jako atut wykorzystana. Sądzę jednak, że skoro już będzie werbunek w Litwie do wojska polskiego i skoro będzie ruch rekrutów, to lepiej będzie dla idei państwowości litewskiej i dla nadania łączności Litwy z Polską formy związkowej, formy unii, aby się ten ruch wylał w kształty legionu litewskiego w wojsku polskim, niż aby był prostym wstępowaniem do szeregów polskich bez zastrzeżeń, co by miało charakter aneksyjnych pragnień wcielenie Litwy do Polski. Legion litewski byłby wprawdzie większym manifestacyjnym czynnikiem na rzecz łączności z Polską, byłby jaskrawym aktywizmem wyrazem i przeto bardziej by wiązał aktywistów Litwy z programem łączności, ale zato łączność tę na prawidłowszy i lepszy dla Litwy grunt by stawiał.

Wracam do rozmowy wileńskiej z Šaulyse. Zazaczyłem wczoraj, że ta bezbarwna pod względem narodowym krajowa „tutejszość” ludu, na której opierają Litwini w rodzaju Šaulysa twierdzenie o jednolitej litewskiej jego narodowości bez względu na różnice mowy, ta tutejszość coraz bardziej ustępuje na rzecz procesu unarodowienia, segregującego tę jednolitą dotychczas masę krajową na odrębne zespoły narodowe – litewski, polski i białoruski. Tutejszość jest w stanie rozkładu i chociaż dotąd nie ustała całkowicie, to jednak jest już tylko przeżytkiem. Przeżytek ten ma dla mnie swój urok szczególny, ma swoje piękno i swoją osobliwą barwę, ale już jej za fakt mocny i żywotny, na którym coś trwałego budować można, bodajże uważać niepodobna. Faktem, który dziś jest najżywotniejszy, jest ten proces unarodowienia. Objawy dawnej „tutejszości”, które do dziś jeszcze przechowały się w masie ludowej, są w niej jeszcze dość pospolite, do niedawna były jeszcze częste nawet w szlachcie ziemiańskiej, i to nawet w rodach wyższych.

Jeszcze za mojej pamięci był to fakt zwykły. Jeszcze do roku 1905 bardzo wiele rodzin ziemiańskich, całe mnóstwo znajomych i krewnych z naszej sfery towarzyskiej, choć językowo i kulturalnie były spolonizowane, nazywały siebie Litwinami i przeciwstawiały się Polakom. W naszej krajowej wyższej szlachcie ziemiańskiej przechowała się jeszcze do niedawna tradycja nie tylko państwowości litewskiej, ale i wewnętrznego podziału narodowego na Litwę i Ruś, na Litwinów i Rusinów. Moja Babka rodzona, babunia Zuzanna Tukałłowa, z domu Bohdanowiczówna, zmarła w r. 1909 w wieku lat osiemdziesięciu kilku, choć miała w rodzie głębokie tradycje udziału w walkach o niepodległość w myśl idei unii państwowej W. Xięstwa z Polską i pojęcia federacyjnej naszej Rzeczypospolitej i choć jej własny mąż, dziad Mieczysław Tukałło, ucierpiał w r. 1863 za powstanie, uważała się zawsze za Rusinkę i pamiętam, jak mnie, chłopcu kilkunastoletniemu, tłumaczyła, że my właściwie nie jesteśmy Polakami, jeno Rusinami i że Ojczyzną naszą jest Litwa, a tylko unia spaja Polskę i Litwę we wspólny dwoisty organizm. Już wtedy w młodszym pokoleniu były pewne prądy narodowe czysto polskie, które gorszyły się tym zaliczaniem siebie do Rusinów czy Litwinów i przeciwstawiały mu zasadę narodowości polskiej, tak że Babunia wobec tych hałaśliwych głosów trochę przycichła i tylko na osobności wtajemniczała nas w tradycje starych pokoleń o ruskiej narodowości naszej, szeroki jednak, nierozpolitykowany i

głęboko wrosły w krajowe tradycje ogół szlachecko-ziemiański przeważnie się za litewski, rzadziej za ruski uważał. Ciekawy szczegół: na łożu śmiertelnym Babunia Tukałowa, już na pół przytomna, mówiła tylko po białorusku, ewentualnie po francusku i ani słowa po polsku.

20 stycznia, rok 1917, sobota

Dziś ćwiczenia były tylko do południa. W dnie mroźne, których zima tegoroczna nie szczędzi, ćwiczenia odbywają się u nas teraz tylko częściowo na dziedzińcu, mianowicie w musztrze frontowej, w marszu i biegu, częściowo zaś, zwłaszcza w ćwiczeniach karabinami, odbywają się w izbie. Musztra pruska podoba mi się, wolę ją od austriackiej, charakterystyczną jej cechą jest prostota i zarazem szybkość ruchów. W musztrze austriackiej wszystko robi się na tempo, powolniej i miarowo, w pewnym formalizmie taktu. W pruskiej natomiast ruchy są przeważnie dowolniejsze, o wiele prostsze. Ostatnie pół godziny dzisiejszych przedpołudniowych ćwiczeń było; poświęcone odmierzaniu odległości na oko – na metry. Dotychczas, wzorem austriackim, odległości obliczano u nas na kroki, do czego żołnierze nasi są już wprawieni, teraz, przechodząc na wzór organizacji niemieckiej, będziemy liczyć na metry.

Po obiedzie zajęć już nie było, jedno generalne porządki w koszarach. I znowu wracam do tego, co nazywam w dzienniku moją rozmową z Šaulysem, chociaż jest to rzecz szersza, do której tylko asumpt dała mi moja z Šaulysem rozmowa. Muszę jednak temat ten omówić do końca, skoro go już tak obszernie potraktowałem. Miejsca mam dość, a temat dotyka samego rdzenia najistotniejszych zagadnień o Litwie.

Powiadam więc, że rok 1905 stał się punktem zwrotnym w rozkładzie tzw. „tutejszości” na Litwie, właściwie tej jedności narodowo-krajowej, która dotąd była dominującą pomimo różnic kultury i nawet języka. Mówiłem, że nawet w szlachcie ziemiańskiej, najbardziej spolonizowanej, elementy tej „tutejszości” narodowej do roku 1905 były jeszcze silne, chociaż tam krystalizowanie się narodowe polskie porobiło już wcześniej duże postępy. Brak państwowych lub choćby samorządnych form życia krajowego z jednej strony, z drugiej zaś – coraz bardziej rosnące, na skutek świeżej tradycji walk niepodległościowych oraz prześladowań rosyjskich polskość na Litwie, poczucie spójni z Polską, wraz z szerzeniem się idei nacjonalistycznych, powszechnym w całej Europie – odrywały młodsze pokolenie szlachty ziemiańskiej od „tutejszości” litewskiej, i unarodowiały je wyraźniej w kierunku polskim. Jednak ta litewskość – przyznawanie się do niej w przeciwstawieniu do polskość były jeszcze mocne, a w masie ludowej, mówiącej po polsku, powszechne w formie „tutejszości”. Początki rozkładu „tutejszości” sięgają właściwie głębiej, niż rok 1905. Inicjatywę w tym kierunku dali właśnie Litwini przez to, co się popularnie nazywa ruchem litewskim, a co jest odrodzeniem narodowym litewskim. Z biernej „tutejszej” masy krajowo-ludowej pierwsi się wyodrębnili i oderwali Litwini, to znaczy ta część ludu w zachodniej dzielnicy kraju, która mówiła po litewsku i zachowała w najczystszej formie kulturę etniczną litewską. Unarodowienie się ludu w gub. kowieńskiej i suwalskiej w kierunku litewskim wytworzyło od razu tendencje do politycznego odseparowania tej części kraju od całości W. Xięstwa Litewskiego. Odrodzenie narodowe litewskie, które się dokonało, wytworzyło zupełnie nową narodową formację, zgoła odrębną od dawnej jednolitej biernej „tutejszości” krajowej. Była to formacja narodowa o wyraźnym indywidualnym zabarwieniu, o dążeniach do twórczości w kulturze litewskiej, zbudowana na nowożytnych zasadach narodowości. Powstał demokratyczny naród litewski, indywidualnie odrębny od innych. Tym procesem, który był logiczny i dziejowo konieczny jako konsekwencja demokratyzacji społecznej i uobywatelniania

się ludu, który, stając się czynnym w rozwoju krajowym, realizował w pierwszym rządzie własną kulturę narodową, na wyraźnych swoich etnicznych pierwiastkach opartą – Litwini pierwsi zadali cios „tutejszości”, wnieśli elementy rozdziału do stosunków krajowych i stali się narzędziem prądów do politycznego w konsekwencji rozbicia jedności Wielkiego Xięstwa. Był to zupełnie naturalne i konieczne w dziejowej ewolucji takiego złożonego kraju, jak Litwa, pozbawionego własnej spójni państwowej. Dla unarodowionego chłopca litewskiego, cokolwiek by dziś mówili inteligenci litewscy, pojęcie Litwinów ograniczało się do mówiących po litewsku i w narodowo-etnicznych ramach litewszczyzny działających, a pojęcie Litwy nie rozciągało się na całość Wielkiego Xięstwa aż po mohylowskie i witebskie kresy, ale ograniczało się do ściślej określonych granic narodowego terytorium, ogarniającego zaludnienie Litwinów. Jakaś Mohylowszczyzna, a nawet Mińszczyzna – to dla niego Rosja, względnie Ruś. Toteż logicznym i koniecznym uzupełnieniem dokonanej litewskiej formacji narodowej było wystawienie polityczno-państwowego programu Litwy narodowej, czyli tzw. etnograficznej, wyodrębnionej z całości Wielk. Xięstwa, co też w r. 1905 Litwini wystawili.

21 stycznia, rok 1917, niedziela

Były dziś pogłoski o zajęciu Mitawy przez Moskali. Wątpię jednak, aby to było prawdą, bo trudno przypuścić, by taki fakt, jak stracenie stolicy Kurlandii, dał się w komunikatach i depeszach przemilczeć. Od dni 10 ustały, przynajmniej na razie, postępy ofensywy niemieckiej w Rumunii. Linia stanęła na dolnym Serecie mniej więcej do doliny Putny, skąd przecinając doliny Susity, Oitozu, Trotusu odchyła się skośnie do Bukowiny na Bystrycę. Moskale i Rumuni usiłują kontratakować na całej mniej więcej tej linii oraz w różnych innych punktach frontu i w szczególności na skrajnym północnym odcinku pod Rygą, gdzie istotnie osiągnęli pewien lokalny sukces, nie tak znaczny jednak, aby, jak się zdaje, mogli do pobliskiej Mitawy dotrzeć. Chciałbym jednak wierzyć, że ofensywa Mackensena nad Seretem na trwałe powstrzymana nie zostanie.

Kończę jeszcze o tej sprawie jedności czy też różności narodowej Litwy, którą od tylu dni na tle mojej wileńskiej rozmowy z Šaulyssem rozważam. Powtarzam – pierwsi Litwini przez dokonaną swoją formację narodową wnieśli do kraju elementy rozdziału. Oni też pierwsi sformułowali polityczny program, rozbijający całość i niepodzielność Wielkiego Xięstwa, żądając autonomii wyodrębnionej Litwy etnograficznej. Te polityczno-podziałowe usiłowania Litwinów napotkały w swoim czasie na opór Białorusinów, którzy występowali nadal w charakterze rzeczników jedności terytorialnej i politycznej W. Xięstwa. Białorusini, czując się za słabi i za mało narodowo skrystalizowani do wystawienia programu politycznego wyodrębnionej Białej Rusi, ratowali ideę politycznego separatyzmu Litwy pod sztandarem dawnej państwowości W. Xięstwa. Białorusini występowali też stale w charakterze rzeczników starej „tutejszości”, strzegąc jej jak źrenicy oka, bo się bali, że przeciwstawienie jej nowej zasady podziału narodowego, przez Litwinów stosowanej, nie wypadnie na ich białoruską korzyść, gdyż stopień uświadomienia białoruskiego jest dotąd zbyt słaby w masach, jeno skorzystają z niej ewentualnie Polacy. Toteż Białorusini energicznie zawsze protestowali przeciwko zaliczaniu mas ludowych mówiących po polsku do narodowości polskiej i przeciwko wszelkiej narodowo-polskiej akcji wśród nich, piętnując to jako rzecz antydemokratyczną i antykrajową, niemal jako zdradę stanu. Bo też istotnie na Białej Rusi i w ogóle na Litwie, poza właściwą etnograficzną unarodowioną jej połacią, „tutejszość” stara była jeszcze w masie ludowej faktem mocnym i rzeczywistym Litwinów, którzy sami dokonali owej formacji narodowej i

mieli wyższe poczucie współczesnego pojęcia narodowości, byli bardziej skłonni od Białorusinów do uznania faktu narodowości polskiej w kraju. To nie przeszkadzało jednak Białorusinom, że sami na gruncie własnej roboty narodowej szerzyli w masach swoich poczucie narodowości, odrębnej od „tutejszości” – indywidualnie białoruskiej, usiłując tworzyć swoją formację narodową na tych samych, co Litwini, zasadach i z pewnością też, po dokonaniu tej formacji, nie omieszkaliby, co z logiki rzeczy wynika, wystawić również polityczny program separatyzmu Białej Rusi. Litwini byliby się całkiem zgodzili na uznanie faktu różnonarodowości kraju zamiast dawnej „tutejszości”, gdyby nie to, że w swoim programie państwowym do Litwy włączyli także Wilno z przyległościami, na których właśnie mowa polska dominuje. W interesie spojenia tych przyległości z rdzeniem Litwy narodowej leżało to, aby narodowość polska się tam zbyt nie akcentowała i aby raczej trwał tam stary stan „tutejszości”. Toteż, u siebie stawiając kategorycznie zasadę indywidualizmu narodowego, na „przyległościach” usiłowali zachować byt, względnie tolerowali stan bezbarwnej i biernej „tutejszości”. Ale zasady mają swoją logikę. Niepodobna stosować do siebie jedną zasadę, odmawiając jej innym. Ci sami ją wezmą i do siebie zastosują, wysuwając z niej konsekwencje logiczne.

22 stycznia, rok 1917, poniedziałek

Dojrzało u nas od dłuższego czasu niezadowolenie z wikt, czyli tzw. menażu, który istotnie jest niewystarczający, zwłaszcza wobec forsownych nużących ćwiczeń, jakie ciągle mamy. Kawa gorzka rano i wieczór bez cukru, obiady „cienkie”, przeważnie bezmięsne, bardzo słabo okraszone tłuszczem, w ogóle brak tłuszczów, brak też dodatków do fasunku wieczornego; w Łomży w pierwszych czasach po przejściu naszym na wikt niemiecki, wieczorami w fasunku było prawie zawsze coś dodatkowego do chleba – pasztet, kiszka lub śledzie, względnie marmolada. Teraz to ustało: tylko chleb, bardzo kiepsko wypieczony, z mąki, gęsto uzupełnionej jakimiś domieszkami obcymi, bardzo rzadko marmolada, raz na pięć dni po dwa cygara i dwa papierosy – i nic więcej na fasunek. W ogóle ubóstwo pożywienia jako skutek rosnącej stale z biegiem wojny nędzy gospodarczej mocarstw centralnych i zwłaszcza Niemiec. Dla żołnierza jest to rzecz bardzo ciężka, nie mniej zresztą, niż dla ogółu ludności cywilnej. Żołnierz pracować musi wyczerpująco, a brak odżywiania nęka go ciągle i wpływa tak na fizyczny, jak na moralny stan jego. W dodatku żołnierz nasz czuje się pokrzywdzonym przez to, że przy gorszym wikcie niemieckim otrzymuje nadal żołd austriacki (w markach wprowadzie, ale podług normy austriackiej, wynoszącej w koronach 9 koron 60 halerzy na dekadę dla szeregowca, co podług stopy urzędowej wynosi w markach 2 marki 88 fenigów), chociaż żołd austriacki jest niższy od pruskiego. Żołnierz musi z tego żołdu dokupować minimum niezbędne, jak papierosy, marmoladę, która zastępuje mu brak cukru i jest jedynym, względnie najtańszym dodatkiem do chleba, wreszcie chleb razowy, o ile może. O korzystaniu z herbaciarni, o ile się nie ma dodatkowo własnych pieniędzy, żołnierz ani marzyć nie może. Przy szalonych cenach na wszystkie produkty spożywcze i przy stałym obniżaniu się kursu nawet marek, nie mówiąc już o koronach – żołnierz z żołdem nic prawie nie ma; właściwie dla palacza nie wystarczyłoby tego żołdu nawet na same papierosy na 10 dni; trzeba sobie od palenia ujmować, aby na marmoladę lub na chleb sobie czasem skąpo pozwolić. Smutna jest sytuacja. Poza tym słychać zawsze wśród żołnierzy, że Niemcy za braki zaprowiantowania w naturze – wypłacają żołnierzom dodatki pieniężne do żołdu i ewentualnie że dodatki te są i nam wypłacane; my ich jednak nie widzimy: to idą one na polepszenie kuchni żołnierskiej, czego żołnierze nie bardzo lubią, nie ufając sumienności prowiantowców i gospodarce kuchennej, to znów chodzą pogłoski, że

dotatki te idą na pokrycie jakichś długów, które oficerowie nasi w dawnej gospodarce na rzecz Austrii zaciągnęli na skutek przewyżki wydatków; żołnierzy pogłoski te nerwują i drażnią, bo już są wyczerpani i złym wiktym oraz nędzą żołdu rozgoryczeni, a tu jeszcze na nich ma się składać ciężar odpowiedzialności za różne jakieś błędy, a może i nadużycia dawnej gospodarki oficerów w imię „szczytnego” honoru, aby Legiony wyszły czysto, bez żadnej skazy długów, z rąk Austrii. A że stosunki oficerów z żołnierzami zepsuły się i nie są już tymi, jakimi były dawniej w Legionach, i że separatyzm stanowy oficerów rośnie i z tym się pogłębia rozdział i niechęć żołnierzy do oficerów, więc pogłoski takie tym bardziej ich drażnią. Może pogłoski te nie są prawdziwe, ale u żołnierzy grunt psychologiczny jest przygotowany do dawania im wiary. W tych okolicznościach przed kilku dniami zafrontowi wszystkich czterech plutonów naszej kompanii, Nebelski, Mozołowski, Piotrowski i Pinto-Grabacki, w imieniu poniekąd ogółu żołnierskiego stanęli do raportu ze skargą na zły wikt, aby zwrócić uwagę odpowiednich czynników. Z raportu kompanijnego skierowano ich do batalionowego, a stamtąd do pułkowego. Pułkownik, uprzedzając ich skargę, sam zarządził dziś raport zbiorowy przedstawicieli wszystkich dziewięciu batalionów w tej sprawie. Z plutonów pozbierano po kilku ludzi, tak że zebrała się gromada spora, którą ustawiono w czworobok na placu. Pułkownik miał przemowę, w której zaznaczył, że wie, iż stan jest zły, ale płynie to z politycznych na razie czynników, mianowicie Austria jeszcze się targuje w sprawie zrzeczenia się swych praw do Legionów i ustąpienia ich na rzecz armii polskiej, targi te trwają jeszcze, ale w zasadzie rzecz jest już przesądzona. Pułkownik prosi o cierpliwość jeszcze przez 2-3 tygodni, kiedy wreszcie rzecz zostanie załatwiona. Tyleśmy wycierpieli cięższych rzeczy, to jeszcze znieść należy. Tymczasem istotnie jest tak, że Austria wstrzymała nam już to wszystko, co od niej było lepszego, jak fasunki, ekwipunek itp., a Niemcy jeszcze, do czasu zakończenia tych targów wstrzymują także te dodatki, które zwykle oni na rzecz swojej armii dają. Bo gdy przejdziemy wreszcie na etat armii polskiej, to będziemy na całkowitym faktycznym etacie niemieckim, kredytowanym przez Niemcy państwu polskiemu.

Rozeszły się dziś pogłoski, że mamy (nasz pułk), po zakończeniu wyćwiczenia naszego, pozostać w Zambrowie, gdzie ma być ustalony jeden z czterech obozów rekruckich polskich i że w lutym przyjdzie tu 10 000 rekrutów, którzy mają być kompletowani częściowo z P.O.W. i częściowo z jakichś rosyjskich Polaków. Gdyby do każdego z obozów rekruckich dano po 10 000 rekrutów, byłaby i powstała dobra dywizja. Tak to zapowiadali Niemcy.

23 stycznia, rok 1917, wtorek

Nowe wprowadzono u nas urozmaicenie zajęć. Widocznie uważano tę ilość i rodzaje zajęć za niewystarczające dla nas jeszcze. Mianowicie zarządzono gimnastykę karabinami. Gimnastykę ranną miewaliśmy w Baranowiczach jeszcze, ale z nastaniem chłódów zaniechano jej, łudziliśmy się, że już na stałe. Ale tam mieliśmy przynajmniej mało ćwiczeń w porównaniu z tym, co mamy tutaj; ćwiczenia te same aż nadto starczyć mogą za gimnastykę. Od dłuższego czasu obserwowaliśmy już rankami w Zambrowie przez okno, jak plutony innych batalionów wychodziły na plac ćwiczeń i gimnastykowały tam z karabinami w rękę, wykonywając rozmaite ruchy i przeginania się miarowe. Cieszyliśmy się, że to nie nam wypadło. Słusznie jednak zauważył przed paru dniami Bieniak, że gdy nasi komendanci zobaczą, że inne oddziały to robią, to zaraz i do nas to zastosują. I stało się tak istotnie. Wczoraj zapoczątkowano ją u nas, a dziś ją już regularnie zarządzono od godz. 7.30 do 8 rano. Na domiar złego, oficerem służbowym w kompanii był u nas dzisiaj chorąży Łaszczyński, który przez to samo

kierował gimnastyką, a że się na tym nie zna, więc męczył nas ciężko, każąc nam trzymać na mrozie wyciągnięte ręce z karabinami w dłoni, póki sam rozwlekł i jękając się tłumaczył nam ruchy, które mamy wykonywać. Wiara była tak na niego za to „nakręcona”, że kilku chciało stawiać do raportu z zażaleniem.

Są pogłoski o tym, że wkrótce mają zacząć funkcjonować u nas szkoły oficerskie, podobno nawet po jednej na każdy batalion. Zdaje się jednak, że to nie będą na razie formalne szkoły oficerskie, po których ukończeniu kursu i zdaniu egzaminów następują nominacje oficerskie. Zdaje się, że to będą tymczasem tylko kursy przygotowawcze, wstępne cykle wykładów, dla pewnego przygotowania materiału na ewentualnych oficerów na przyszłość, słowem – żeby ludzi o pewnych kwalifikacjach już zawczasu wciągnąć w cykl odpowiednich studiów i zaprawić do roli aspirantów oficerskich.

Dziś kilku oficerów naszych oraz grono podoficerów z naszej kompanii, tych zwłaszcza, co najdłużej i najwierniej w kompanii naszej przeszli, spośród najstarszych służbą żołnierzy, jak Mozołowski, Gorgoń, Nebelski, Jurek Michalewski i kilku innych, pojechało do Łomży na ślub i wesele kapitana Dęba-Biernackiego, który jutro się żeni z panną Suchorzewską, Łomżanką rodem. Nie zostali oni formalnie przez Dęba zaproszeni, bo ślub ma być cichy w gronie rodziny, ale się wybrali sami, jako reprezentacja kompanii i jako wierni towarzysze broni swego ukochanego komendanta, którego imię, pełne zasług w krwawym czynie Legionów, łączy się najściślej z chwalebными dziejami I kompanii I baonu I pułku piechoty I Brygady Piłsudskiego. Związek małżeński ma być pobłogosławiony przez naszego zacnego kapelana pułkowego.

Korzystając z miejsca wolnego, znów przechodzę do dalszego ciągu mojego tematu litewskiego. Mówiłem, że tak Litwini, jak Białorusini, dokonywując sami u siebie swej formacji narodowej w duchu narodowości nowożytniej, głęboko odrębnej od starej „tutejszości” krajowej, w stosunku do Polaków na Litwie prawa tego im odmawiali. I jedni, i drudzy odmawiali właściwie dlatego, że pretendowali politycznie do tego terytorium, w którym właśnie mowa polska u ludu dominowała, ze stolicą Wilnem na czele, i dlatego także, że spodziewali się po dokonaniu własnej formacji narodowej wcielić i te także części ludu do siebie przez unarodowienie ich w kierunku bądź litewskim, bądź białoruskim. Różnica była ta, że jedni, Białorusini, mieli w ogóle słabsze poczucie nowożytniej istoty narodowości i bliżsi jeszcze byli starej „tutejszości”, pospolitej w białoruskiej części kraju, drudzy zaś, Litwini, stojący na wyższym poziomie unarodowienia, lepiej sami wyczuwali dążenia narodowe polskie i bez zaprzeczenia własnej logice nie bardzo mogli odmawiać Polakom tego prawa, toteż nie wszyscy i nie tak ostro się tym polskim narodowym zasadom przeciwstawiali. Życie jednak i ewolucja społeczno-polityczna, która przez zmiany w układzie stosunków wytwarza też zmiany w psychice ludzkiej, nie ustawały w swym działaniu, wbrew wszelkim tezom i uznawaniu lub nieuznawaniu ich procesów, i jak wytworzyło formację narodową litewską i zaczynało wytwarzać kielkującą białoruską, tak wytwarzało także formację polską w kraju, formację już narodową, przeciwstawiającą się starej „tutejszości”. I pod tym względem właśnie rok 1905 był rokiem zwrotnym. I nie sama tylko agitacja wśród mówiących po polsku, nie sama tylko akcja oświatowa polska, nie samo też stopniowe uświadamianie się kulturalne ludzi wpływało na to. Przyspieszało dojrzewanie tego procesu unarodowienia polskiego stanowisko Litwinów, którzy po r. 1905 jawnie na szerszą skalę do życia publicznego w kraju wystąpili i swoją akcję narodową na kresy wschodnie językowego obszaru litewskiego przenieśli, tam właśnie, gdzie ludność, jeszcze „tutejsza”, była językowo mieszana, litewsko-polska. Usiłowania litewskie częściowo się tam powodziły, częściowo zaś wywoływały odruch, który przyczyniał się do narodowej krystalizacji polskiej. Łamiąc

„tutejszość” na rzecz unarodowienia litewskiego, Litwini stawali się w pewnej mierze sami narzędziem polonizacji także, bo część ludności, przeciwstawiając się narodowo Litwinom, stawiała się narodowo polską. Na ruinach „tutejszości” wyrastała nie tylko litewska, ale i polska narodowość.

24 stycznia, rok 1917, środa

Otrzymałem dziś listek od Maryńki, pierwszy po moim wyjeździe z Wilna. Szedł krótko, bo na stemplu miał datę wysłania z Wilna 20 stycznia. Ucieszyłem się, bo niewiele liczyłem na tę korespondencję pocztową między nami wobec tego, że w ostatnich czasach w jesieni listy nasze między Wilnem a pułkiem szły po miesiącu, a nawet dłużej. Nic tam osobliwego u Maryńki się nie stało. Maryńka tęskni za mną, dzieci są zdrowe, Stefusia, z którym o kłopotach i ciężkich troskach Maryńki w dzienniku nie pisałem, Maryńka po Wielkiejnocy zamierza oddać do Kowaliszek pod kierunek Zysia Komorowskiego na cały rok następny. Służąca Anuśka bawi teraz na wsi w Bohdaniszkach, dokąd ją Maryńka na urlop i zarazem w sprawach gospodarczych wysłała, zwłaszcza po nasiona do dzierżawionych przez Maryńkę ogrodów w Wilnie. Maryńce udało się uzyskać od Niemców pozwolenie na sprowadzenie do Wilna nasion. Maryńka miała też świeże wieści z Bohdaniszek nienajlepsze: Papa miał jakiś zatarg z komendantem niemieckim, kwaterującym w Bohdaniszkach, tak że Elizka Komorowska musiała przyjeżdżać, aby rzecz załagodzić, bo groziło to ciężkimi skutkami, jakimi – Maryńka nie pisze, ale zapewne ewentualnością odebrania Papie zarządu Bohdaniszek i oddania ich w zarząd niemiecki. Maryńka powiada, że mimo załagodzenia zatargu Papa nie chce rezygnować z jakichś tam pretensji czy zarzutów, nie rozumiejąc niebezpieczeństwa, i że dobrze byłoby, abym ja, jako wojskowy, mógł się Niemcom w Bohdaniszkach pokazać, co zawsze dobre robi wrażenie na Niemców, ceniących Legiony i współudział ochotniczy w tej wojnie przeciwko Rosji. Ba, gdybyż to było można! Cywile nie rozumieją twardych praw wojskowych i trudności, jakie ma żołnierz dla wyjazdów, nawet gdyby go jakaś istotna potrzeba powoływała.

Dziś mieliśmy ćwiczenia osobliwe nowego rodzaju – mianowicie: branie przeszkód. Z tyłu za drugim rzędem zabudowań koszarowych na podłużnym placu osobnym skonstruowane były różne przeszkody polowe, z którymi żołnierz w marszu czy bitwie może się spotykać i które musi umieć sforsować, to znaczy przejść przez nie. Przeszkód tych było 8: 1) rów do skakania na szerokość (skok z biegiem rozpędowym, przed rowem wzniesienie), 2) kroki do skakania na wysokość (skok z biegiem rozpędowym), 3) rów strzelecki głęboki z wysokim przedpiersiem do zeskakiwania prostopadle w dół (bez rozpędu), 4) kładki z belek okrągłych nad głęboką jamą, symulująca wodę lub jakąś rozpadlinę w ziemi, do ostrożnego przechodzenia przez nie, 5) bariera, względnie płot niewysoki do przełazenia przezeń, 6) bariera, względnie płot tak wysoki, że do przelezenia jest możliwy tylko z pomocą drugiego człowieka, 7) dziury, względnie otwory w jakiejś przeszkodzie – do przecięnięcia się przez nie całym korpusem, głową i ramionami wprzód, 8) gęsto przeplatane druty do przepętlania pomiędzy nimi.

Kompania, ustawiona podług wzrostu, była podzielona na grupy, które czwórkami szły na przeszkody, brały je i znów wracały wstecz, aby po doczekaniu się kolejki znowu ruszać na to samo. Zresztą były to ćwiczenia zajmujące, przyjemniejsze od jakiejś np. gimnastyki z karabinami.

W ostatnich paru dniach tak się zdarzyło, że w nieobecności Kozickiego, przy ćwiczeniach w musztrze formalnej nasza grupa dostawała się podporucznikowi Krasickiemu, który pedanterią swoją i jakimś szczególnym popisywaniem się w bezwzględnej wymagalności oraz nieprzyjemnym zwyczajem łajania, chcąc niby to naśladować rubasznosc żołnierską, używającą wyrażen gwary koszarowej, jest na

ćwiczeniach nieznośny. Gdybyż przynajmniej Krasicki miał techniczną w ćwiczeniach umiejętność, jak ma Kozicki, który wymaga i umie ćwiczyć, a nie jest przykry, ale Krasicki nie ma umiejętności, a ma manierę przesadną i pretensje. Takie epitety, jak „łaferma” itp., ciągle mu się z ust sypią, a dziś, drepcząc za naszą maszerującą grupą, gdy mu się coś nie spodobało, krzyczał za nami: „Łafermy kanciaste, sobacze syny!”. Doprawdy, czyż za takie traktowanie żołnierzy nie należy się stanąć do raportu z zażaleniem? Czy to ma być pedagogiczne względem żołnierzy? Taką metodą wymyślania ani się na żołnierza wpływu nie pozyszcze, ani się go nauczy czegoś, ani się szacunek jego mieć będzie. Ale doprawdy człowiek już na to macha ręką, bo gdyby z każdej takiej rzeczy chciał wyciągać konsekwencje, musiałby niemal co dzień na kogoś z jakimś zażaleniem za coś stawać. Po prostu się nie chce tego. Niech ich tam! Więcej też w tym głupoty i niewyrobień, a zwłaszcza małpiej maniery u naszych oficerów, niż złej woli.

Dziś już naprawdę, choć jest krótko miejsca, kończę na mój temat litewski, rozciągnięty z wątku mojej wileńskiej rozmowy z Šaulysiem z d. 29 grudnia. Faktem jest dzisiaj na Litwie, że jednolita krajowa „tutejszość” ludu rozpada się na odrębne indywidualne formacje narodowe i że początek temu procesowi dali swego czasu Litwini, faktem też jest, że z ludu mówiącego po polsku zaczyna się już wykryształizowywać w kraju świadoma i czynna narodowość polska jako jedna z krajowych, równoległe do litewskiej i białoruskiej, aczkolwiek bez żadnego porównania mniej liczna, a ogniskująca się w Wilnie i w jego promieniu, i faktem jest, że ten proces postępuje szybko, zwłaszcza obecnie w dobie okupacji, po ustąpieniu Moskali. I dziś powstrzymać konsekwencji tego procesu przez zaprzeczenie ich słuszności – nie da się, chyba że polityczne warunki kraju ułożyłyby się jakoś szczególnie. Należy więc, wychodząc ze stanowiska krajowego, przyjąć fakty za takie, jakimi one są i na nich program krajowy budować. To znaczy konkretnie – pogodzić się z faktem różnonarodowości Litwy i szukać dróg współżycia pod wspólnym polityczno-państwowym dachem kraju. Trzeba tylko żądać i tak układać tendencje poszczególnych narodowych jednostek kraju, zwłaszcza zaś Polaków litewskich, żeby nie szkodziły one całości krajowego dachu, który kryje wszystkich. Trzeba pierwiastek obywatelstwa krajowego wśród Polaków wzmacniać, ale nie zaprzeczać ich praw do bytu, bo tą drogą ich się jeno od kraju odepchnie i pójdzie się na rękę państwowo-politycznym wszechpolskim tendencjom. Kraj ten jest całością mieszaną, złożoną, która wymaga skonsolidowanej politycznej struktury, zastosowanej do jego pstrej, ale w pstrokacizmie tej jednak logicznej i harmonijnej indywidualności. Przedstawiłem to Šaulysowi, ale go przekonać nie mogłem, bo chyba on gwałtem narzuca Litwie analogię do Irlandji, mówiącej różnymi językami, a jednak narodowo jednolitej. Šaulys poszedł bardzo daleko na prawo przez rok ostatni, a z natury jest uparty.

25 stycznia, rok 1917, czwartek

Dzisiaj w rozkazie wieczornym ogłoszono kilka nowych nominacji pułkowych na podoficerów w naszej kompanii, czego już dawno, bo coś od sierpnia-września nie było. Mianowani zostali młodszymi sierżantami: nasz sekcyjny kapral Burczak i podoficer rachunkowy naszej kompanii kapral Stasiak, popularnie zwany Jaśkiem, kapralami zaś mianowani starsi żołnierze: Grzyb z naszego plutonu, Turski z IV plutonu i Ślęzak, który przez dłuższy czas pełnił funkcje podoficera prowiantowego w kompanii. Kompletowano dziś u nas w kompanii spis wyznaczonych do szkoły oficerskiej, za podstawę wzięto listę, ułożoną jeszcze w Baranowiczach przez porucznika Kruka-Grzybowskiego i dopisano do niej nazwiska tych, którzy odtąd przybyli lub wrócili do kompanii i posiadają kwalifikacje ogólnowykształceniowe na oficerów. O każdym z

wyznaczonych do tej szkoły notowano dziś szczegóły osobiste, dotyczące wieku, cenzusu wykształceniowego, daty wstąpienia do Legionów i ilości miesięcy służby w linii. Ta ostatnia rubryka będzie grała zapewne nie małą rolę przy ewentualnym kwalifikowaniu do nominacji. Ja się pod tym względem nie mogłem zbyt okazać, bo gdy ogromna większość tych „aspirantów” oficerskich w kompanii liczy po kilkanaście, a nieraz po dwadzieścia kilka miesięcy w polu, ja wykazałem się tylko czterema miesiącami, licząc do Łomży, zresztą zostałem trochę przez to skrzywdzony, bo większość innych liczyła ryczałtem cały czas pobytu w pułku, a więc włącznie z Łomżą i Zambrowem, za czas służby w polu, podczas gdy ja policzyłem bez Łomży i Zambrowa. W rozkazie wieczornym ogłoszono już dziś o sformowaniu szkoły oficerskiej, nazwanej niższą, która od jutra ma zacząć funkcjonować. Ogółem z naszej kompanii jest do niej wyznaczonych coś koło 60 żołnierzy i podoficerów. Z naszego plutonu są: Burczak, Mozołowski, Krokus, Oblak, Papiz, Garbień, Zając, Krzewski, Peszkowski, ja.

Przed kilku dniami świerzbiała mię dłoń lewa, co u mnie, jak to już po wielekroć doświadczyłem, choć to się dziwnym przesądem wydaje, jest zawsze nieomylną oznaką otrzymania pieniędzy. Zachodziłem w głowę, skąd to mogą być pieniądze i jakie, bo się ich znikąd nie spodziewałem i nie mogłem zgoła przewidzieć, kto by mi je mógł teraz przysłać. Czyżby tym razem świerz b lewej dłoni, ten omen niechybny, zawiódł? Tymczasem dzisiaj, gdym po obiedzie siedział w plutonie, przychodzi jakiś żołnierz z poczty naszej, zapytując o Rzymskiego, a gdym się odezwał, powiada, że przyszły dla mnie pieniądze i są na poczcie do odebrania – 200 marek. Taka suma naraz? Poszedłem natychmiast na pocztę, która w tym samym gmachu, w którym mieszkamy, się mieści; po drodze wątpilem, czym dobrze usłyszał sumę i czy to nie jest 20 marek, bo w tych czasach 200-markowe zasiłki są osobliwością zgoła niezwykłą.

Tymczasem okazało się, że tak jest w istocie i że pieniądze, i to wraz z listem, przysyła mi Papa z Bohdaniszek za pośrednictwem niemieckiego Kreishauptmanna z Rakiszek. Papa się już dowiedział od Maryńki, że byłem w Wilnie, że zmizerniałem bardzo i podupałem na zdrowiu oraz że mi pieniędzy brak i poruszony tym bo, mię przecież kocha serdecznie, przysyła mi zasiłek, który swoją drogą jest mi bardzo na rękę.

Załączony list Papy, przemycony pod pieczęcią urzędową niemieckiego Kreishauptmanna, pisany jest po niemiecku, ale niemniej dla mnie miły jako pochodzący od Papy. Papa pisze serdecznie i zaleca mi ze względu na zdrowie wycofać się ze służby wojskowej w drodze „dymisji”. Cywilom się zdaje, że to tak jest możliwe. Pieniądze te są mi oczywiście bardzo na rękę. Dzięki Maryńce kochanej, nie jestem całkiem goły, bo podczas mojego pobytu w Wilnie, gdy się dowiedziała od doktora o złym stanie mego zdrowia i wyczerpaniu mego organizmu, postanowiła nie wypuścić mię bez pieniędzy, abym miał coś na dokupienie sobie do jedzenia co dzień i nie potrzebował przymierać głodem. A choć sama Maryńka nie ma dużych zasobów pieniężnych i ledwie sama koniec z końcem wiąże, oszczędzając i różnymi gospodarczymi przedsięwzięciami sztukując braki, jednak postanowiła 100 rubli dla mnie skądś znaleźć i dzięki swej energii znalazła. A w tych czasach dostać 100 rubli – to nie bagatela. Ale znalazł się poczciwy Zygmunt Nagrodzki, do którego się Maryńka zwróciła i który z całą serdecznością pożyczył na ten cel 100 rubli. Wyjechałem więc z Wilna sownie, jak na obecne okoliczności, we flotę zaopatrzoną, ale choć 100 rubli teraz – to rzadki i duży pieniądź w naszych stosunkach i finansach żołnierskich, jednak tak wszystko kosztuje, że pieniądze płyną z rąk jak woda. Za rubla w herbaciarni tyle zaledwie się zje, co w dawnych czasach kosztowałoby może ze 30 kopiejek. Co dzień coś sobie dojadalem wieczorem w Zambrowie, a choć było to wszystko skromne i na żadne zbytki sobie nie pozwalałem, to jednak ta 100-rublowka topniała jak lód w słońcu

letnim i już się ku końcowi miała. 200 marek Papy to dopływ bardzo poważny w mojej kieszeni.

26 stycznia, rok 1917, piątek

Dziś zaczęła funkcjonować nasza tzw. niższa szkoła oficerska. Jak pisałem, nie jest to właściwa formalna szkoła oficerska, jeno mniej więcej usystematyzowany cykl wykładów przygotowawczych dla tych, którzy mogą się stać aspirantami na przyszłych oficerów armii polskiej i spośród których w pewnych warunkach mogą być tworzone kadry, czyli tzw. w naszej popularnej gwarze żołnierskiej „zarybek” oficerski. Szkoła nasza jest szkołą batalionową. Czy w innych batalionach potworzono także szkoły – nie wiem, zdaje się, że tak, choć chyba inni są w nich prelegenci, gdyż godziny od 4-tej do 6-tej są bodaj jedynymi, jakie przy istniejących forsownych ćwiczeniach mogą być na wykłady zużytkowane. Nasza szkoła batalionowa funkcjonuje w dwóch salach równolegle; w jednej sali uczniowie I kompanii i karabinów maszynowych, w drugiej – II i III kompanii. Wykłady są po zakończeniu ćwiczeń dziennych, od godz. 4 do 6. Każdy prelegent wykłada kolejno przez dwie godziny, po godzinie to samo w każdej z dwóch sal. Dziś mieliśmy inauguracyjny wykład Śmigłego, który wykładać ma taktykę, i wykład podporucznika Krasickiego o musztrze, jej zasadach i jej wychowawczym znaczeniu dla żołnierzy w kształceniu armii. Pułkownik Śmigły wykłada ładnie, treściwie i bardzo przejrzyście. Gdyby nie to, że się jest zmęczonym całodziennymi ćwiczeniami i że na sali wykładowej panuje lodowata temperatura, to wykłady te byłyby bardzo przyjemne bez względu na to, czy mają one charakter formalnej szkoły, czy nie. Krasicki także wykłada nieźle, lepiej o wiele, niż się można było spodziewać po jego baranowickich i łomżyńskich tzw. „wykładach” na temat regulaminu wewnętrznego. Krasicki się starannie do tych wykładów przygotował i w każdym razie pracowicie się do nich zabrał.

Dziś dokonano u nas wreszcie nowej podziałowej formacji kompanii, której już od dawna spodziewaliśmy się. Jest to formacja, wzorowana ściśle na niemieckim wojsku. Chociaż i w austriackim wojsku, na którym się dotychczas u nas w formacjach wzorowano, właściwym pierwszym pododdziałem jest dopiero kompania, jednak tam pluton jest bądź co bądź pewną jednostką samodzielną i stałą. U Niemców jest inaczej. Tam kompania cała ustawia się podług wzrostu jako jednostka, następnie wydzielają się tzw. „Korporalschafty” czyli kapralstwa, ogarniające normalnie dwie tzw. grupy, z których każda ma po cztery rotę, czyli dwie czwórki, tj. ósemkę; kapralstwo więc liczy 16 ludzi. Parę kapralstw tworzy pluton, ale pluton jest właściwie jednostką tylko dla brania fasunku, choć i pod tym względem jest słabo zindywidualizowanym, bo jak dawniej u nas dla fasunku jednostką była w plutonie sekcja, tak teraz jest nią w plutonie kapralstwo, a w kapralstwie jest ściślejszy pododdział – grupa. Sądzę, że jednak całkowicie pluton nie straci u nas znaczenia, bo każdy pluton ma swego komendanta oficera, a przez to samo w praktyce nie przestanie być pewną jednostką odrębną, czy to w taktycznych zadaniach walki, czy w ćwiczeniach. Jedność oficera z konieczności utrzyma jedność oddziału plutonowego. Czy jest pod tym względem to samo u Niemców – nie wiem. Ale przede wszystkim najważniejszą u nas zmianą jest nie tyle zmiana w tym, że rola plutonów się zmienia, znikają dawne sekcje i tworzą się nowe pododdziały w postaci kapralstw i grup, ile zwłaszcza ten fakt, że ustalony dawny podział ludzi całkowicie upada i nowy podział robi się podług wzrostu. Dawno już spodziewaliśmy się tego, w innych kompaniach już to było zrobione, u nas wreszcie na stałe dokonano tego przeformowania dziś po obiedzie. Dawne nasze plutony, do których składu wszyscy się już przystosowali, przestały od dziś istnieć. Całość kompanii, ustawiona ściśle podług wzrostu w dwurząd (z wyłączeniem podoficerskich

szarż, tj. sierżantów i kaprali, ustawionych osobno podług starszeństwa szarż i rang), rozdzielono przede wszystkim na kapralstwa, ogarniające dwie czterorotowe grupy, czyli po 16 ludzi: kapralstw takich wypadło u nas 6; dwa pierwsze kapralstwa utworzyły pluton I, trzecie i czwarte – pluton II, piąte i szóste – pluton III. Plutonów więc mamy teraz trzy zamiast dotychczasowych czterech. Pluton I objął podporucznik Kozicki-Stawiński jako najstarszy rangą wśród oficerów kompanijnych, niższych od komendanta kompanii, pluton II objął podporucznik Krasicki, pluton III – podporucznik Izaak Nowachowicz (Karaita), zastępca komendanta w I plutonie – podporucznik Werner, w II – chorąży Łaszczyński, w III – sierżant Wiatr. Podoficerowie podług starszeństwa szarż i rang obejmują wzorem niemieckim kolejno funkcje komendantów: I kapralstwa w I plutonie, następnie I kapralstwa w II plutonie, czyli III kapralstwa w numeracji porządkowej, następnie V kapralstwa, czyli pierwszego w III plutonie, potem idą funkcje komendantów drugich kapralstw w każdym plutonie, funkcje ich zastępców, następnie funkcje komendantów drugiej grupy w każdym kapralstwie oraz ich zastępców (komendant I kapralstwa w plutonie jest zarazem komendantem I grupy w swoim kapralstwie, względnie w nieobecności oficera – komendantem całego plutonu).

27 stycznia, rok 1917, sobota

Ja, jako należący do najwyższych wzrostem w kompanii, trafiłem naturalnie do I plutonu, a w I plutonie do I kapralstwa, a w I kapralstwie do I grupy. Pozornie więc, z brzmienia, przynależność moja obecna jest klasyczną: jestem żołnierzem I grupy I kapralstwa I plutonu I kompanii I baonu I pułku piechoty I Brygady Legionów Polskich. Wszystko od dołu do góry jest pierwszym, przynajmniej łatwe do spamiętania i łatwy jestem do znalezienia w Legionach Polskich. Pomimo to nie jestem z tej zmiany zadowolony; człowiek się już przywiązał do swego plutonu i do swoich towarzyszy w plutonie, teraz wszystko się w kompanii pokiełbało. Poza tym, nasz dawny pluton II był szczególnie „morowy” i sympatyczny w doborze ludzi. O obecnym naszym plutonie czy kapralstwie powiedzieć tego nie mogę, jest to pstra mieszanina ludzi, których łączy tylko wzrost wysoki. W naszej I grupie I kapralstwa, grupie wielkoludów, jest nas co prawda trzech z b. II plutonu, bo prócz mnie są tu jeszcze Jaśkiewicz i Obst, ale obaj oni byli bardzo świeżymi przybyszami w plutonie, jeden, przydzielony z batalionowej menaży oficerskiej, drugi – rekrut; cały skład osobisty naszej I grupy wielkoludów jest taki: komendantem jest sierżant Krzymowski, zastępcą jego sierżant Znicz, dalej starsi żołnierze Mrozowski, Garbień (zapomniałem, że Garbień także jest z naszego byłego plutonu, ale to jedna z najmniej sympatycznych postaci) i Jaśkiewicz, szeregowcy Mieszkowski, Obst, Pokosz, Pająk i ja. Poza tym, do korporacji, czyli kapralstwa naszego jako grupa II należą: sierżant Kaliszczak, (komendant grupy), kapral Ślęzak (jego zastępca), szeregowcy Krzewski, Chudzik, Marek, Kluss, Lipiński, Omiotkiewicz; z nich jeden Krzewski z naszego dawnego plutonu. Nazwa „kapralstwa” nie jest dotąd u nas ustalona, jedni nazywają je „kapralstwem”, tłumacząc dosłownie z niemieckiego „Korporalschaft”, inni używają terminu „korporacja”, najodpowiedniejszego moim zdaniem, inni jeszcze – „towarzystwo”. Nie wiadomo, który z tych terminów ustali się jako urzędowa techniczna nazwa tej jednostki. Będę ją na razie korporacją nazywać. W naszej korporacji jest zupełnie przygodna mieszanina ludzi, dużo jest stosunkowo rekrutów i w ogóle ludzi, którzy w linii właściwie jeszcze nie byli (Obst, Kluss, Lipiński, Mieszkowski, do takichże należy też, zdaje się, Pająk); sporo też jest łafermów, niezgrabnych, mało pojętnych i nie umiejących ćwiczyć, poziom inteligencji, a zwłaszcza tej żywej naturalnej, nie wykształceniowej inteligencji, jest w tym doborze ludzi w korporacji naszej niski; najsympatyczniejsze ze wszystkich wrażenie robi na mnie i jako człowiek, i jako kolega – Mrozowski, jednostka wielkiej wartości moralnej

charakteru, jak się zdaje. Poza tym, w drugiej korporacji, należącej również do naszego plutonu, której komendantem jest sierżant Pinto (Grabacki), są z naszego dawnego plutonu: Ekert, Orzechowski, kapral Grzyb. Wyższe szarże podoficerskie zostały podzielone w kompanii między korporacje w ten sposób: sierżant Mozołowski Włodek, nasz dawny zafrontowy, został, jako najstarszy rangą z podoficerów, sierżantem liniowym kompanii, poza plutonami i korporacjami; następny z kolei, starszy sierżant Krzymowski objął I korporację I plutonu; dalej starszy sierżant Gorgoń objął III korporację jako naczelną w II plutonie, sierżant Nebelski – V korporację jako naczelną w III plutonie, korporacje podrzędne w plutonach objęli: korporację II – Pinto, korporację IV – sierżant Piotrowski i VI – sierżant Burczak. Podporucznik Kozicki jest b. niezadowolony z objęcia I plutonu, raz dlatego, że zawsze dotąd miał II pluton w I kompanii, co się stało tradycją u niego, i po wtóre dlatego, że nasi wielkoludzi mniej u niego budzą zaufania, niż drobniejsi żołnierze z obecnego II plutonu, w którym też o wiele więcej zostało dawnych żołnierzy Kozickiego z poprzedniego naszego plutonu. Podobno Kozicki długo oponował i próbował się nawet klócić o oddanie mu komendy II plutonu, ale musiał ostatecznie ulec zasadzie starszeństwa, które jego, jako najstarszego rangą, wyniosła na czoło I plutonu. Taż zasada starszeństwa dała naszej korporacji na utrapienie nasze takich komendantów podoficerów, jak Krzymowskiego, skończonego niedołęgę i Znicza, który, jako pełniący funkcje prowiantowe w kompanii, nie ma faktycznie z nami żadnej styczności, prócz tego, że przychodzi spać na prycze naszą. Za to z Kozickiego my jesteśmy b. zadowoleni, bo to najlepszy z oficerów i jako żołnierz, i jako człowiek, mimo że ogólną inteligencją nie grzeszy. „Pokiwany” został natomiast pluton II, który otrzymał za komendanta podporucznika Krasickiego, nieźnośnego w swej pedantycznej manierze oficerskiej. Dziś rano odbyła się ogólna przeprowadzka podług nowego podziału plutonów i korporacji. Przez ten nowy podział porozbijało się wielu dawnych spółek, tzw. „sitw”, ściślejszych zespołów przyjaciół i parczek stowarzyszonych, które się przez długie współzycie poutwarzały, a które teraz musiały się rozpaść przez przygodne porozdzielanie ludzi podług wzrostu.

28 stycznia, rok 1917, niedziela

Wśród „wielkoludów” naszej najwyższej korporacji, i w tej najwyższej korporacji jeszcze w najwyższej grupie – nie czuję się dotąd swojsko. Podoba mi się dość tutaj Obst, chłopak dość bystry i komiczny, mówiący zabawnie z czeska jak „pepik”, pojętny w ćwiczeniach i w praktycznym życiu, nie pozbawiony humoru, pogodny, umiejący podpatrzyć cudze komiczne strony i przedrzeźniać, naśladując np. głos „komendy” Krzymowskiego, po swojemu życiowo sprytny, ale pod względem inteligencji zupełnie ubogi; podoba mi się bardzo sympatyczny Mrozowski, jedyny prawdziwie wartościowy człowiek w tej garstce korporacji naszej, podoba mi się dosyć Kluss, Niemiec z pochodzenia, chłopiec inteligentny i typowo po niemiecku punktualny, ścisły, stateczny, zawsze równy i grzeczny, b. dobrze wychowany; charakterystyczny dosyć jest Chudzik, wiecznie głodny, nigdy nie nasycony chlebem, który zjada cały natychmiast po fasunku, a potem przez 24 godzin tęskni do niego, chłopak niegłupi z natury, duży, ospowaty i brzydki, wymawiający oryginalnie literę „r” z jakimś dźwiękiem podobnym do „rl”, względnie do „rl”, obdarzony dość dużym temperamentem, z natury spostrzegawczy i nie pozbawiony humoru w swej inteligencji; miły jest z twarzy i z łagodnego usposobienia Ślęzak, niezły jest i niegłupi się wydaje Kaliszczak, dość przyjemny nawet Lipiński o typowo semickich rysach i ruchach. Takie są moje pierwsze wrażenia o nowych towarzyszach w tej korporacji naszych „wielkoludów”, gdzie jednak większość, a przynajmniej wielu nie robi na mnie zbyt sympatycznego wrażenia. Istotnymi „wielkoludami” są w tej naszej korporacji, a jeszcze ściślej w grupie:

Jaśkiewicz, Mrozowski i Mieszkowski. Wobec nich ja, Obst, Pająk – jesteśmy tylko średnimi ludźmi. Gdyby tak jeszcze do nich dodać naszego Diducha, który nam ubył z kompanii, oddany pod sąd polowy za kradzieże (dziś go widziałem prowadzonego wraz z partią innych na kolej dla oddania w ręce sądu), a zwłaszcza rekruta Burdyszka, istotnego olbrzyma nad olbrzymami, który przebył kilka tygodni w naszej kompanii, ale że był strasznym łafermą, to go od nas zabrali i przydzielili do specjalnej rekruckiej kompanii, utworzonej już w II baonie – to dopiero nasza korporacja prawdziwie by na miano korporacji „wielkoludów”, jak nas nazywają, zasłużyła. Co do mnie, to najlepiej bym lubił należeć do tej korporacji, która ogarnia ludzi średniego wzrostu, a właściwie trochę niższych od średniego, konkretnie do korporacji IV, będącej drugą korporacją II plutonu. Tam jest najwięcej naszych ludzi z naszego dawnego plutonu i przeważnie wszyscy najsympatyczniejsi i najdzielniejsi chłopcy; wystarczy powiedzieć, że tam są kochani chłopcy, jak Wadoń, Korwan, złote charaktery, są też tacy sympatyczni i dzielni, względnie charakterystyczni, jak Peszkowski, Bronek Medycki, Adam Ostrowski, Pawlikowski, Papiz. Do tej bym korporacji, gdybym mógł wybierać, najchętniej należał. Cóż, kiedy wzrost moją przynależność klasyfikuje inaczej. W ogóle ludzie średniego wzrostu są przeciętnie najsympatyczniejsi, najbardziej normalni i typowi ludzie, ludzie – krótko mówiąc Wielkoludy – przeważnie albo łaferny, albo jacyś flegmatycy lub „durnowaci”, ciężcy, mikrusy zaś, jak z VI korporacji sierżanta Burczaka – to zwykle zajadły, kłótniwy, zaczepny element, choć nieraz najdzielniejszy materiał żołnierski. Ludzie nasi dotąd się nie oswoili jeszcze z nowym podziałem plutonowo-korporacyjnym i całymi dniami, jak tylko nie ma ćwiczeń, odbywają się wędrówki żołnierzy z sali do sali w poszukiwaniu swoich przyjaciół po innych plutonach. Dawniej, jak wieczór zapadał i kończyły się ćwiczenia, wszyscy, kto nie poszedł do miasta, siedzieli jak przykuci po swoich salach plutonowych, grając sobie to w szachy, to w karty, to gawędząc grupkami, pisząc lub czytając przy swoich plutonowych stołach. Teraz ruch jest jak w poruszonym mrowisku. I sporo zapewne przejdzie czasu, nim ludzie się dopasują do współżycia podług wzrostu.

Dla charakterystyki podporucznika Krasickiego w jego metodach „kształcenia” i „wychowywania” żołnierza, o której to misji on ma tak przesadne pojęcie i z takim przejęciem się nad tym rozważa i o tym mówi, daleko jednak odbiegając własną praktyką od wykombinowanej teorii, przytoczę tu pewien kawał z dnia wczorajszego. Ćwiczył on swój obecny nowy pluton II. Coś mu się tam nie podobało w wykonywaniu ćwiczeń w grupie kaprała Tyrchy (II grupie III korporacji). Podbiega i pyta: „Czyja to grupa?” – „Moja, melduję posłusznie, obywatelu podporuczniku!” – odpowiada Tyrcha. „Do dupy sobie schowajcie taką grupę!” – woła Krasicki, pozorując rubasność zwykłym uśmiechem swoim. „Wedle rozkazu” – odpowiada służbowo dowcipny Tyrcha, pełny zawsze humoru i konceptu, a zarazem doskonały kolega, umiejący też w porę zadrwić z nietaktu komendanta, i po chwili dodaje: „A czy mam ją wypuścić rano na kawę?”. „Tak jest, możecie wypuścić” – odpowiada ubawiony Krasicki. Oto wzorek pedagogicznego błaznowania się Krasickiego, który ani szacunku żołnierza zdobyć nie potrafi, ani wpływu nie posiada, jeno go traci, irytuje i w rezultacie sam się wystawia na pośmiewisko, robiąc z siebie „pośmiechuja”, jak to u nas nazywają i staje się sam ofiarą wiców żołnierskich.

29 stycznia, rok 1917, poniedziałek

Ilość godzin zajęć dziennych z dnia na dzień wzrasta. Doszło wreszcie do tego, że zajęcia dochodzą do 9 godzin dziennie, gdy były zajęcia do godz. 8-11 przed obiadem i od godz. 2-4 po obiedzie, czyli ogółem 5 godzin dziennie, to się nam już wydawało bardzo dużo. Mieliśmy jednak wolne do godz. 8 rano, od godz. 11 do 2 popołudniu i po

godz. 4 do wieczora. Lecz oto wprowadzono wykłady szkoły oficerskiej od godz. 4 do 6 po południu, rano między godz. 7 i 8 gimnastykę z karabinami, aż wreszcie i z ostatniej luki wolnej, jaka nam jeszcze pozostała w porze obiadowej między godz. 11 a 2, wykradziono nam jeszcze godzinę od 11 do 12 i dziś już jakiś wykład Wiatra na tę godzinę do porządku dziennego zajęć dodano. Jeżeli nie liczyć dwóch pozostałych godzin pory obiadowej, od godz. 12 do 2 po południu, które są przeważnie zmitrężone na czekanie obiadu i raport kompanijny, potem na sam obiad, na mycie menażek następnie, a jeszcze na czyszczenie karabinów po ćwiczeniach, tak że upływają „balonem”, a już kwadrans przed drugą trzeba się ubierać i stawać na zbiórkę do popołudniowych ćwiczeń, tak że nic z tych dwóch godzin nie pozostaje, to właściwie jedyny wolny czas w ciągu dnia, jaki mamy dla siebie – to trzy godziny wieczorne od godz. 6 do 9, a gdy jeszcze zważymy, że część tego czasu uchodzi na wydawanie i spożycie tzw. kolacji, czyli kawy i umycie menażek, następnie na zbiórkę na rozkaz dzienny, który się odczytuje przed frontem i wreszcie że już na 20 minut lub na kwadrans co najmniej przed dziewiątą kapral dzienny goni do snu, bo o godz. 9 trzeba już leżeć i światła pogasić, to właściwie istotnie wolny czas skracą się do minimum. W tym krótkim czasie muszę mój dziennik załatwić, a jeżeli jeszcze wybiorę się do miasteczka, by coś zjeść lub kupić sobie, co co dzień prawie robię, to już nawet na napisanie jakiegoś listu czasu mi nie zostaje. Gdybym zaś chciał jeszcze sam porządkować i przepisywać notatki z wykładów codziennych szkoły oficerskiej, to musiałbym chyba wszystko inne puścić, by temu podołać. Szczęściem znalazłem z tego wyjście. Kluss bardzo porządnie stenografuje wykłady, a Papiz będzie je przepisywał dla siebie i zarazem przez kalkę dla mnie, za co korzystać będzie z mego papieru i jeszcze z pewnego wynagrodzenia dodatkowego, które mu będę musiał wyasygnować, bo nie mogę tak bezinteresownie wyzyskiwać pracy biedaka, który nic nie ma.

Coraz bardziej konkretyzuje się u nas wiadomość, że w najbliższym czasie, podobno już w tę sobotę, mamy opuścić Zambrów i pomaszerować (nasz pułk) znowu do Łomży. Czy tam nadal zostaniemy, czy też tam nastąpi rozbieżność naszego pułku i rozesłanie go batalionami do różnych miejscowości w charakterze kadr tworzących się nowych pułków z rekruta – tego jeszcze nie wiemy. Różne pogłoski różnie o tym mówią. Ponawia się pogłoska, że ewentualnie nasz batalion skierowany zostanie po podziale naszego pułku – z Łomży do Warszawy. Życzylbym sobie tego. II pułk podobno nie odmaszeruje z nami i pozostanie w Zambrowie.

Przy tej okazji zrobię małe zestawienie żołnierzy naszego pułku z żołnierzami 4 pułku. Przeciwnicy dawnej Brygady i rzecznicy tradycji II Brygady, tzw. Brygady Karpatczyków, przeciwstawiają zazwyczaj „rozpolitykowaniu” naszych żołnierzy i obywatelskim ich tendencjom wzór dyscypliny i militarne go ducha w pułkach dawnej II Brygady, gdzie żołnierz nie „bawi się” w obywatela i jest tylko żołnierzem, posłusznym i pełniącym li tylko swoje obowiązki bezpośrednie, nie wchodząc zgoła w politykę, która nie do niego należy. W praktyce jednak okazuje się, że szkoła obywatelskiego ducha, szkoła wybitnych ideowych tradycji, które w pierwszej Brygadzie wciąż były żywe, nie dając się ani na chwilę zabić przez zmechanizowanie militarystyczne żołnierza, do czego usiłowania i u nas przecież były robione, w moralnych skutkach na materiale ludzkim, który się w niej wyrobił, okazała się wyższą od tego, co widzimy w II Brygadzie. Pod względem wartości bojowej w linii żołnierz I Brygady nie ustępuje żołnierzowi II-giej, która pod tym względem ma istotnie wybitne czyny za sobą. Jeżeli pod względem formalnej karność i formalnego wyrzeczenia się własnej myśli, woli i inicjatywy, a dodam – i poczucia godności ludzkiej – na rzecz mechanicznej i bezkrytycznej uległości przełożonym, żołnierz I Brygady odbiega od przeciętnego w ideałach militarystyki – typu żołnierza współczesnych armii regularnych, do którego się

bardziej zbliża żołnierz II i III pułku, to pod względem moralnej wartości ludzkiej i wewnętrznej dyscypliny ideowej i moralnej stoi przeciw od swych kolegów „Karpaczyków” wyżej. Oto niech mówią przykłady: jeden w cyfrach, drugi – w fakcie. Na 36 aresztowanych siedzących w tych dniach na odwachu warty głównej w Zambrowie, jest sześciu z I pułku i trzydziestu z pułku II, z tym uzupełnieniem, że aresztowani II pułku siedzą przeważnie za kradzieże i podobne wykroczenia, podczas gdy nasi – przeważnie za akty niesubordynacji. Drugi przykład na fakcie: na podstawie rozkazu Komendy Legionów wolno legionistom, życzącym tego, przenieść się do c.k. armii przed przejściem Legionów do armii polskiej. Gdy rozkaz ten w II pułku ogłoszono, próśb o przeniesienie było tak dużo, że w niektórych kompaniach stało się to masowe. U nas co prawda rozkazu tego nie ogłoszono formalnie, przynajmniej dotychczas, bo nasi komendanci nie chcą dopuścić do tego, ale żołnierze wiedzą o tym rozkazie i prawie wszyscy bez wyjątku z oburzeniem traktują przeniesienie się dzisiaj do c.k. armii, mimo że są w tej chwili rozgoryczeni złym wiktem, forsowną wyczerpującą pracą i ciągłym akcentowaniem się separatyzmu oficerów i mimo że zdają sobie sprawę z tego, że w austriackim wojsku mieliby więcej wygody, większą łatwość awansów, większy wzgląd na inteligenckie kwalifikacje żołnierzy itp. I gdyby rozkaz ten u nas ogłoszono – tylko znikome zupełnie wyjątki skorzystałyby z tego. A gdy w jesieni po dymisji Piłsudskiego ze względów politycznych żołnierze naszej Brygady wnosili podania o przeniesienie do c.k. armii, to przeważali żołnierze II i III pułków.

30 stycznia – rok 1917, wtorek

Znowu 9 godzin zajęć. Staje się to już normalnym u nas. A tymczasem mróz jest z dnia na dzień coraz sroższy, wczoraj i dzisiaj przy pogodnym, słonecznym we dnie, a gwieździstym w nocy niebie – mróz dochodził do kilkunastu stopni. Zimą mamy w tym roku stałą, bardzo równą, w styczniu nie było ani jednej odwilży, śniegu jest nie za dużo, ale mróz trzyma ciągle.

Co do naszej tzw. niższej szkoły oficerskiej, to funkcjonuje ona co dzień bez żadnej przerwy, nawet w niedzielę. Mieliśmy już parę wykładów Śmigłego o taktyce, który jest bardzo dobrym prelegentem, kilka wykładów Krasickiego o musztrze i pierwszy wykład Biłyka o regulaminie służby wewnętrznej. Wkrótce zaczniesz wykladać także Kozicki o teorii i nauce strzelania, to znaczy na ten sam temat, na który wykladał już nam w Baranowiczach. Krasicki swoje wykłady już zakończył. W ostatnich dwóch wykładach podał bardzo dobry program kształcenia żołnierza w systematycznej musztrze. Na ogół trzeba przyznać, że Krasicki bardzo starannie przygotował się do wykładów i z dużym nakładem własnej myśli przestudiował temat i opracował zarówno wszystkie zagadnienia, z musztrą związane, jak systematyczny program jej wykonania, raczej wyćwiczenia w niej żołnierzy. Krasicki w tym zakresie pracuje rzeczywiście dużo i teoretycznie przedmiot ten zna gruntownie. Ma w tym zakresie dużą erudycję, dużo przestudiował nie tylko podręczników, ale i fachowych dzieł wojskowych, z których niektóre sam tłumaczył na polski (czy wydał – nie wiem). Szkoda tylko, że praktycznie nie posiada sam żadnych kwalifikacji na pedagoga względem żołnierzy. Sam bowiem postępowaniem swoim zaprzecza temu, co w teorii tak dobrze rozumie i kombinuje, a do tego przesiąka manierą, którą z jakichś przygodnych konstruuje okoliczności. Tak np., jak to nam na wykładzie mówił, usłyszał w Baranowiczach w szkole oficerów niemieckich, do której uczęszczał, na jakimś wykładzie takie oto powiedzenie Niemca jakiegoś, że komenda musi być tak wydawana, aby „*dem Kerl die Knochen zittern*” (aby żołnierzowi aż kości zadrżały – nie wiem, czy przy moim poziomie znajomości języka niemieckiego dobrze powtórzyłem to zdanie niemieckie).

Ma to znaczyć, że komenda musi być tak energiczna, tak ostra w brzmieniu, aby poniekąd aż fizycznie żołnierza poderwała, aby ten aż drżał na jej dźwięk. I sam to Krasicki odtąd usiłuje osiągnąć, ale nie umie tego, więc nadrabia manierą, w której więcej jest sztucznej brutalności, niż istotnej naturalnej energii. Nie osiąga więc takiego skutku i zamiast podrywać żołnierza do bystrego wykonania rozkazu, zamiast przelewać energię w wykonanie, drażni i zarazem obraża żołnierza, zwłaszcza naszego, który ma w sobie dużo pierwiastka ideowego i godności ludzkiej. Nasi oficerowie, z małymi wyjątkami (do takich wyjątków w naszej kompanii należy przede wszystkim Kozicki, następnie Wiatr) tak potrafią żołnierza zirytować, rozdrażnić, godność jego ludzką sponiewierać, znarowić – swoją bądź manierą, bądź dziecinną przesadą w gorliwości i w krzyku „rubasznym”, bądź wreszcie zupełną niezdarnością (Łaszczyński), wtykającą jednak nos w to, czego sam nie rozumie, a co musi z urzędu udawać, że wie, iż dochodzi do tego, że żołnierze się nie tylko zniechęcają, ale czasem dochodzi do tego, że tacy doskonali i pod wszelkimi względami – i jako żołnierze, i jako ludzie pierwszorzędni chłopcy, jak np. Korwan, w chwilach podrażnienia po ćwiczeniach miewają nawet myśli o samobójstwie, byle tylko z tej dziwacznej i bezmyślnej opresji wybrnąć. I przecież nie można powiedzieć, aby nasi również oficerowie byli źli ludzie lub aby byli ideowych pierwiastków sami pozbawieni. Przeważnie działają w najlepszej wierze, ale nie doceniają tego materiału ludzkiego, jaki jest u nas. Są zbyt dziecinni i przesadzają we wszystkim, chcąc „robić wojsko” i nie umiając uwzględnić warunków i zastosować do celów swoich metod praktycznych działania, i z drugiej strony nasz żołnierz legionowy jest także innym materiałem ludzkim, niż pospolity rekrut w regularnej armii. Najwięcej zaś drażni żołnierza moralizatorski ton, jaki się czasem u nas przez oficerów stosuje, jak np. we wczorajszym rozkazie dziennym. Żołnierz ma oficera zawsze przed sobą, widzi go jak na dłoni i na oku, toteż zaiste razi go to, gdy ten oficer, żądając od żołnierza doskonałości i prawiąc mu kazania, widzi w oku żołnierza trzcinkę, a we własnym belki nie dostrzega lub prawi żołnierzowi morały o zaszczycie stanu szeregowca, więc dlaczego sam nie poprzestaje na tym, a pnie się w górę, aby dowodzić i górować nad szeregowcami. Gdy pod względem obyczajów i pod względem konkretnych warunków wojskowości jest przepaść między frazesem a praktyką życia, żołnierz obserwuje to i nie jest tym zadowolony.

31 stycznia, rok 1917, środa

Dzisiejszy rozkaz dzienny ogłasza kilka nowych nominacji oficerskich w naszym batalionie, które nastąpiły w styczniu. W tej liczbie zostali wreszcie mianowani chorążymi Wiatr i Szajewski, którzy dotąd mieli tylko szarżę sierżantów. Wiatrowi działa się wielka krzywda. Od 1 ½ roku był on już samodzielnym komendantem plutonu i dotychczas nie mógł się formalnej nominacji oficerskiej doczekać. Chłop był rzetelnym żołnierzem, nie garował się po hinterlandach, siedział stale w linii jak przykuty do kompanii, znosił wszystkie trudy i podczas gdy inni na tyłach szybko awansowali lub, umiając się o protekcję postarać i ją wyzyskać, skakali z jednego stopnia na drugi, nie legitymując się nieraz zasługą – on wciąż był zapomniany i wciąż pozostawał sierżantem. I teraz oto w naszej kompanii Wiatr, choć już mianowany chorążym, jest jednak ostatnim rangą pośród oficerów kompanijnych, bo już nie mówiąc o błaznowatym Wernerze, który jest aż podporucznikiem, nawet chorąży Łaszczyński ma przed nim w randze pierwszeństwo jako starszy datą nominacji, gdy tymczasem Wiatr ma za sobą najrzetelniejszą służbę liniową, a Łaszczyński nie ma nic ani pod względem służby i zasługi, ani pod względem umiejętności wojskowej, prócz tego że był werbunkowcem w Departamencie Wojskowym N.K.N i że otrzymał

nominację dla tej czysto politycznej czynności. Niestety – u nas takich anomalii jest b. dużo. Nasi żołnierze są na to bardzo wrażliwi i oceniają zasługę Wiatra, darząc go za to szacunkiem i sympatią i wyróżniając go od takich przybłędów, jak Łaszczyński. Wiatr – to człowiek poza tym porządny, żołnierz liniowy, oficer ludzki, który sam także żołnierza szanować potrafi i nie ma ani tych żandarmskich, ani militarystyczno-kaprałskich manier w stosunku do żołnierza, jakie ma tylu innych oficerów, a najbardziej tych, którzy poza linią swą karierę wojskową tworzyli.

Choć dawno już z Wilna wyjechałem, wracam jednak wciąż w dzienniku do mego tam pobytu i wracać jeszcze będę, o ile mi okoliczności pozwolą, dopóki całkowicie wszystkiego, co bym chciał o Wilnie i moim w nim pobycie powiedzieć, nie wyczerpię. Wspomnę tu jeszcze o paru zebraniach, na których byłem w ostatnich dniach mego pobytu. 29 grudnia o g. 4 po południu byłem zaproszony na zebranie organizującej się w Wilnie grupy aktywistów polskich, która jeszcze była w stadium powstawania i jeszcze nazwy swojej nie ustaliła względnie projektowana była nazwa „Polski Związek Niepodległościowy na Litwie” albo „Polski Związek Niepodległościowy Litwy” (ta drobna na pozór różnica w brzmieniu jednego słowa – „na Litwie” czy „Litwy” – wywoływała tam spór zasadniczy, bo poniekąd uprzedzała o tendencjach grupy; formuła „Litwy” miała zwolenników pośród tych, którzy pragnęli zastrzec stanowisko krajowe, czyli prawnopanstwowy postulat Litwy, podczas gdy rzecznicy wszechpolskiej aspiracji państwowo-politycznych obstawali za formułą „na Litwie”). Grupa ta nie ma jako taka w założeniu cech partii politycznej, ma ona być tylko związkiem wyznawców aktywizmu na rzecz państwowego związku, raczej łączności – Litwy z Polską, dla planowego skoordynowania wysiłków aktywistycznych, w szczególności zaś w najważniejszym tego aktywizmu wyrazie, jakim jest udział Litwy w mającej się tworzyć armii polskiej. Inicjatorami tej organizacji są: Dobaczewski, kierownik Wileńskiego Okręgu P.O.W., kilku ludzi z grupy postępowej Witolda Abramowicza, jak w szczególności Zawadzki i dr Boguszewski, wreszcie grono ludzi z lewego skrzydła b. endeków, które to skrzydło w Wilnie bardzo daleko od dróg urzędowej Narodowej Demokracji odbiegło i dziś stoi całkowicie na stanowisku niepodległościowym i czynnie antyrosyjskim, jak w szczególności Bolesław Malinowski, Jaszczołt, Zbigniew Jasiński i inni. Przewodnią myślą tego związku jest to, aby ogarnąć ster wypadków w duchu aktywistycznym i nadać im kierunek planowy, zwłaszcza wobec powstającej sprawy werbunku z Wilna i Litwy do wojska polskiego i zgłaszania się ochotników, aby to nie miało charakteru li tylko przygodnego i nie zostało zmarnowane dla politycznych celów. Ta myśl o planowości regulowania pewnych zjawisk i faktów w zastosowaniu do politycznych celów jest myślą b. zdrową i słuszną, ale wadą, a raczej tragedią niemocy tego związku będzie, jak to przewiduję, ten sam brak szczerości, brak konkretyzacji w określeniu samego celu i samej istoty dążeń. Brak ten nie jest winą woli odpowiednich ludzi, jeno wypływa z dwoistości dążeń aktywistycznych wśród Polaków litewskich. Zwalczają się tam i ścierają ciągle bez żadnego wyjścia dwa prądy: wszechpolski, dążący do zaanektowania Litwy, a przynajmniej jak największej jej części do Polski jako jej narodowo-państwowego dziedzictwa, i prąd krajowy, opierający się na państwowych przesłankach Litwy w związku z państwem polskim. Z rozdzwieniu tych dwóch różnych dążeń płynie nieświadomość i obawa przed konkretyzacją formuły celu politycznego. Wszechpolski prąd szczerzej i radykalniej się wypowiada, nie obawiając się całkowitego zdemaskowania swych dążeń, ale prąd krajowy usiłuje pod nieświadomością salwować swoje tendencje. To wytwarza brak szczerości wewnętrznej i wpływa osłabiająco na działania aktywistyczne, które z natury rzeczy wymaga jasnych i konkretnych formuł. To się od razu rzuca w oczy na zebraniach tej grupy aktywistów.

1 lutego, rok 1917, czwartek

Jak co dzień – szły u nas swym trybem ćwiczenia i wykłady szkoły niższej oficerskiej. W tej ostatniej rozpoczął dziś wykłady Kozicki o balistyce (teorii strzeleckiej), mówiąc właściwie to samo, jeno w nieco szerszym zakresie, co już mówił na wykładach podoficerskich w Baranowiczach. Ćwiczenia odbywały się dziś w celowaniu, w szermierce na bagnety i w marszu oraz zwrotach, poza tym trochę w chwytach karabinu (gotuj broń, na ramię i do nogi broń, ładuj itd.). W naszej korporacji ćwiczenia prowadzi bezpośrednio sierżant Krzymowski, wyręczając się częściowo sierżantem Kaliszczakiem. Z dwojga wolę tego ostatniego, aczkolwiek tęsknię i zdaje się tęsknimy wszyscy do komendy naszego podporucznika Kozickiego. Słusznie się mówi, że jaka komenda, takie wykonanie. Kozicki sam zna się praktycznie na musztrze, umie ją wykonywać, zna i wyczuwa wszystkie zasady ruchów, całą gimnastyczną logikę ciała ludzkiego oraz poszczególnych zadań tego lub innego artykułu musztry. Toteż Kozicki zawsze wytłumaczy i pokaże rzecz do wykonania, zwięźle i treściwie, a tak, że żołnierz szybko zrozumie, o co chodzi, następnie komendę wydaje krótką, wojskową, dostrzeże i poprawi treściwie błędy, znów przerobi ćwiczenie i prędko doprowadzi wykonanie do należytego poziomu. Pod jego ręką żołnierz ćwiczy się szybko, nie narowi się i nabywa dobrej wprawy oraz prawidłowych ruchów wojskowych. Żaden z naszych oficerów kompanii nie dorównywa Kozickiemu. Ćwiczenie pod komendą Kozickiego jest przyjemne i postępuje dobrze. Niedołężny kierownik ćwiczeń, jak sierżant Krzymowski lub Łaszczyński, marnuje na ćwiczeniach czas własny i czas żołnierza. Zamiast go czegoś nauczyć lub do czegoś wprawić, często go zbałamuci i zepsuje nawet to, co już żołnierz nieźle umiał. Taki znowuż zmanierowany kierownik ćwiczeń jak Krasicki, który męczy żołnierza, czepia się go, łaje, krzyczy, wisi przy ćwiczącym oddziale jak wesz u kozucha, znarowi go tylko, ale nie nauczy niczego. Kozickiego im lepiej poznaję, tym bardziej cenię i lubię. Był czas, że mi się Kozicki nie podobał i raził swoją czupurnością, którą brałem za pewną manierę, tchnącą dziecinadą niepoważną. Nie decydowałem się jednak na wydanie o nim jakiejś opinii ujemnej widząc, jak on jest ceniony przez żołnierzy i wiedząc o jego wybitnych zaletach bojowych. Obecnie, obserwując go przez czas dłuższy, przekonałem się, że to jest rzeczywiście człowiek dużej wartości jako oficer i żołnierz. Osobiście, poza stosunkiem służbowym nie łączą mnie z Kozickim żadne inne stosunki. Pod względem ogólnej inteligencji Kozicki nie tylko nie przedstawia nic wybitnego, ale jest raczej bardzo skromnie przeciętnym. Trudno z nim nawet o czymś rozmawiać, bo się słabo w sferze zagadnień i pojęć ogólnych orientuje, a zresztą nie należy do ludzi dużo myślących i nie ma umysłu wykształconego. Należy on do tego typu ludzi, którzy znają i lubią swój zawód specjalny, swoją sferę poszczególną myślenia i zwłaszcza działania, a poza tym nic ich nie obchodzi. Przeciętny żołnierz, który by tego potrzebował, nie znajdzie w nim pedagoga, kierownika jego obywatelskiej myśli i jego wychowania ogólnego. Tematy polityczne, zagadnienia ideowe ludzkie lub narodowe – nie należą do rzeczy, w których Kozicki byłby biegłym i zdołał jakieś wątpliwości rozwiązać. Nie kusi się zresztą nigdy o to i nawet z pewną wstydliwością unika takich rozmów lub usuwa się, gdy zajdzie o tym mowa. Ten człowiek jest rzeczywiście po żołniersku skromny i nie sili się na udawanie tego, czym nie jest i na imponowanie komukolwiek swoim „autorytetem”. Nie wysuwa się też nigdy na czoło (prócz bitwy) i ani umie, ani chce błyszczeć i grać jakąś rolę pierwszorzędną, wypychając się łokciami naprzód. Dlatego też zawsze pominięty i zapomniany, nie awansuje, choć ma zalety bojowe i zasługi wybitne i jest od początku wojny podporucznikiem. Ale zgoła nie dba o to i zdaje się, że mu z tym dobrze. To człowiek nie kariery, lecz zasługi, nie próżności zaszczytów, lecz ambicji

celowania w swoim fachu, w tym, czemu się oddaje i do czego ma zamiłowanie. Jest rzetelnym, tak jak rzetelnym powinien być żołnierz. Jest rycerskim typem żołnierza. Ma poczucie sprawiedliwości, zasługi, czynu, treściwości. Pod tym względem jest wymagający tak względem siebie, jak względem żołnierzy, będąc poza tym w wymaganiach bardzo skromnym i prostym. Brak ogólnej inteligencji i interesowania się innymi sferami życia poza tą sferą ściślejszą sprawia, że Kozicki nawet w zwykłych życiowych sprawach, stosunkach i potrzebach żołnierza nie potrafi mu być troskliwym i mądrym doradcą, tak na przykład, jak potrafiłby to zrobić Kruk-Grzybowski, który jest pod tym względem bardzo wartościowym, pomimo że grzeszy nadmiarem srogości. Toteż do Kozickiego, choć go lubią i ufają mu, nie zwracają się żołnierze nigdy w swoich troskach, bo wiedzą, że to właściwie na nic. Ale Kozicki okupuje te niedoskonałości swoje wielu zaletami, które robią zeń bardzo dodatniego dla naszych stosunków oficera. Pomówię jeszcze o Kozickim jutro.

2 lutego, rok 1917, piątek

Dla naszych żołnierzy dawnej I Brygady w Legionach jakichś nadzwyczajnych pedagogów ideowych i nadzwyczajnych mentorów życiowych spośród oficerów nie potrzeba. Niewątpliwie niejednemu czasem przydałyby się wskazówki ideowe, co się też dokonywa stale w samym środowisku żołnierskim w rozmowach i obcowaniu wzajemnym i obecność wśród oficerów takich ludzi, którzy by sami stali na wysokim poziomie i jednocześnie, czego nieraz nawet najbardziej ideowemu żołnierzowi brak, byli „*au courant*” bieżących wypadków i zagadnień polityki i wojny, jest rzeczą zawsze dodatnią. Ale ci z naszych oficerów, którzy chcą rolę pedagogów wobec żołnierzy odgrywać i ciągle się na jakichś mentorów wystawiają, wciskając swój nos gdzie się da i zawsze gotowe kazanie moralne w zanadrzu myśli mając, aby je przy lada okazji wypalić czy to pojedynczemu żołnierzowi, czy całemu oddziałowi, słuchającemu w postawie na baczność, słuchającemu „posłuszenie”, jak się to po wojskowemu nazywa, najczęściej właśnie jak najmniej kwalifikacji ideowych, poza dobrymi chęciami, do tego mają, a ci, co istotnie je mają, jak z bliższych nam oficerów kapitan Dąb, ci zwykle mniej mają gorliwości do tego. Pod tym względem np. taki Śmigły jest rzeczywiście doskonałym wzorem przełożonego, który łączy w sobie zalety zawodowe dowództwa z zaletami wpływu ideowego i obywatelskiego, ale Śmigły, jako pułkownik, komendant całego pułku, stoi za wysoko wobec masy żołnierskiej i nie ma możliwości ciągłego i bezpośredniego wpływu wywierać. Wpływ jego, ilekroć się ujawnia, jest zawsze dodatni, ale z natury rzeczy może zataczać tylko duże kręgi, rzadko i przygodnie tylko sięgając do poszczególnych stosunków i wypadków. Z bliższych nam oficerów doskonałym mógłby być pod tym względem Dąb jako człowiek rzeczywiście wybitnie ideowy, o dużym i szlachetnym moralnym zakresie pojęć. Dąb jednak jest zanadto leniwy do systematycznego oddziaływania, trochę rozpuszczony, nie lubiący wchodzić w drobiazgi i zaprzętać się tym, co się poza nim dzieje; Dąb jest więcej typem oficera liniowego, miłośnikiem bezpośredniego czynu wojny, lubującym się namiętnie w bitwie, w ataku, niż pedagogiem. Mam wrażenie, że wśród naszych bliższych oficerów, z tych, których znam lepiej, także lub podobne kwalifikacje ideowego, względnie obywatelskiego czy ogólnoludzkiego wpływu posiadają np. podporucznik Sadowski i porucznik Kruk-Grzybowski; ten ostatni jest nawet z zawodu pedagogiem jako nauczyciel gimnazjalny i lubi odpowiednio pedagogię stosować, tylko że jest z reguły zanadto srogi, a przez to budzi więcej strachu w przeciętnym żołnierzu, niż zaufania do siebie i przez to sam drogi własnego wpływu tamuje. Większość jednak oficerów naszych kwalifikacji dla wpływu moralnego i obywatelskiego na żołnierzy nie ma zgoła żadnych. To nie przeszkadza jednak, że bardzo wielu ma ogromne pretensje właśnie w

tym kierunku i przesadne mniemanie o swoim powołaniu i obowiązkach do tego. W praktyce miewa to karykaturalne nieraz skutki, które nic wspólnego z jakimś wpływem nie mają. Sądzę, że to zresztą nie jest cechą specjalnie naszych stosunków i naszych legionowych oficerów, którzy przecież na ogół, zwłaszcza w naszej Brygadzie, mają więcej pierwiastka ideowego i patriotycznego, niż przeciętnie oficerowie w regularnych armiach. Ale za to nasi oficerowie grzeszą większą przesadą i gorliwością w tym kierunku, niż zapewne oficerowie w innych armiach, bo właśnie ze swoich ogólnych obywatelskich przesłanek uważają to za swój obowiązek, a że są do tego bardzo młodzi, więc w gorliwości tej, jak w wielu innych rzeczach, są dziecinni. A teraz jeszcze klinem sobie zabili w głowę tendencję do „zrobienia” z naszych Legionów „prawdziwego” wojska, militaryzując kategorycznie nasze stosunki wewnętrzne. Warunki koszarowe, w jakich żyjemy, dają im w tym kierunku szczególnie obszerne pole do popisów. Stąd także ich wpływ zwraca się w kierunku nie tyle ideowym i obywatelskim, ile właśnie w kierunku nasadzenia u nas wzorów „kultury” koszarowej, „kultury” kaprałskiej, polegającej na zmechanizowaniu ludzi i na dyscyplinie formalnej i formalnym ładzie. Szczęście, że nasi żołnierze za głęboką mają tradycję obywatelską i ideową, aby się bez wychowawców nie obeszli, bo mniej smutne byłyby owoce tej anarchii pedagogicznej naszych oficerów; z drugiej strony, nasi żołnierze Legionów I Brygady są zbyt ludźmi, aby się formalizmowi militaryzmu duchowego poddali. Otóż wracając do porucznika Kozickiego, o którym wczoraj pisać zacząłem i od którego przeszedłem do całego tego tematu, Kozicki jest właśnie antytezą tych modnych u nas obecnie oficerów-pedagogów koszarowo-kaprałkiej „kultury”. Kozickiego właściwie nic nie obchodzi, co się dzieje w koszarowym formalizmie, czy tam np. płaszcze są na półkach mniej lub więcej przepisowo porozwieszane lub temu podobne drobiazgi. O ile jest oficerem służbowym, to z obowiązku zwróci uwagę na ogólny porządek, ale tego zamiłowania policyjnego do detalicznej ścisłości koszarowej, jak np. Krasicki lub taki karykaturalny „pedagog”, jak Werner, węszący głupstwa, by natychmiast „winowajcę” do raportu przedstawić, nie ma. Kozicki – to oficer liniowy, dzielny w boju, odważny, znakomity skądinąd do technicznego wyćwiczenia żołnierzy, przede wszystkim rycerz, który poszedł na wojnę dla wojny, dla czynu bezpośredniego, nie zaś oficer z pokojowych czasów koszarowego wojska.

3 lutego, rok 1917, sobota

W serii wykładów naszej „niższej szkoły oficerskiej” wykłady porucznika Biłyka o regulaminie służby wewnętrznej stanowią prawdziwą karykaturę. Wszystkie inne wykłady – Śmigłego o taktyce, majora Fabrycego o materiałach wybuchowych, Krasickiego o musztrze, Kozickiego o balistyce i Grota (oficera z oddziału karabinów maszynowych) – są mniej lub więcej dobre. Nie wszystkie są równie ciekawe i samodzielnie opracowane, niektóre z nich są prostą parafrazą broszurowych podręczników niemieckich, ale ostatecznie wszystkie są przynajmniej treściwe, a w szczególności piękne są wykłady Śmigłego i bardzo indywidualnie przemyślane wykłady Krasickiego. Wykłady Biłyka natomiast są prawdziwą karykaturą, wiążącą się bardzo ściśle z tym, co pisałem dnia wczorajszego o ideałach koszarowo-kaprałkiej „kultury”, którymi tak dziecinnie przejmują się niektórzy nasi oficerowie. Wykłady te są po prostu wstrętne. Nie mogę ich słuchać bez głębokiej odrazy. I rzeczywiście prawie wszyscy słuchacze, prócz chyba wyjątków, doświadczają tego samego uczucia. I nie sama tylko treść tych wykładów, tchnących tego pokroju ideałami, ale też zwłaszcza forma jest po prostu obrzydliwa. Biłyk, który jest w cywilu z zawodu adwokatem i to widocznie adwokatem blagierskiego typu, potrafi mówić z dramatycznym patosem, ze wspaniałą postawą, z mrużeniem i otwieraniem oczu, podnoszeniem brwi, rzutami

głowy, z „orlą” siłą wyrazu, z gestem niemal napoleońskim, tak jak żeby mówił o rzeczach istotnie o rzeczach wielkich – o rzeczach drobnych i tak drobiazgowych, tak małych, jak jakieś „kwestie wychodków”, „kwestie” ładowania tornistrów, „kwestie” najdrobiazgowszych przepisów koszarowych stosunków i tym podobne „kwestie”. Można, jak Biłyk, wychodzić z założenia, że w wojsku nie ma spraw drobnych i wielkich, bo wszystkie są równie ważne, ale gdy o każdej z takich kwestii, prostych i jasnych, dość powiedzieć kilka słów treściwych, to Biłyk z każdej z nich robi osobny traktat, strojony w cały wielki patos dramatycznego gestu, jakby tu chodziło o historyczne zagadnienie ludzkości. Wstrętne to, bo nienaturalne, głupie i puste, dające tylko pole do błazeńskiego popisu pana Biłyka. A wszystko to jest zaprawione sztuczną idealizacją stosunku bezwzględnej uległości i bezwzględnej supremacji hierarchii wojskowej, bezdusznego mechanicznego militarizmu koszarowego, doprowadzonego do wyżyny jakichś wzorów doskonałości ludzkiej. Nie można wyobrazić sobie nic wstrętniejszego i głupszego od wykładów Biłyka, których zmuszeni jesteśmy słuchać i chłonąć jako „naukę”. Biłyk – to doskonały wzorowy typ oficera z czasów pokojowych, oficera koszarowej kultury. Całą też swoją karierę wojenną odbył ten „żelazny” pan, dyscypliny wojskowej energiczny szermierz – nie na polu czynu wobec nieprzyjaciela, lecz... w Departamencie Wojskowym w Piotrkowie jako współpracownik Sikorskiego, administrator faktyczny departamentu. Dziś tych hinterlandowych mądrości wojskowo-koszarowych chce uczyć żołnierzy, którzy byli rycerzami czynu na wojnie. Chce z nich, jako kandydatów na oficerów, urabiać typ psychiczny na podobieństwo swoje. Nie daj Boże, aby się to stało; i nie stanie się z pewnością. Dobra jest i niezbędna dyscyplina wojskowa, ścisłość i ład regulaminowy, zasada obowiązkowości bezwzględnej, ale nie idealizacja ludzkości koszarowej i nie „kultura” brutalizmu kaprałskiego. Mówiąc o tym, nie chcę jednak obrażać naszych kaprałów, zacnych żołnierzy i ludzi, bardzo dalekich od Biłykowskich przesadnych ideałów i od klasycznego wzoru Kaprała jako typu historycznego.

Bardzo ciekawą wieść przyniosły dziś gazety. Niemcy zdecydowały się kategorycznie na bezwzględną wojnę podmorską łodziami podwodnymi, forsując ją bezwzględnie blokadę Anglii, Francji i Włoch, zwłaszcza zaś Anglii. Walkę łodziami podwodnymi, skierowaną do uniemożliwienia handlu angielskiego, Niemcy w r. 1916 zawiesiły, ustępując naleganiom Stanów Zjednoczonych Ameryki, naleganiom, które miały wreszcie charakter ultimatum i groziły bardzo idącymi konsekwencjami. Dziś Niemcy ją wznowiają i to w formie jak najbezwzględniejszej, stawiając za cel całkowite zniszczenie wszelkiej handlowej komunikacji Anglii i odrzucając precz wszelkie względy na jakiegokolwiek konsekwencje. Ta decyzja Niemiec jest bardzo ciekawa, charakterystyczna i dużej wagi. Niemcy muszą jednak czuć dużą moc działania w tym kierunku, a następnie doszły oczywiście do tego momentu psychologicznego w wojnie, kiedy nie ma różnicy w środkach, nie ma właściwie ich wyboru, jeno bezwzględność wszystkich i najostateczniejszych dróg, prowadzących jakkolwiek bądź do celu. Ciekawe, o ile się ta blokada uda; byłaby ona klęską dla Anglii, a więc dla koalicji. W każdym razie, jest dla niej groźna i będzie ciężka.

4 lutego, rok 1917, niedziela

Wykładów szkoły oficerskiej dziś nie było. Z powodu niedzieli dano nam wytchnienie. Korzystając z tego, wybrałem się dziś wcześniej niż zwykle, bo koło godz. 5, gdyśmy już przepustki na miasto dostali, na kolacyjkę. Zaprosiłem na nią Peszkowskiego i Wadonia, rano bowiem obu ich spotkała przykrość, po której chciałem ich w ten sposób rozerwać, tym bardziej, że z przygodą ta miałem sam styczność. Mianowicie Wadoń, idąc rano do kantyny, wziął 20 koron od Peszkowskiego, aby mu je rozmiąć i coś

kupić i ode mnie 5 marek także na jakieś drobne sprawunki. Pieniądze te biedak zaraz po wyjściu z koszar zgubił wraz z portmonetką, którą był włożył do dziurawej kieszeni. Na próżno potem szukał zguby; ktoś już ją widocznie spostrzegł i przywłaszczył. Biedny Wadoń był bardzo tym zmartwiony i znękany. Obaj z Peszkowskim zapewniliśmy go naturalnie, że o zwrocie nam tych pieniędzy nie ma mowy, bo dla biednego chłopca, który poza tym stracił i własnych pieniędzy 6 marek, zaoszczędzonych z kilku żołdów, równałoby się to pozbawieniu go całkowicie żołdów na jakichś kilka miesięcy, co dla żołnierza jest bardzo ciężką męką. To jednak zmartwienie biednego Wadonia nie usunęło. Biedny uczciwy chłopiec był przygnębiony. Z Peszkowskim zaś byłem się już wczoraj umówił pójść dziś wieczorem na lekką kolacyjkę do herbaciarenki, gdzie mu w oko wpadła piękna Żydóweczka. Zgubione przez Wadonia 20 koron Peszkowskiego były ostatnimi jego pieniędzmi, toteż musiał się on tek kolacyjki wyrzec. Ze stosunku koleżeństwa, mając pieniądze, uważałem za niezbędne obu ich na kolacyjkę sam zaprosić. W herbaciarence, do której udaliśmy się, nie okazało się dziś kolacyjki mięsnej, którąśmy sobie projektowali w drodze wyjątku na dziś zafundować, toteż wybraliśmy się do restauracyjki chrześcijańskiej opodal. Tych herbaciarni i restauracyjek jest tu pełno; cała szosa wiodąca od koszar do miasteczka jest nimi usiana; w każdym domku jest przynajmniej po jednej, a przeważnie po kilka; każdy sklepik, każdy krawiec ma na tyłach właściwego sklepiu herbaciarnię, zaimprovizowaną w „apartamentach” własnego prywatnego mieszkania. Oprócz tego jest kilka specjalnych „kawiarni”, względnie „restauracji”. Ich większość ma zwykle jakąś atrakcję w osobie jakiejś jednej lub paru młodych dziewczyn, bądź kelnerek, bądź córek gospodarzy; nie wykracza to wprawdzie poza granice dobrych obyczajów, ale służy do weselszej zabawy młodzieży żołnierskiej i przyczynia się do żywszego handlu. Jest tam i w tej chrześcijańskiej restauracyjce p. Borowskiej jakaś młoda niebrzydka Stefcia, z którą zaloty i do której koperczaki smała nasi oficerkowie i sierżanci, względnie także młodzież plebsu żołnierskiego, o ile jej na uczęszczanie do tego przybytku sztuki kulinarnej skąpa kieszeń pozwala; prócz Stefci jest jeszcze tam także druga donna, wysoka, również młoda i niebrzydka. Słowem, tego zawsze i wszędzie do woli. Pysio i Wadonek wstydziło się i ociągali z przyjęciem mego zaproszenia, alem ich zaciągnął. Użyliśmy tam sobie dobrze, jak dawno nie kosztowaliśmy takiej uczy. Znalazła się wódeczka, której dwie karafeczki ze smakiem wypiliśmy (skromnie to, bo zaledwie po trzy kieliszeczki wypadło), zakąsiliśmy do niej „kanapkami” z doskonałej świeżej pieczonej szynki wieprzowej i na właściwą kolację po porcji żeberek wieprzowych z kapusta i kartoflami zjedliśmy. Pogawędziliśmy trochę między sobą, ze Stefcią, z Pysią znajomymi, których tam zastaliśmy i przyjemnie godzinkę spędziliśmy, opłacając suty przy odejściu rachunek. Usłyszeliśmy tam nowinę, niemiła dla nas, że komenda Brygady zarządziła dla obu pułków kilkudniowy karny areszt koszarowy za dokonaną w nocy przez niewykrytych legionistów kradzież kiełbas z włamaniem z tej samej właśnie restauracji, w którejśmy jedli. Po powrocie naszym do koszar nowina ta okazała się już faktem wcielonym w życie. Odbierano już od wszystkich przepustki, jakie kto miał do miasta, wysłano na miasto patrole w celu ściągania wszystkich żołnierzy do koszar, a wnet odczytano i dodatek do rozkazu dziennego z powtórzeniem odpowiedniego ustępu z rozkazu brygadowego o areszcie koszarowym do dnia 9 b.m. Szczęściem, że dowiedziawszy się o tym jeszcze w restauracyjce, zakupiłem trochę zapasu dla siebie na kolację na dni kilka, bo inaczej musiałbym znosić głódówkę przez dni kilka albo przynajmniej bardzo zbliżony do głódówki niedostatek. Wiara jest dość nakręcona na ten areszt koszarowy, bo z pewnością zawinili żołnierze II pułku, a potem odpowiadać za nich i my musimy.

5 lutego, rok 1917, poniedziałek

Zaiste prócz wykładów Śmigłego reszta w tej szkole oficerskiej jest mało warta. Dziś znów mieliśmy wykład Biłyka, równie nieznośny, jak wszystkie jego wykłady. Gadał o karach dyscyplinarnych, lubując się w ich systematyce i z rozkoszną lubością akcentując dobitnie celowość i uszczypliwość każdej poszczególniej kary, mówił też o raporcie, który, podług jego słów, jest uroczystością dla żołnierza. W wykładzie Biłyka jakiś „uroczysty” raport kompanijny jest niemal takim samym w stosunkach wojskowych mistycznym aktem obcowania podwładnego z przełożonym, jakim jest w życiu religijnym komunia święta jako obcowanie bezpośrednie człowieka z Bogiem: żołnierz musi przystępować do tego aktu w uroczystym świątecznym nastroju ducha, choćby to był dla niego nawet raport karny. Już to jedno charakteryzuje należycie przesadę militarystyczną Biłyka i ogólny poziom jego pojęć i tendencji w tych wykładach. Po prostu jest wstrętny. Na drugą godzinę wykładów przyszedł major Fabrycy i w charakterze inspektora tej szkoły, która jest batalionową, jako komendant batalionu zaimprovizował repetycję, kazał sobie podać listę słuchaczy szkoły i zaczął wywoływać nazwiska i zadawać pytania, wpraw z zakresu jego własnego wykładu, który miał przed kilku dniami o materiałach wybuchowych, a następnie z wykładów Śmigłego o taktyce. Temat o materiałach wybuchowych, choć go Fabrycy w wykładzie swoim tylko po łebkach dotknął, jest bądź co bądź ścisły, toteż żołnierze w odpowiedziach swoich nie celowali, bo repetycja ta była dla nich niespodziewana, a trudno równolegle do postępu wykładów postępować w studiach, choćby tylko w ramach notatek wykładowych, gdy się jest przez cały dzień męczonym ćwiczeniami i nie ma po prostu czasu na przeczytanie notatek. Ie Fabrycy jest miły, bardzo subtelnie grzeczny, toteż nawet nie umiający nie naraża się u niego na brutalną naganę lub szykanę. Mnie się udało, że mię nie pytał.

Ćwiczenia u nas teraz postępują tym samym jednostajnym ustalonym trybem. Od godz. 8 do 11 ćwiczenia odbywają się zmianami; trzy pierwsze zmiany trwają po trzy kwadranse; jedna zmiana – celowanie na sali; druga zmiana – ćwiczenie w szermierce na bagnety w pustej sali na dole, tej samej, w której odbywają się wykłady naszej szkoły oficerskiej; trzecia zmiana – ćwiczenie marszu ze zwrotem i formacjami marszowymi – na placu ćwiczeń. Zmiany te odbywają się plutonami na przemian: gdy jeden pluton celuje, drugi uprawia szermierkę, a trzeci gania po placu ćwiczeń jak wariaty; co trzy kwadranse plutony zmieniają role; wreszcie ostatnia zmiana, trwająca ½ godziny, polega na ćwiczeniach w chwytach karabinu; tę ostatnią robią wszystkie plutony na sali. I tak od tygodnia odbywa się co dzień z regularnością zegarka. Popołudniowe ćwiczenia zaczynają się na tyralierze w polu, co przy ładnej słonecznej, choć mroźnej pogodzie jest nawet przyjemne. Od dziś miano ostatnie ½ godziny popołudniowych ćwiczeń przeznaczać na ćwiczenie w śpiewie chóralnym w szeregu, ale jakoś dziś nie doszło do tego.

Rozeszły się dziś pogłoski o rzekomym wypowiedzeniu przez Stany Zjednoczone Ameryki wojny Niemcom. Wątpię jednak, żeby ta pogłoska była prawdziwa. Wątpię, czy Stany Zjednoczone, nie czekając na wypadki konkretne i bez żadnej wymiany not dyplomatycznych, tak od razu odpowiedziały na ogłoszone przez Niemcy zaostrenie wojny podwodnej przeciwko Anglii wypowiedzeniem wojny Niemcom. Że zapowiedź niemiecka obraża dotkliwie handel amerykański – to pewne; wiadomym też jest, że Ameryka poprzednio protestowała wciąż przeciwko stosowanym dawniej przez Niemców metodom tej wojny łodziami podwodnymi i że energiczna postawa prezydenta Wilsona, który od protestów przeszedł już do bezpośrednich gróźb, zmusiła w swoim czasie Niemcy do zaniechania tej formy walki; dziś oni ją wznowiają i to z zapowiedzią kategorycznej bezwzględności; stąd oczywiście rodzą się te pogłoski o

nowej wojnie amerykańskiej, która by do tych innych wojen przybyła. Poczekajmy jednak na fakty i wieści pewne. Być może dziś postawa Ameryki będzie nieco inna. A zresztą z pewnością mądre Niemcy zważyły wszystkie ewentualności i licząc więcej korzyści dla siebie z forsownego prowadzenia bezwzględnej wojny podmorskiej przeciwko Anglii, niż strat i złych konsekwencji nawet z ewentualności udziału Stanów Zjednoczonych w wojnie przeciwko nim.

W naszym życiu koszarowo-żołnierskim, dość odciętych od głównych sprężyn wypadków, pogłoski w ogóle grają dużą rolę. Na pogłoskach też przeważnie, względnie na urywkowych wieściach i przygodnych echach tego, co się dzieje w Warszawie, opierają się nasze informacje o własnym losie naszym i o perspektywach oraz wypadkach rozwoju Sprawy Polskiej. Pod tym względem w ostatnich kilku dniach dochodzą nas głuche szmery o jakiejś bardzo niewyraźnej i wnikającej się znowu sytuacji politycznej. Dokładnych szczegółów sytuacji nie znamy, ale to, co nas dochodzi, jest bardzo niewyraźne i nieprzyjemne, choć dość chaotyczne. W każdym razie, w Warszawie sprawa nie postępuje dobrze i istnienie Rady Stanu nie zażegnało komplikacji. W związku z tym i nasz wymarsz z Zambrowa nie doszedł do skutku. Pomówię o tym jutro jeszcze.

6 lutego, rok 1917, wtorek

Na naszą korporację wypadła dziś od południa służba tzw. warty koszarowej. Służbę tę pełniła tylko nasza I grupa. Chodziło o wystawienie tylko jednego posterunku przy kasie pułkowej. Posterunek to lekki, bo stoi się w kancelarii rachunkowej pułku, w której znajduje się kasa. Lokal jest opalany, więc ciepło, a to grunt. Służba była u nas podzielona w ten sposób, że starszy żołnierz Mrozowski i kapral Ślęzak pełnili po kolei funkcje rozprawiających, pierwszy od południa dziś do północy i drugi – od północy do jutra w południe; na samą zaś wartę na posterunek przy kasie szło nas sześciu: Jaśkiewicz, Mieszkowski, Rokosz, Pająk, Obst i ja. Ponieważ ogółem posterunek wypada dla nas 24 godzin, więc na każdego wypadało po 4 godziny, z tego po dwie godzinyienne i dwie godziny nocne. Ja stałem od godz. 5 do 7 wieczorem i stać będę od godz. 4 do 6. Ze względu jednak, że posterunek jest tak lekki – w ciepłym lokalu, gdzie można i usiąść, a w nocy i pisać sobie lub czytać, względnie zapalić papierosa, to pomimo czterech godzin posterunku i tego, że w nocy nie wolno się do snu rozbierać, służba ta była właściwie wypoczynkiem, bo się dzięki niej nie szło na ćwiczenia ani na te nasze „oficerskie” wykłady, gdzie człowiek „ma prawo” przemarznąć do szpiku kości.

Stojąc na warcie w kancelarii rachunkowej pułku, słyszałem z ust chorążych, funkcjonujących w tej kancelarii, pogłoskę o tym, że za dwa tygodnie mamy iść na linię na odcinek pod Rygą. Podobno mówił o tym Żymirski, obecny komendant II pułku. Pogłoskę tę powtarzano zresztą w kancelarii tonem raczej żartobliwym, nie bardzo w to wierząc. Jest ona raczej kalamburem, charakteryzującym tę sytuację błędnego koła, w jakiej się znalazła sprawa tworzenia armii polskiej, a z nią i sprawa sama Legionów. Ja sam osobiście także w to wątpię, choć wszystko jest możliwe pod słońcem. Zresztą nie martwiłbym się tym bynajmniej, bo jeżeli ten nasz stan nieokreślony ma znowu trwać do nieskończoności, to zaiste od tego smażenia się we własnym sosie w ciągłym życiu koszarowym i ciągłych jak wariaty ćwiczeniach i jeszcze raz ćwiczeniach i znowu ćwiczeniach – wolę już być na linii w bezpośredniej wojnie, gdzie przynajmniej wiem co robię i gdzie walczę konkretnie z Moskalami. A pod Rygą wolałbym być, niż gdzie indziej.

Cały styczeń przeżyliśmy nadzieją, a bodaj nawet pewnością, że gotujemy się do rychłego już tworzenia tej nieszczęsnej armii polskiej. Byliśmy pewni, że już gdzieś w

początkach lutego rozpocznie się ta praca organizacyjna, w której my udział brać będziemy; że utworzone zostaną obozy rekruckie, my zostaniemy stąd wycofani, porozdzielani po różnych obozach jako kadry przyszłych pułków i że zacznie się już masowy napływ rekruta. Żyliśmy tą pewnością do końca stycznia. Otwarcie i funkcjonowanie Rady Stanu, która w zasadzie wypowiedziała się za tworzeniem armii, zdawało się pewnik ten potwierdzać. Tymczasem od kilku dni zaczęły napływać wieści pod tym względem niepokojące. Mieliśmy już w końcu ubiegłego tygodnia odmaszerować stąd – pono do Łomży na razie. Było to do tego stopnia już pewne, że nawet w rozkazie dziennym kompanijnym z któregoś dnia zeszłego tygodnia byli już wyznaczeni kwatermistrze: kapral Dzik i dwóch braci Medycznych. Tymczasem wymarsz nasz do skutku nie doszedł i zaczęto mówić, że nie wymaszerujemy wcale. Zaczęły też dochodzić wieści chłodzące o tym, że tymczasem jeszcze rekrutów nie ma i nie będzie i że cała sprawa tworzenia armii jest znów w zawieszeniu. werbunku właściwego Rada Stanu dotąd nie ogłosiła. Z gazet wyczytaliśmy, że Rada Stanu wzywa jeszcze do cierpliwości pod tym względem. Z drugiej strony słychać, że w sprawie armii są wewnątrz Rady Stanu i w stronnictwach politycznych w Warszawie jakieś znowu rozterki, będące poniekąd w związku z odżywającymi tendencjami Austrii do przyłączenia Królestwa Polskiego do monarchii habsburskiej i oporem Austrii w sprawie zrzeczenia się praw do Legionów Polskich. Jak tam to wszystko w rzeczywistości wygląda – nie wiem dokładnie. Słychać, że P.O.W. znów cofnęła swoją zgłoszoną poprzednio gotowość do zmobilizowania natychmiast swoich szeregów do armii polskiej i zamknęła się znowu w wyczekującej rezerwie. Dochodzą też wieści czy pogłoski, że znów odżył w Warszawie spór o osobę Piłsudskiego, któremu większość Rady Stanu nie decyduje się oddać wyłącznie w ręce sprawy wojska, jak tego lewica aktywistyczna żąda. Faktem jest, że Rada Stanu zorganizowała już władze i przystąpiła do otwarcia wszystkich innych departamentów, jak spraw wewnętrznych (Łempicki), oświaty i wyznań (Pomorski), sprawiedliwości (Bukowiecki), spraw politycznych (Rostworowski), skarbu (Dzierzbicki), pracy (Kunowski) itd., tylko Departament Wojny, z którym się sprawa osoby Piłsudskiego i sprawa armii łączy, jeszcze nie zorganizowany. Kłótnie i wewnętrzne spory w Warszawie znów się zaogniły. Z listów prywatnych, które tu dochodzą, znać, że tam aż wre od wzajemnych sporów i posądzeń.

7 lutego, rok 1917, środa

Warta koszarowa mi się przydała. Odstałem nad ranem mój posterunek przy kasie pułkowej od godz. 4 do 6 i już potem miałem spokój. Nie tylko spokój od służby, ale też, co jeszcze cenniejsze, spokój od trzygodzinnych ćwiczeń przedpołudniowych, którym się tylko przyglądałem jako widz, nie biorąc w nich udziału. Obecnie przy tym nawale zajęć, służba, która zwalnia od ćwiczeń, jest nie ciężarem, lecz wypoczynkiem. Żyjemy rzeczywiście w fazie pogłosek. Tak jest u nas zawsze, ilekroć zachodzą jakieś komplikacje w rozwoju sprawy polskiej, momenty jakichś politycznych zastojów, tak częstych w naszych stosunkach, a tak zazwyczaj boleśnie dotykających Legiony, których los wciąż w jakimś dziwnym zawieszeniu i niepewności pozostaje. Dziś znowu dowiedziano się skądś, że Austria mianowała ze swej strony 30 instruktorów do Legionów. To zdaje się być prawdą, ale nic ponadto nie wiadomo. Na tym gruncie powstały domysły, że obecni instruktorowie niemieccy, którzy kierują ćwiczeniami naszymi, mają być odwołani i że to na ich miejsce przyjdą instruktorowie austriaccy, którzy oczywiście będą nas znów w austriackiej musztrze ćwiczyć. Byłoby to już zaiste szczytem ironii w losie Legionów! Tylko co przeszliśmy forsownie kurs musztry niemieckiej, a tu znowu powrót do austriackiej! Sądzę, że tak dalece źle jednak nie jest i że ewentualny przydział instruktorów austriackich oznacza tylko to, że Austria chce ze

swej strony także zmanifestować współdziałanie na równi z Niemcami w kształceniu przyszłej armii polskiej, słowem – mieć na tym także swoją rękę. Tymczasem jednak faktem jest, że w sprawie budownictwa państwa polskiego i w szczególności armii jest jakiś ciężki zastój i kryzys. W związku z tym pozycja Legionów jest bardzo przykra i głupia. Trzy miesiące upłynęły od proklamacji Niepodległości Polski, miesiąc – od ukonstytuowania się Rady Stanu w Warszawie, a jednak dotąd sprawa armii polskiej nie posunęła się ani o krok naprzód. Jakiś fatalizm ciąży nad tą sprawą, jak w ogóle nad Polską, paraliżując ją niemocą bezwładu. My tymczasem, to znaczy Legiony, smażymy się po prostu we własnym sosie i jak opętańcy kręcimy się w błędnym kole. Pragniemy tej armii i czekamy na nią. Przeszliśmy kurs ćwiczeń niemieckich i oczekiwania rekruta, i rychłego wcielenia Legionów do armii polskiej. Ćwiczymy wciąż dalej i ćwiczymy, przesuwamy nasze dawne piękne ochotnicze tradycje obywatelskie na jakieś koszarowo-militarne wzory, które mają być niezbędne dla regularnej armii, zakładamy szkoły oficerskie, aby naszych żołnierzy uzdolnić na oficerów tej przyszłej państwowej armii – wszystko to w przewidywaniu i oczekiwaniu polskiej armii, a jej jak nie ma, tak nie ma. W perspektywie tej nicości rezultatów realnych, która się wciąż przewleka i coraz to nowymi komplikacjami hamuje, wyglądamy jak wariaci, którzy się bawią w tworzenie rzeczy, co się ani myśli tworzyć. Ano, zaczekajmy jeszcze.

Wróć jeszcze do tematów mojego pobytu w Wilnie. Tegoż dnia 29 grudnia, o którym tyle już razy w dzienniku wspominałem, miałem wieczorem ostatnie z licznych moich zebrań wileńskich. Było to zebranie w Klubie Robotniczym, funkcjonującym w obszernym lokalu dawnego tzw. Klubu Poleskiego albo Klubu Kolejowego przy dawnej ul. Chersońskiej, mającej oczywiście obecnie, jak wszystkie w Wilnie ulice o brzmieniu nazw rosyjskim, nową nazwę. Na zebranie to zaprosił mnie Zashtowt. Chętnie przystałem, bo wiedziałem, że zastanę tam środowisko słuchaczy demokratycznych z kół robotniczych, najwdzięczniejsze zawsze do pogadanki politycznej, bo najżywiej czujące, najbezpośredniejsze, najbliższe życiu, nie zblazowane ani zmanierowane, jak zazwyczaj inteligencja. Ten Klub Robotniczy w Wilnie – to sympatyczna organizacja, w której rzeczywiście jest środowisko ludowe, demokratyczne, robotnicze. Nie ma on cech partyjnych, bo jest raczej kulturalną, niż polityczną placówką, ale z natury rzeczy główną rolę w nim grają elementy socjalistyczne lub ciężące do socjalizmu. Jak Klub Rzemieślniczy, na którym się opiera Nagrodzki, tak Klub Robotniczy mógłby w stosunkach wileńskich, poza swoją bezpośrednią funkcją kulturalnego ogniskowania życia robotników, odegrać dużą rolę, gdyby elementy lewicy były bardziej wyrobione lub gdyby wśród nich znaleźli się ludzie odpowiedniego czynu. Taki związek socjalistów i sympatyków socjalizmu, o którym pisałem w dzienniku, opierając się o taki klub jak o swoje podłoże, bądź co bądź zorganizowane, mógłby o wiele większe na zewnątrz pozyskać znaczenie i posłuch. Może do tego przyjdzie jeszcze, bo takie ściśle współdziałanie samo przez się się naprasza. Co wart taki związek socjalistów jako pewna grupa ideowa w społeczeństwie, złożony z 20-30 jednostek różnych socjalistycznych odcieni, jeżeli nie znajdzie sobie oparcia w jakimś zorganizowanym podłożu demokratycznym? I jaka rolę w ogólnym układzie stosunków i prądów w społeczeństwie może odegrać taki Klub Robotniczy, jeżeli ani sam myśli politycznej nie rozumie, ani nie da oparcia z siebie dla jakiejś politycznej akcji czynnych elementów? A możliwości są duuże pod tym względem; w Wilnie przywykło się załatwiać sprawy publiczne w kilku dobranych drogą dowolnej kooptacji komitetów itp. bez właściwej kontroli szerszych kół społeczeństwa, w których imieniu się występuje. Zadaniem takich zorganizowanych środowisk demokratycznych byłoby położyć kres tym

metodom spekulacji politycznej, wiążąc je karnością i odpowiedzialnością demokratyczną.

8 lutego, rok 1917, czwartek

Mrozy nie ustają i są wciąż równie silne. Zima tegoroczna dobrze się da we znaki nie tylko tym milionom żołnierzy, którzy są w polu i którzy zmuszeni są pełnić, mimo wszystko, służbę bieżącą na wojnie, wystawiać placówki, wedety, strzec linii, ale i całej na ogół cywilnej ludności, która musi cierpieć z powodu trudności dowozu węgla i drzewa, a jest w czasie wojny jeszcze mniej niż zwykle odporna na zimno, mając mniej pożywienia. Tęga i trwała zima, jednolita i mroźna, jest najcięższą z zim obecnej wojny i taką, jakie rzadko się zdarzają. Od przeszło miesiąca trwa mróz silny, bez przerwy, potęgując się coraz. Luty też, jak dotąd, usprawiedliwia w zupełności swą nazwę: jest litym, jest niemiłosiernym dla ludzi. Ale bo też ludzkość, zdziczała i wściekła, która z nienawiścią rwie sama siebie w strzępy, kalecząc się i mordując, i niszcząc własny dorobek kultury i dobrobytu – sama się dowolnie na zło zewnętrzne, pod ciężar Boskiej ręki wystawia. Na całym froncie wschodnim działania wojenne ustały; od ujścia Dżwiny do ujścia Dunaju wrogowie obserwują się tylko i strzegą linii; mróz zdołał ich nienawiść ujarzmić niemocą czynu. Szczęściem naszym, że my mamy tu koszary wyjątkowo ciepłe; wprawdzie i w naszych koszarach trochę ochłodziło, ale jeszcze jest zupełnie znośnie. Co by to było, gdybyśmy musieli być w naszych dawnych koszarach w Łomży; zmarzlibyśmy skandalicznie. Gazety wprowadziły rubryki osobne, notujące postępy i skutki mrozu w różnych krajach i miastach. Wszędzie jest źle. Gazety ostatnie, któreśmy otrzymali, potwierdzają wieść wprawdzie jeszcze nie o wojnie formalnej, ale o ostrym zatargu mocarstw centralnych ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. Zapowiedź bezwzględnej wojny podwodnej przez Niemcy wywołała już ze strony Ameryki radykalne zerwanie stosunków dyplomatycznych ze wszystkimi państwami bloku centralnego i jakąś odezwą prezydenta Wilsona do państw centralnych, której dokładnej treści nie znam, ale która, jak się domyślam z tego, co o niej w czytany przeze mnie dzienniku piszą, wzywa ogół państw centralnych do solidarnej wspólnej obrony swych interesów przed akcją Niemiec. Co się z tego wywiąże – zobaczymy. Silny był gest Niemiec w tym postanowieniu o wojnie podwodnej, ale też nieobliczalne zdają się stąd płynąć konsekwencje. Czy jeszcze wrzód katastrofy światowej nie dojrzał całkowicie i czy jeszcze się nowymi skomplikuje wybuchami? I gdzie, i kiedyś, i jaki kres tego wszystkiego? Oby wreszcie wszystko prędzej dojrzało i wybuchło, doprowadzając katastrofę do ostatnich jej konsekwencji i komplikacji. Im prędzej to nastąpi, tym już lepiej, bo prędsze i kategoryczniejsze będzie rozwiązanie. Nieraz bowiem jest tak, że im sytuacja jest bardziej skomplikowana, granicząc z absurdem, tym bliższa i prostsza jest w rozwiązaniu. Życie nie gardzi paradoksami. Niebezpieczniejszą i bardziej zawiłą jest możliwość komplikacji, niż sama komplikacja dokonana w faktach. Rok 1917 jest w tej wojnie nie prostszym, niż był rok 1914 albo 1915 i nie wiadomo jeszcze, czy jest bliższy końca, niż tamte były początku katastrofy. Życie współczesne płynie w jakiejś matni.

Otrzymałem dziś list od Heli Ochenkowskiej z Warszawy. Z listu jej potwierdza się fakt trudności wewnętrznych, jakie napotyka znowu w obecnej chwili sprawa tworzenia armii. Trudności te są dwojakie, z dwóch źródeł płynące; z jednej strony rozbieżności dążeń wewnątrz samego obozu aktywistów, z drugiej – opór pasywistów i dużej masy bierności. Hela w liście tylko o tych drugich wspomina. Ktoś z realistów wrócił ze Sztokholmu, skąd, po skomunikowaniu się tam z działaczami obozu moskalofilskiego w Rosji, przywiózł wieści, że Rosja zgadza się na „niepodległość” Polski, wprawdzie w

„unii” z nią samą, ale tylko pod warunkiem naturalnie, że Polacy nie wystawią obecnie armii przeciwko Rosji, bo w przeciwnym razie biada im! To naturalnie podziało wzmacniając na stanowisko tych, którzy przeciwstawiają aktywistom zasadę neutralizmu wobec wojny i opierają się tworzeniu armii na gruncie aktu 5 listopada. Nie tracą oni nadziei i wiary w zwycięstwo koalicji i Rosji i chcą nie „skompromitować” Polski i sprawy jej niepodległości wobec przyszłych zwycięzców. A są oni silni tym bardziej, że w masach dotąd sprawa armii i jej udziału w wojnie w ogóle, a zwłaszcza w wojnie po stronie Niemiec jest niepopularna. Prawica, operując argumentami z przywiezionych ze Sztokholmu wieści, przeciwdziała skutecznie usiłowaniom Rady Stanu i samą Radę podkopuje w opinii narodowej, osłabiając jej autorytet. Píše też nieco Hela o sprawie Litwy, ale nic szczególnego. Sprawa ta nie weszła w żadną nową fazę; jest tak samo niewyraźna, jak była poprzednio i tak samo w Warszawie rosną, zdaje się, aneksyjne względem Litwy tendencje.

Dziś nasza korporacja jest w kompanii służbowa. Na mnie wypadła służba ordynansa w baonie. Dobrze to, bo zwalnia mię dziś po południu i jutro do południa od ćwiczeń. Na wykłady jednak poszedłem dobrowolnie, bo nie chciałem opuścić pięknego wykładu Śmigłego. Zaczął dziś wykladać podporucznik Pakosz o terenoznawstwie.

9 lutego, rok 1917, piątek

Od dnia dzisiejszego objął formalnie komendę naszej kompanii rotmistrz Dreszer-Orlicz, który przeszedł z kawalerii do piechoty. Nasza kompania, odkąd Dąb jest kapitanem, przechodzi ciągle z rąk do rąk. Był komendantem Kruk, potem Młot, w ostatnich czasach formalnie znowu Dąb, teraz Dreszer. Sądzę jednak, że tak, jak faktycznie w ostatnich czasach przy Dębie, spełniał funkcje komendanta, zwłaszcza w zakresie ćwiczeń i zarządzeń wewnętrznych – Młot, liczący się urzędowo zastępcą komendanta kompanii, tak pozostanie też nadal, Dreszer zaś będzie tylko na zewnątrz, raczej formalnym komendantem. Nie znam Dreszera i nie wiem, jaką on wartość w roli komendanta przedstawiać może. Młotem zaś zachwycony bynajmniej nie jestem. Dąb obejmuje teraz funkcje coś w rodzaju ogólnego inspektora ćwiczeń w baonie, inspektora wyszkolenia naszego. Jest to raczej funkcja malowana, niż istotna, bo Dąb ani się kocha, ani się bardzo zna na ćwiczeniach.

Dziś dla mnie upiekł się dzień bez ćwiczeń. Do południa miałem jeszcze służbę ordynansa w batalionie, po południu zaś, jako po służbie, udało mi się otrzymać zwolnienie, choć to osobliwość, bo w tych czasach, uważanych za szkolne, zwykle się po służbie nie zwalnia. A ćwiczenia były dziś przykre, gdyż chłód był przenikliwy przy dużym wietrze, a kompanię ćwiczano w jakiejś nowej formacji szyku do jakiegoś popisu, który ma się w tych dniach odbyć.

Skończył się dziś nasz areszt koszarowy, nałożony przed kilku dniami przez Komendę Brygady. Po godz. 6 wieczór otrzymaliśmy przepustki na miasto. Skorzystałem z tego i z Peszkowskim i Wadoniem wybrałem się do krawca, który mi uszył spodnie z namiotu, a potem do herbaciarni na mleko, herbatkę i przekąskę.

Dziś spotkała mię niespodzianka z mojej superrewizji zeszłorocznej. Już przed kilku dniami wspominał mi Voisé (nasz kabareciarz pułkowy, „dyrektor” naszego byłego „Teatru Korpusu Pomocników” w Baranowiczach, szeregowiec z II kompanii naszego baonu, obecnie przydzielony do kancelarii komendy pułku), że do pułku przyszły moje papiery superrewizyjne wraz z przyznaniem mi pensji inwalidy. Zdziwiło mię to, bo się o żadną pensję nigdy nie starałem, a zresztą, o ile mi wiadomo, przy superrewizji przeznaczono mię do „lekkiej służby bez broni”, pensja zaś inwalidy może być uznana chyba tylko w takim wypadku, jeżeli się uzna danego żołnierza za inwalidę, to znaczy całkiem niezdadnego do służby i zwolni się go z wojska całkowicie. Dziś w tej właśnie

sprawie wezwano mnie do kancelarii komendy pułku. Była tam cała plika tych papierów, odnoszących się do mojej superrewizji. Okazało się, że istotnie przyznano mi pensję od dnia 1 grudnia 1916 na czas trwania wojny. Pensja oczywiście żebracka, jak dla pospolitego szeregowca, w zdeprecjonowanych dziś haniebnie koronach. Wynosi ona ogółem 168 koron, czyli podług waluty obecnej coś czterdzieści kilka rubli rocznie, w tej liczbie 72 korony właściwej pensji i 96 koron osobistego dodatku, zapewne odpowiednio do mojego „stanowiska społecznego” jako adwokata. Oczywiście, że tej pensji od Austrii ani chcę, ani potrzebuję; nie myślę też z niej korzystać osobiście. Wstydzę się jej nawet poniekąd. Nie dla tej nędznej pensji od rządu austriackiego wstąpiłem do Legionów i nie ona mi będzie zapłatą wartości mojego czynu. Załączoną jednak książeczkę pensyjną wziąłem, aby ją mieć na wszelki wypadek na dowód mojej niezdatności wojskowej na ewentualność zwolnienia się od wojska. Przy przejrzeniu odpowiednich papierów superrewizyjnych dowiedziałem się, że wprowadzie istotnie komisja superrewizyjna w Krakowie, przed którą dnia 27 stycznia zeszłego roku stawałem, przeznaczyła mnie do lekkiej służby bez broni, to jednak jakaś wyższa instancja orzeczenie to następnie uchylila i pod data 4 maja 1916 wydała nowe orzeczenie, którego mocą zwolniony zostałem z wojska na przeciąg 1 roku. Na jakim orzeczeniu natomiast opiera się moja pensja – tego nie wiem. O zwolnieniu mnie z wojska na rok nic nie wiedziałem. Papiery moje superrewizyjne długo wędrowały, bo szukano mnie z nimi, nie wiedząc, gdzie się podziałem. Wędrowały one po różnych biurach werbunkowych, były w Wilnie itd., aż wreszcie natrafiono na mój ślad i do pułku je tu skierowano. Co do zwolnienia mnie z wojska na rok, to chętnie bym z tego jeszcze teraz skorzystał, jeżeli jeszcze czas nie upłynął./ Chętnie bym ewentualnie choć do 4 maja wyjechał, gdyby się dało na ten czas do Wilna pojechać. Poszedłem w tej sprawie zaraz do porucznika Biłyka, pełniącego funkcje adiutanta pułkowego. Biłyk także przypuszcza, że termin rocznego zwolnienia mojego datuje się od 4 maja, to znaczy od dnia orzeczenia, ale ma jeszcze wątpliwości tego rodzaju, że może zwolnienie to jest datowane od dnia stawania do superrewizji, to znaczy od 27 stycznia 1916, a w takim razie termin byłby upłynął. Biłyk przyrzekł mi sam tę sprawę załatwić, to znaczy zwrócić się po wyjaśnienie do Komendy Legionów. Jeżeli się po tym wyjaśnieniu okaże, że do 4 maja jestem wolny, to ewentualnie może by mi się udało pojechać na ten czas do Wilna. Dla sprawy i dla zamierzeń moich oraz dla działalności mojej byłoby to bardzo dobre, o wiele lepsze, niż tłuczenie ćwiczeń w roli marnego szeregowca w koszarowym życiu, ale trudność polega tylko na środkach materialnych: z czego bym się w Wilnie utrzymywał; dla Maryńki zaś ciężarem być nie chcę.

10 lutego, rok 1917, sobota

Wreszcie dziś odwilż, pierwsza w tym roku. Lekko szły ćwiczenia. Nie marzliśmy tak jak zwykle.

Przychodzi mi na myśl, że jednak skoro mi austriackie komisje superrewizyjne przyznały pensję inwalidy na cały czas trwania wojny, to zapewne musiało zapaść jakieś nowe orzeczenie, zwalniające mnie całkowicie od służby wojskowej. Bo gdybym był zwolniony tylko na rok, to znaczy na próbę, to nie byłoby racji *a priori* przyznawani mi pensji na cały czas trwania wojny. Zresztą, o ile sobie przypominam, w orzeczeniu z d. 4 maja, które tylko pobieżnie przejrzałem, nie ma wzmianki o pensji. Termin wypłacania mi pensji opiewa na czas od 1 grudnia 1916. Bardzo prawdopodobne więc, że w międzyczasie od 4 maja do 1 grudnia zapadło nowe orzeczenie, którego mocą przyznana mi została ta pensja, ja zaś od służby całkiem zwolniony zostałem. Tak mi się to widzi. Papiery superrewizyjne, których była cała plika, przejrzałem wczoraj tylko bardzo pobieżnie. Będę musiał jeszcze raz je dokładnie przeanalizować. Dziś w

wieczornym rozkazie dziennym kompanii zapowiedziany na poniedziałek ogólny przegląd lekarski wszystkich żołnierzy przez specjalną komisję dla wybrakowania tych, którzy się do służby liniowej nie nadają. Jak słyhać, w tej komisji zasiadać będą: kapitan dr Rupert, lekarz Brygady, i dr Jakowicki, nasz lekarz pułkowy; kto więcej – nie wiem. Nie wątpię, że mnie także zabrakują. Dokładnie charakteru i zadań tej komisji nie znam. Przypuszczam, że nie jest to formalna komisja, mająca władzę superarbitrowania żołnierzy, jeno komisja wewnętrzna w łonie czy to pułku, czy Brygady, aby z góry się w materiale ludzkim pod względem fizyczno-zdrowotnym zorientować, by później, gdy przy tworzeniu armii polskiej rozszerzy się zapotrzebowanie ludzi do innych gałęzi służby wojskowej, poza liniową służbą, wydzielać do nich z pułków tych ludzi, którzy ewentualnie są do służby liniowej niezdolni. Zobaczymy zresztą, co to będzie. Bardzo wielu z naszych żołnierzy pragnęłoby się już na przyszłość od linii uwolnić i gdzieś w lżejszych tyłowych służbach się garować. Co do mnie, to w związku z tym przeglądem pojutrzejszym i tym, co mi papiery superrewizyjne przyniosły, otwiera mi się ewentualnie droga do wyjścia z wojska. W każdym razie, ewentualności takie powstają. Jeżeli do tego dojdzie, to zapewne dwie drogi staną przede mną: jedna – powrotu do Wilna, pod względem działalności mojej bodajże najowocniejsza, najstosowniejsza ze stanowiska obywatelskich moich wobec Litwy zadań, ale bardzo trudna pod względem elementarnych warunków materialnych do życia, i druga – znalezienia stanowiska w Warszawie w tworzących się państwowych instytucjach polskich, mniej osobiście dla mnie miła, ale dająca też możliwość pracy ideowej w duchu sprawy Litwy, na razie, co może najgłówniejsze – pracy publicystycznej (broszury, o której myślę od czasu mego powrotu z Wilna). Czego bym zaś najmniej sobie życzył – to znów być ciąganym po formalistykach nieznośnej procedury superrewizyjnej, z pobytem znowu ewentualnie w szpitalu, w Kamieńsku itd. Tego bym już za nic nie chciał. Jeżeli już być w wojsku, to być w pułku, względnie z pułku być wydzielonym do jakichś służb pomocniczych bezpośrednio – do jakiejś rachunkowości, względnie prowiantury, służby na tyłach itd., ale w tych pozaliniowych funkcjach już nie być tym poniewieranym szeregowcem. Co innego mi być szeregowcem w liniowym wojsku, a co innego – na tyłach w pomocniczych rodzajach służby.

W naszej szkole oficerskiej zaczął dziś wyklądać podporucznik Sadowski o umocnieniach polowych, raczej o fortyfikacjach w ogóle. Wykłady jego należą do najlepszych tak pod względem treściwości, jak systematyczności opracowania i samego wykładu, pomimo że zmuszony jest ograniczyć wykłady do najogólniejszych zarysów. Podporucznik Sadowski, mój najściślejczy rodak, bo pochodzący z guberni kowieńskiej z powiatu telszewskiego, był oficer rosyjski, jest jednym z najsympatyczniejszych ludzi pośród oficerów naszych. Człowiek rozumny, myślący, bardzo sumienny, poważnie traktujący obowiązki swego zawodu tak pod względem ideowym, jak ściśle rzeczowym.

Nie wiem, czy coś będzie praktycznego dla mnie z tej szkoły oficerskiej. Sam czuję, że wojskowość w ścisłym znaczeniu nie jest moja sferą. Co innego Legiony – wojsko ochotnicze i doraźne, bardziej czyn polityczny, niż przejaw militarizmu w ścisłym znaczeniu, a co innego właściwe wojsko regularne. Na ogół też w Legionach wśród moich bezpośrednich i pośrednich przełożonych jest względem mnie stosunek taki, że uważają mój udział raczej za coś przygodnego i nie traktują mnie jako kogoś, który normalnie odbywa służbę w wojsku. Toteż, zdaje się, dla mnie trudniejsze byłyby drogi normalnych awansów, niż dla przeciętnych innych ludzi o tym samym poziomie kwalifikacji.

11 lutego, rok 1917, niedziela

Poszedłem do kancelarii komendy pułku dla przejrzenia raz jeszcze moich aktów superrewizyjnych. Nie zastałem już ich jednak; powędrowały do Warszawy do Komendy Legionów wraz z zapytaniem Biłyka, czy możliwe jest jeszcze udzielenie mi prawa wyjazdu do dnia 4 maja. Będę czekać odpowiedzi stamtąd.

Niedziela – dzień wolny od zajęć, to znaczy od ćwiczeń, bo wykładów szkoły oficerskiej nam nie darowano.

Korzystając z wolnego miejsca, będę kończył jeszcze spóźnione reminiscencje z pobytu mego w Wilnie. Wrócę przede wszystkim do zebrania w Klubie Robotniczym w dniu 29 grudnia, o czym pisać zacząłem. W klubie tym, prócz szerokich kół właściwych robotników biorą czynniejszy udział jednostki z różnych odcieni socjalistycznych elementów inteligencji wileńskiej. Klub ten, poza innymi dodatnimi cechami, ma jeszcze tę dodatnią, zwłaszcza w stosunkach wileńskich, że jest jednym z nielicznych terenów zbiorowego życia, na którym może się odbywać obcowanie różnych narodowości. Tu przychodzą Polacy litewscy, mogą też przychodzić i przychodzą, biorąc nieraz czynny udział w wymianie zdań, względnie nawet należąc do klubu na równi z innymi członkami, Litwini, nawet jednostki spośród Żydów, nie zamykające się w wyłączności żydowskiej i umiejące po polsku. Przychodzi mianowicie na zebrania klubu tego i żywszy udział w nim bierze np. pewna młoda inteligentna Żydówka, należąca do Bundu, co uważam za objaw dodatni, bo nawiązuje to pewne nici w zakresie wspólnych zagadnień krajowego bytu i łagodzi skrajny anormalny separatyzm między społeczeństwem żydowskim a chrześcijańskim na Litwie, separatyzm wprost przesadny, który nawet w sferze robotniczych spraw i stosunków jest zachowany kompletnie. Z pewnością, że społeczeństwa – chrześcijańskie i żydowskie – są bardzo różne w kraju naszym, ale bądź co bądź rozdział ten jest karykaturalnym, bo żyjąc w jednym kraju i w ramach tegoż musząc rozwój swój dokonywać, społeczeństwa te są tak wzajemnie izolowane, że przeciętnie wiedzą o sobie nieraz mniej, niż o społeczeństwach, narodach i krajach dalekich i obcych. Z Litwinów garnie się do tego klubu Kairys, a nie brak też Litwinów rodowitych, względnie ludzi o litewskich aspiracjach wśród samej masy robotniczych członków klubu. Wprawdzie Litwini i Polacy litewscy nie są tak sobie dalecy, jak Żydzi i ogół chrześcijan, jednak i tutaj separatyzm robi coraz większe postępy i coraz mniej jest pól i środowisk zbiorowego życia, w których kontakt i obcowanie wzajemne są utrzymywane. Spośród znajomych moich na zebraniu tym obecni byli biorący czynniejszy udział w klubie: esdek Ejdukiewicz, prezes klubu, na poły robotnik, na poły inteligent, długoletni partyjnik, zaprawiony w różnych ewolucjach socjalizmu polskiego i litewskiego, przechodzący przez różne fazy od czystej międzynarodowej socjalnej demokracji do socjalizmu narodowego, od polskiej do litewskiej narodowości, stary wyga różnopartyjny, dr Burbianka, która przed kilku laty wyszła za mąż za tegoż Ejdukiewicza, Zasztowt, Kazimierz Ostachiewicz, pani drowa Bańkowska, Sochacki, jeden z nowych działaczy demokratycznych na gruncie wileńskim, przybyły z Dyneburga, ruchliwy i czynny, jego żona, osoba bardzo brzydka fizycznie, ale inteligentna i czynna, i wielu innych. Akurat w tym czasie odbywał się w Wilnie zjazd nauczycieli i nauczycielek ludowych z młodego, już w dobie okupacji wytworzonego szkolnictwa polskiego na Litwie. Sochacki skorzystał z tego zjazdu, aby ściągnąć jego uczestników i uczestniczki do Klubu Robotniczego, zapraszając ich na mój odczyt. Sochackiemu w porozumieniu z Zasztowtem i paru innymi działaczami demokratycznymi chodziło o to, aby tę młodzież nauczycielską – bo to wszystko sama młodzież, pełna dobrych chęci, wielkiego zasobu ofiarności i ideowości w pracy, ale dość zielona co do ukształcenia pojęć – zbliżyć nieco do siebie, do demokratycznych prądów i kierunków myśli społecznej i

obywatelskiej. Młodzież ta jest przeważnie pod wpływami endeków, którzy bardzo energicznie w sprawach szkolnictwa polskiego w kraju się krzątają i gorliwie usiłują utrzymać nauczycielstwo ludowe w duchu swoich tendencji ściśle nacjonalistycznych, nie liczących się z postulatami krajowymi. Dokończę o tym jeszcze innym razem.

12 lutego, rok 1917, poniedziałek

Poniedziałek – dzień najmniej przyjemny, bo najdalszy od przyszłej niedzieli, otwierający długi sznur powszednich dni ćwiczeń zajęć. W poniedziałek człowiek wpada w ten odmęt ćwiczeń bez perspektywy bliskiego końca; dopiero gdzieś we czwartek, w piątek zaczyna mu świtać niedziela – dzień odpoczynku. Niestety – krótką jest ta niedziela, a długim – rząd powszednich dni tygodnia. Od rana mieliśmy, jak zwykle, ćwiczenia. Dzięki Bogu – odpadła gimnastyka karabinami, najnudniejsza i najuciążliwsza ze wszystkiego, ale za to ćwiczenia ranne szły jednym ciągiem zamiast do jedenastej – do 11 ½. Ćwiczenia te jednak urozmaicone są i podzielone na zmiany, wpływające dość szybko jedna po drugiej, a przez to nie tak nudne, bo najcięższą jest zwykle monotoność pracy. Słoneczna też i ciepła pogoda, łagodne powietrze z lekka odwilżą w słońcu w godzinach do południa zbliżonych – łagodziły ćwiczenia. Od godz. 8 do 9 ½ szły kolejno na zmianę po pół godziny każde: celowanie, szermierka na bagnety i tyraliera, względnie ćwiczebny krok, wykonywane w sekcjach w ramach plutonów. Potem pół godziny ćwiczeń całymi plutonami w „gotuj broń”, „kawaleria z prawej” (względnie „z lewej”, „z przodu”) itp., następnie godzina ćwiczeń w tyralierze plutonami, wreszcie ostatnie ½ godziny ćwiczenia całą kompanią, prowadzone, te ostatnie, przez porucznika Młota. Po obiedzie od drugiej do trzeciej ćwiczenia w zwrotach w marszu; ćwiczenia te po obiedzie prowadził Krasicki; naszej sekcji dał on „dziwne jaja”, wyrażając się gwarą żołnierską; mianowicie w marszu nasza sekcja, idąca jako pierwsza na czele całej kolumny kompanijnej, popędziła krokiem tak długim, nadawanym przez Mrozowskiego na skrzydle, że oderwała się od całej kolumny i wyleciała naprzód, nie bacząc na napomnienia Krasickiego. Krasicki wstrzymał marsz, dał całej kompanii, prócz naszej sekcji, „do nogi broń” i „spocznij”, nam zaś nakazał „w tył zwrot” i kilkakrotnie kazał nam, zwróconym frontem do frontu całej kompanii, wykonać „padnij” i „powstań” – ku uciechu całej kompanii i ku „pioruńskiemu wstydowni” naszemu, wyrażając się stylowym żargonem Peszkowskiego. Że jednak było ciepło, a uciecha kompanii była nie tyle złośliwą, ile żartobliwą, nie stała się nam przez to wielka krzywda. Potem o godz. 3 skończyły się ćwiczenia. Odbył się jakiś wykład podporucznika Wernera na temat „obowiązków żołnierzy”, dzięki Bogu, nie obowiązujący nas ze szkoły oficerskiej, wreszcie od godz. 4 do 6 nasze wykłady „oficerskie”. Wykładał Kozicki, który zakończył swój kurs o nauce strzelania i Pakosz o kartografii. Ten zna swój przedmiot, ale nie umie się wysłowić, toteż jest w wykładzie bardzo nudny, w kółko się w szczegółach kręcący.

Ten tzw. „przegląd lekarski” dla wybrakowania ludzi ze służby liniowej okazał się wcale nie takim, jakiego się u nas spodziewano. Przyszedł jeden z lekarzy naszych, dr Mioduszewski, poustawiano plutony w zbiorce i doktor wezwał tych, którzy sądzą się niezdolnymi do służby liniowej, aby wystąpili; spytał każdego z nich, na jakiej zasadzie chce się zwolnić, ewentualnie sam ich jeszcze trochę obejrzał i następnie, o ile uznał ich za rzeczywiście wątpliwych, przeznaczył ich do stawienia się wobec komisji lekarskiej na jutro, która ma orzec o zakwalifikowaniu ich do superrewizji. Niewielu się zgłosiło przy przeglądzie dr Mioduszewskiego, a z tych niewielu doktor zaledwie tylko kilku zakwalifikował do stawienia się przed komisją; resztę zgłaszających się zwrócił do szeregu, a niejednego jeszcze wykpił, że się zgłasza bez powodu, bo tam jakieś drobne braki, pozostałe z poniesionych ran, nie przeszkadzają mu w czasie wojny byc

żołnierzem. Przegląd ten był nakazany z góry przez Komendę Legionów, ale że to u nas, gdzie nie ma nadmiaru żołnierzy ani wielkiego dopływu nowych rekrutów z werbunku, każdy człowiek dla tej przyszłej armii polskiej musi być oszczędzany, więc w praktyce zarządzono ten „przegląd” tak, aby tylko w ostateczności dopuścić żołnierza do właściwego przeglądu. Co do mnie – to się wcale nie zgłaszałem, bo przechodzić przez nudną poniewierkę superrewizyjnej procedury, której dość już miałem w roku zeszłym, nie życzę sobie bynajmniej. Wolę już być w pułku i czekać rozwoju wypadków i dalszego losu mego w drodze służbowej. Ostatecznie – byle tylko armia polska już się wreszcie tworzyła – nie chodzi mi w obecnych warunkach tak bardzo o zwolnienie się z wojska. Gdybym mógł się zwolnić tak, aby wrócić do Wilna, to może bym tego życzył, gdybym jednak miał pewność, że w obecnych stosunkach wileńskich będę mógł wpłynąć na pokierowanie ewolucji politycznej w myśl tych wskazań, które uważam dla kraju w dzisiejszych okolicznościach za najbardziej pożądane. Pewności tej nie mam. Wracać do Wilna bez przekonania o skuteczności mego działania w kraju, a skądinąd nie mieć warunków do materialnej egzystencji w jałowym tam siedzeniu – nie ma sensu. W takim razie wolę być w Legionach, względnie w armii polskiej, tworzącej wolność Polski.

13 lutego, rok 1917, wtorek

Ćwiczenia dziś takie same, jak były wczoraj, z tą różnicą, że poobiednia godzina ćwiczeń użyta była na tzw. ćwiczenia szturmowe, złożone z dwóch części: z brania przeszkód (skoki, przełazenie przez bariery, pełzanie przez dziury i pod drutami) i z ćwiczeń w miotaniu granatów ręcznych (oczywiście tylko patyków drewnianych, imitujących granaty ręczne). Ćwiczenia te prowadził podporucznik Krasicki.

W sytuacji politycznej i w szczególności w sprawie armii polskiej nic nowego nie wiemy. W ostatnich dniach żadnych konkretnych pogłosek w tej sprawie u nas nie było. Żyjemy z dnia na dzień, nic o naszym jutrze nie wiedząc. Co pewien czas wznawiają się gawędy o rychłym odmarszu naszym z Zambrowa do Łomży, ale dotąd to się nie sprawdza. Od czasu do czasu obiegają też alarmujące pogłoski, którym jednak wielkiej wiary się nie daje, o rzekomym rozwiązaniu względnie o podaniu się do dymisji członków Rady Stanu w Warszawie. Sądzę, że to brednie, wysnute z tych tarć politycznych, jakie zachodzą w łonie aktywizmu polskiego między stronnictwami i kierunkami, co znajduje też oddźwięk w Radzie Stanu i działa deprymująco na jej zdolność do czynu. Na wojnie cisza. Większy ruch panuje tylko na froncie zachodnim, gdzie Anglicy i Francuzi wciąż usiłują prowadzić ofensywę, której sukcesy są jednak względnie nikłe. Stan konfliktu między mocarstwami a Stanami Zjednoczonymi trwa w tym samym stadium: zerwane są stosunki dyplomatyczne, ale wojny dotąd nie ma i trudno wywnioskować, czy nastąpi, czy nie. Akcja niemieckich łodzi podwodnych wzrasta. Dotąd jednak nie daje się jeszcze ustalić, jaki będzie jej rzeczywisty efekt względem Anglii. Co też bliska wiosna na terenach wojny przyniesie? Kto, gdzie i z jakim skutkiem uderzy?

Ponieważ zeszyt dziennika się kończy, więc trzeba już, abym dokończył tutaj o owym zebraniu w Klubie Robotniczym wileńskim w dniu 29 grudnia, ostatnim akcie moich wystąpień publicznych w Wilnie podczas urlopu. Wspomniałem, że Sochacki zaprosił na to zebranie uczestników zjazdu nauczycielskiego w Wilnie. Stawili się oni niemal w komplecie – kwiat młodzieży nauczycielskiej obojga płci z polskich szkół ludowych na Litwie. Zwabiło ich moje imię i mój charakter żołnierza Legionów Polskich. W mojej osobie bowiem łączą się cechy znanego w kraju działacza społecznego, reprezentującego oryginalny na wskroś i wyrazisty kierunek tzw. krajowy o sympatiach litewskich i głęboko demokratycznych, z urokiem czynnego uczestnika rycerskiej

krwawej epopei Legionów, wykuwających w tej wojnie Wolność i Byt Państwowy Polski. Dla wrażliwej młodzieży to są atrakcje nie lada. Inicjatorom zaś tego zebrania, jak Sochackiemu, Zasztowtowi i innym oraz nie mniej obecnemu tam Kairysowi, chodziło o to, aby tej młodzieży nauczycielskiej, która bądź co bądź tak odpowiedzialne placówki w kraju, jak szkoły ludowe, reprezentuje i która jest przeważnie przez wpływy endeckie urabiana, przedstawić sprawę polską w jej demokratycznych i ludowych założeniach i w tych także założeniach omówić stosunek tej sprawy i jej związek do sprawy Litwy. Zrobiłem to, jak mogłem i jak umiałem. W referacie moim, który ująłem w dłuższe przemówienie, przedstawiłem całą sytuację polityczną w Królestwie w chwili bieżącej w stosunku do aktu 5 listopada, układ prądów tak aktywizmu, jak pasywizmu polskiego, ich siłę i wagę we wzajemnym stosunku, ewolucję całej sprawy polskiej przez czas wojny, znaczenie czynu Legionów i zwłaszcza tego, co w nich Piłsudskiego idea i polityka znaczyła. W drugiej części, na prośbę obecnych, przedstawiłem, jak się obiektywnie sprawa Litwy w stosunku do sprawy polskiej rysuje. Kairys, Sochacki, Zasztowt i inni chcieli mię sprowokować do tego, abym mój własny subiektywny sąd, a raczej nie tyle sąd, ile wskazania nakreślił, jaką powinna być droga działania na rzecz Wolności Litwy i jej przyszłości w stosunku do sprawy polskiej. Tego nie zrobiłem. Uchyliłem się o d tego, by mojego referatu sprawozdawczego, rzeczowego i analitycznego, nie kazić agitacją. Zaznaczyłem więc tylko dobitnie, jakie się dla Litwy przedstawiają perspektywy, z rozwoju sprawy polskiej płynące i jak je ona może wykorzystać zależnie od własnych swoich pragnień i postulatów i jak dużo mogłaby uzyskać na rzecz swej państwowości w kontakcie z powstającą Polską, gdyby tylko zechciała i umiała tego chcieć, i jak względnie, bez takiej woli, może się ona stać bądź obiektem aneksyjnego przyłączenia do Polski, bądź łupem do podziału między Polską, Niemcami i ewentualnie Rosją. Mówiłem o perspektywach i możliwościach, od tego zaś, by agitować, czy należy i czego należy chcieć – uchyliłem się. Sami Kairys, Zasztowt i Sochacki uznali ten mój obiektywizm za najlepszy i najstosowniejszy.

Michał Römer
13/II.1917
Zambrów.